ZESZYTY HISTORYCZNE OLKUSZA

Numer 22
Olkusz, 2016

ZESZYTY HISTORYCZNE OLKUSZA

Numer 22

Olkusz, 2016

Patronat Honorowy:

1. Starosta Olkuski –inż. Leszek Konarski (2002-2010)
2 Starosta Olkuski – Jerzy Antoni Kwaśniewski (2011-2013)
3. Starosta Olkuski – Barbara Rzońca (2013—2014)
4. Starosta Olkuski – inż. Paweł Piasny (2014- …)
5. Proboszcz Olkuskiej Bazyliki pod wezw. Św. Andrzeja Apostoła w Olkuszu Ks. Prałat Stefan Rogula (1985– 2010)
6 Proboszcz Olkuskiej Bazyliki pod wezw. Św. Andrzeja Apostoła w Olkuszu Ks. Prałat Mieczysław Miarka (2011--…)
7. Burmistrz Miasta i Gminy Olkusz (2002 – 2006) – dr Andrzej Kallista
8. Burmistrz Miasta i Gminy Olkusz (2006 – 2014) –mgr Dariusz Rzepka
9. Burmistrz Miasta i Gminy Olkusz --inż. Roman Piaśnik (2015--…)

Zespół redakcyjny:

1. mgr Józef Januszek
2. mgr Barbara Kiszko
3. mgr Maria Kallista
4. mgr Irena Majda
5. prof. dr hab. Kazimierz Kosiniak - Kamysz
6. dr Marek Lasota
7. inż. Eugeniusz Foryś
8. mgr Jerzy Roś
9. mgr Lidia Piątek
10. mgr Jerzy Zembura
11. Antonina Januszek

Okładkę zaprojektowała i wykonała mgr Anna Kajda.
Autorem logo I LO w Olkuszu jest mgr inż. arch. Jan Mateusz Pałka.

Na okładce: Olkusz. zimą. Autor zdjęcia – Adam Sowula.

BIBLIOTEKA OLKUSKA

Zeszyty Historyczne Olkusza wydaje Stowarzyszenie „ZŁOTA ARKA" Nauczycieli i Absolwentów I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu.
Adres Redakcji: 32-300 Olkusz, ul. Polna 8, I LO im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu, tel: 514 743 156.
www.lo1.olkusz.pl/spolecznosc/sza
Autorem strony internetowej jest mgr Artur Trepka.

Numer rachunku bankowego : 29 8450 0005 0050 0555 2432 0001

Wydano ze środków Urzędu Miasta i Gminy Olkusz w ramach Konkursu Inicjatyw Kulturalnych.

Wydawca: Zakład Usług Poligraficznych W.Dela, ul. K.K.Wielkiego 82, 32-300 Olkusz, tel. 32 643 01 93

ISBN: 978-83-930579-2-4
Olkusz, 2016 r.

Spis treści:

I. Od Redakcji.

II. Cząstka opowieści.
- Zbigniew Kwiecień.

III. Sylwetki Nauczycieli Ziemi Olkuskiej - Barbara Kallista.
- Grażyna Wącław.

IV. Historia powstania Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP w Olkuszu.
- Grażyna Królewicz.

V. Wychowankowie dumą szkoły na forum międzynarodowym i krajowym w różnych obszarach życia społecznego... c.d.

VI. Moje drogi, zdroża, wojaże i… bezdroża.
Z Kosmolowa na Grenlandię i Przylądek Horn.
- Antoni Bigaj.

VII. Spotkania z ludźmi czynią życie warte przeżycia.
- Zofia Krzysztoforska-Weisswasser.

VIII. Wymiary tego i tamtego Świata.
- Józef Januszek.

IX. Listy do Redakcji.

X. Errata do ZHO nr 21.

I. Od Redakcji.

NADZIEJO! Zawsześ mi miła,
Tyś życia mego ozdobą,
Tyleś mnie razy zdradziła,
Ja przecież biegnę za Tobą.
Szczęśliwy kto się spodziewa,
Żal szczęścia idzie koleją,
Niech się na Ciebie świat gniewa,
Ja zawsze chcę żyć nadzieją.

Przeszłość się nam już nie wróci,
Następność ustawnie śpieszy,
Choć nas w życiu zasmuci,
Nadzieja wkrótce pocieszy..

(z Magazynu Wesołych i Moralnych Zabaw Wilno 1812; autor nieznany)

Szanowni Czytelnicy!

Nie bez powodu przytoczyliśmy słowa wiersza nieznanego autora opublikowanego w Magazynie Wesołych i Moralnych Zabaw wydanego w Wilnie w 1812 roku. Czy w tym roku poeta żył, czy już nie – tego nie wiemy. Niemniej jednak, wiersz niesie ze sobą treści nadal aktualne.

W dzisiejszych, bardzo trudnych i niestabilnych czasach, co nam pozostaje? – Nadzieja.

Nadzieja na ukończenie szkoły, studiów, założenia szczęśliwej rodziny, otrzymanie ciekawej pracy itd., itd. …

Zespół Redakcyjny Zeszytów ma również nadzieję, że z zainteresowaniem przeczytacie Państwo nasz kolejny 22 numer Zeszytów Historycznych Olkusza. Zawiera on wiele ciekawych artykułów wspomnieniowych absolwentów I LO, historię Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP w Olkuszu, a także przebieg kariery zawodowej znanej, szanowanej i cenionej wieloletniej polonistki popularnego „Ekonomika", pani mgr Barbary Kallistowej.

Kiedy weźmiecie Państwo do rąk nas kolejny Zeszyt Historyczny, będzie to już okres Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Wobec tego na zbliżające się Święta pragniemy złożyć życzenia przeżywania Bożego Narodzenia w zdrowiu, radości i ciepłej, rodzinnej atmosferze.

Niech nadzieja i radość zastukają do waszych drzwi.

Niechaj:

szczęście, co radość niesie,
miłość, co niesie pokój,
zdrowie, co rodzi wytrwałość,
i wiara, co nadzieję prowadzi i dni wypełnia do końca

towarzyszą Państwu w każdym dniu nadchodzącego 2017 roku.

Czego serdecznie życzą

Zarząd Stowarzyszenia „Złota Arka" oraz Redakcja Zeszytów Historycznych Olkusza

Olkusz, 6 grudzień 2016r.

II. Cząstka Opowieści.

CZĄSTKA OPOWIEŚCI

Zbigniew Kwiecień

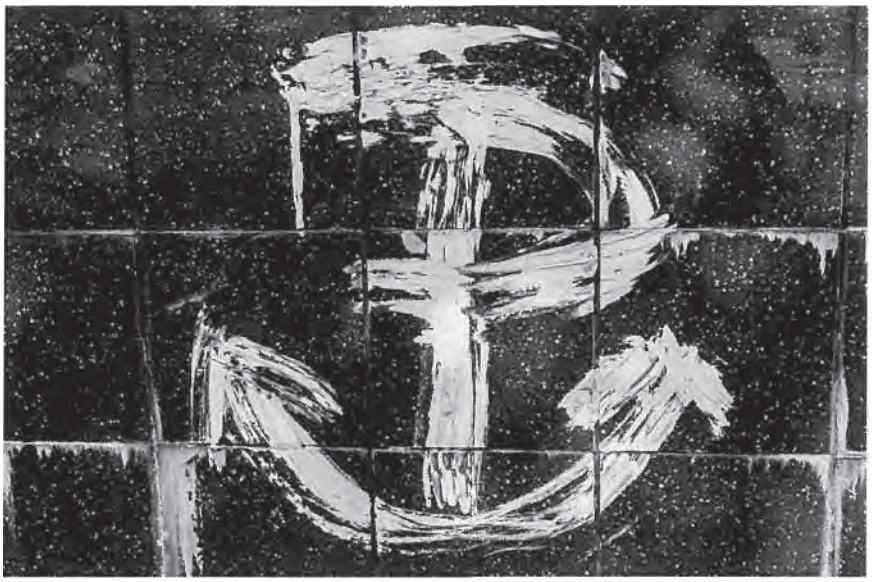

Zbigniew Kwiecień „Sokół”

KOMENTARZ

Jan Babczyk „Jaś" przekazał swój egzemplarz „Opowieści" harcmistrzowi Mieczysławowi Karwińskiemu — matura 1946 (zmarł 11 IV 2016 r.), który zamierzał powielić go w niewielkim nakładzie z okazji 100-lecia Gimnazjum i Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu.

Autor „Opowieści" Zbigniew Kwiecień był wychowankiem tejże szkoły -matura 1945 r. (Księga Pamiątkowa str. 239).

Egzemplarz drugi „Opowieści" Jana Babczyka Mieczysław Karwiński przekazał do Muzeum PTTK w Olkuszu.

Spełniając wolę zmarłego Mieczysława Karwińskiego przygotowali „Opowieści" do druku i zaopatrzyli komentarzem Eugeniusz Foryś i Leszek Kluczewski -matura 1950 r.

Zamiast przedmowy

Kochany „Jasiu"!

Nieopatrznie zgodziłem się na Twoją propozycję spisania naszych wspomnień konspiracyjnych. Mało tego, okłamałem Cię, gdy mnie pytałeś „Jak Ci idzie pisanie?"

Odpowiedziałem, że połowę mam już napisaną. Sądziłem, iż wspomnienie będzie miało 3-4 strony i zdążę je napisać zanim kłamstwo się wykryje.

Sprawa skomplikowała się, gdy usiadłem do pisania. Nie szło mi ono zupełnie. Żadne słowa nie oddawały atmosfery tamtych trudnych lat. To, co napisałem nie nadawało się do czytania, tylko do kosza. I szło do kosza. Zdecydowałem, że wyznam Ci prawdę, przeproszę i w ten sposób uwolnię się od tej zmory, która mnie prześladowała po nocach.

Jednak którejś nocy przypomniałem sobie, ze mam notatki z tego okresu. Poszukałem i znalazłem je. Nie były one, co prawda robione w okresie okupacji, ale krótko po jej zakończeniu.

Mianowicie w czasie służby wojskowej, gdy na wartowni byłem w tzw. pogotowiu, to skracałem sobie czas oczekiwania notując moje impresje okupacyjne. Sięgnąłem po nie. Były lepsze niż to, co poszło do kosza. Najważniejszą zaletą tych kartek była - jak mi się wydawało - autentyczna atmosfera młodości i związanego z nią entuzjazmu tamtych czasów. Bez tego entuzjazmu nie moglibyśmy przecież nic zrobić.

Największą wadą tych zapisków był prawie całkowity brak dat. Ale przecież nikt z nas wtedy ich nie notował, ani nie utrwalał w pamięci. Konspiracja temu nie służyła.

Mimo wszystko uznałem zapiski za dobre razem z ich wadami i zaletami, dodałem tylko fragmenty łączące luźne notatki w całość oraz dokonałem koniecznych wygładzeń ułatwiających czytanie i zrozumienie. Nie jest to rzecz, która mi się podoba, ale niestety nic lepszego już z siebie nie wycisnę. Wydaje mi się jednak, że lepsze jest to niż nic.

Nie napisanie niczego byłoby ze szkodą dla tych czasów, ciekawych, jedynych i - na szczęście, niepowtarzalnych. Czytając te zapiski nie odczuwam, ani nie chciałbym wzbudzić u czytającego, podziwu dla naszych poczynań. Chciałbym natomiast pochylić czoło nad naszymi matkami i Twoją żoną.

Kobiety te żegnały nas wiedząc, że możemy nie powrócić każdego dnia.

To może zrozumieć człowiek, który sam ma i kocha dzieci. Chciałbym abyśmy o tym nie zapomnieli.

A jaki tytuł, jakie motto dla tych zapisków?

Nie da się ukryć, z tych notatek wynika, iż w tych czasach baliśmy się bardzo i często. Bałem się ja i wy. Strach nas wypełniał, strzegł od niebezpieczeństw, ale nie obezwładniał. Dlatego też myślę „Jasiu", że napisałbym takie zdanie:

„Strach jest tylko jedną z barw odwagi".

/-/ Zbigniew Kwiecień Zbigniew Kwiecień „Sokół"
Grudzień 1980 r.

I. Cząstka opowieści

Miała to być próba opowieści o przeżyciach okupacyjnych grupy dorastających chłopców (i jednej młodej dziewczyny), kierowanych przez dorosłego mężczyznę. Przeżycia te widziane oczyma jednego z nich, usiłował na kartkach tych odtworzyć autor.

Grupa ta formalnie powstała w marcu 1942 roku, a założył ją Jan Babczyk pseudonim „Jaś" (dorosły mężczyzna). W skład tej grupy wchodzili: Janusz Ścisłowski pseudonim „Miś" i Zbigniew Kwiecień pseudonim „Sokół". W marcu 1943 roku dołączył do nich Kazimierz Gierat pseudonim „Ros". W listopadzie 1943 roku „Sokół" zorganizował swoją sekcję w składzie: Józef Głowacki pseudonim „Skrzypek" i Irena Kac pseudonim „Zośka" (jedna młoda dziewczyna). W połowie maja 1944 roku dołączył do tej sekcji Adam Urasiński pseudonim „Czarny".

Opowieść dotyczy tych ludzi, (choć nie tylko) i może się ona nie udała, ale próba uratowania wspomnień o czasach i ludziach w niej opisanych, warta była próby usiłowania nawet nieudolnego.

Grupa ta prowadzona doświadczoną ręką „Jasia" w całości przeżyła trudny czas okupacji.

Aktualnie (podaje według roczników urodzenia) „Jaś" mieszka w Żywcu i jest dziarskim rencistą, „Ros" mieszka w Krakowie i jest docentem Polskiej Akademii Nauk, „Sokół" mieszka w Warszawie i jest sędzią Sądu Najwyższego, „Skrzypek" mieszka w Warszawie i jest inżynierem, „Miś" mieszka w Olkuszu i jest znanym lekarzem, „Czarny" mieszka w Krakowie i jest radcą prawnym PKP, „Zośka" mieszka w Olkuszu i jest cenionym pracownikiem dyrekcji Zakładów Górniczo-Hutniczych „Bolesław" w Bukownie.

Czas jednak wrócić do opowieści.

1.

Po wkroczeniu Niemców do Olkusza, zostałem wraz z Januszem Ścisłowskim zatrudniony w fabryce walizek, którą przejął od Żydów Niemiec Ewald Wilkens pochodzący z Hamburga, a posiadający rangę SS sturmbahnfurera, Wilkens był też w tym czasie treuhanderem wielu pożydowskich sklepów, które nadal prowadzili uprzedni właściciele - wpłacając Wilkensowi znaczną część dochodów za „opiekę".

Ówczesna załoga „Koffer und Lederwaren Fabrik inhaber Ewald Wilkens in Ilkenau" miała bardzo zróżnicowany skład osobowy. Przykładowo pod względem wieku rozpiętość wynosiła od 14 lat do ponad 70. Narodowościowo było podobnie, pracowali Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Volksdeutsche, a nawet autentyczna Niemka, mówiąca wyłącznie tym językiem.

Równie zróżnicowany był skład socjalny pracowników. Pracowali współwłaściciele tej fabryki, którzy w pierwszych latach okupacji pełnili funkcję majstrów, a pełnili je bardzo rygorystycznie, bijąc nas również w razie rozdrażnienia. Pracowali tam właściciele kamienic, sklepów, cukierni warsztatów rzemieślniczych, pracowali fachowcy zakładów lotniczych, nauczyciele szkół średnich, robotnicy wykwalifikowani i niewykwalifikowani, a nawet zastępca rabina. Posiadacze matur i analfabeci, abstynenci i alkoholicy.

W czasie częstych nieobecności Wilkensa w fabryce, kierowaniem jej działalności zajmował się Franciszek Włodarczyk, początkowo z tytułem starszego buchaltera, a potem kierownika. Jeżeli Wilkens wprowadzał typowo niemiecki brutalny terror wobec około 100 osobowej załogi, to Włodarczyk

(były oficer rezerwy, w owym czasie Volksdeutsch) wykonywał stokroć gorszą robotę. Rozpijał i demoralizował załogę. Robotnicy pochodzenia żydowskiego musieli się opodatkowywać na jego rzecz. W dnie wypłat w drzwiach pomieszczenia gdzie mieściła się kasa, stawał znany osiłek - Czok, były masarz, zatrudniony w fabryce, jako portier -popularnie zwany Szmok-Szmil, rudzielec ten kułakami wymuszał dzielenie się nędznymi zarobkami (15 marek miesięcznie) z panem buchalterem.

2.

W marcu 1941 roku został zatrudniony w fabryce Jan Babczyk, przedwojenny drużynowy harcerzy. Przeprowadzając rozmowy z nami (byłymi harcerzami) przypominał o obowiązku, jaki nakłada na nas złożone przyrzeczenie harcerskie. Zaufanym wręczał ulotki i prasę podziemną. Efektem tego było to, że w marcu 1942 roku na terenie fabryki powstała pierwsza trójka konspiracyjna w składzie:

1/ Jan Babczyk, pseudonim „Jaś" urodzony w 1911 r.

2/ Zbigniew Kwiecień, pseudonim „Sokół", urodzony w 1923 r.

3/ Janusz Ścisłowski, pseudonim „Miś" urodzony w 1924 r.

Wszyscy zamieszkali w Olkuszu. Grupa miała wyraźnie harcerski profil (wszyscy byli przedwojennymi harcerzami) i harcerskiego też typu zadania stawiał przed nią „Jaś". Trzeba stwierdzić dziś, z perspektywy czasu, że wielka była umiejętność „Jasia" w postępowaniu ze sporo od siebie młodszymi ludźmi i to w trudnych warunkach okupacyjnych. Byliśmy, bowiem ludźmi stosunkowo młodymi, którzy nagle wskoczyli w dorosłość, jak w przydługie spodnie, wprost z krótkich dziecinnych spodenek. Dorosłymi czuliśmy się od razu, ale ani w nich dobrze nie umieliśmy chodzić, ani też naprawdę nie czuliśmy się w nich dobrze.

Obszerniejsze omówienie składu zatrudnionych w fabryce jest konieczne po to, aby lepiej zrozumieć, iż praca konspiracyjna w tym środowisku nie była łatwa, ani tez bezpieczna. Dzięki temu jednak, że działalnością tą kierował doświadczony w pracy z młodzieżą harcerską „Jaś", przeprowadził on nas bezpiecznie przez wszystkie wiry i mielizny owych czasów.

Także harcerski styl pracy został przez niego zaszczepiony konspiratorom i nadany akcjom konspiracyjnym. Pierwszym zadaniem konspiracyjnym, jakie nam postawił „Jaś" było: przeciwstawienie się rozpijaniu przez okupanta narodu polskiego, a w szczególności młodzieży.

3.

Jak wiadomo tym, którzy pamiętają te czasy, na „kartki" żywności i odzienia przydzielano bardzo skąpo, natomiast przydział wódki był dostatni. Dochodziła do tego duża łatwość - niska cena i duża podaż - w zaopatrywaniu się w wyroby alkoholowe „rodzimej" produkcji. Rodzi się nowe słowo „bimber" które niestety przetrwało pół wieku prawie.

Jak wspomniałem wyżej, usamodzielnienie się — poprzez przymusowe zatrudnienie - objęto nie tylko młodzież, ale i dzieci od lat 14. Wszyscy pracujący otrzymywali wypłaty, kartki na żywność, odzież, papierosy, wódkę itp.

Z uwagi na to, że okupant wywiózł i przymusowo zatrudniał w Rzeszy olbrzymi procent dorosłych mężczyzn, rodziny ich pozbawione zostały „ojcowskiego" nadzoru nad wychowaniem dzieci i młodzieży. Ten „ojcowski nadzór" należy rozumieć szeroko (sensu largo), chodzi o osoby sprawujące opiekę bez względu na płeć. Matki bowiem też zostały przymusowo zatrudnione, tylko, że na miejscu i w mniejszym, bo 10 godzinnym wymiarze dziennej (nocnej) pracy.

Ponadto należy dodać, że spójność polskich rodzin, a co za tym idzie i spójność narodowa była poddawana totalnym bombardowaniom przez okupanta i to „pociskami" różnego kalibru. Począwszy od budowy i zapełniania ludźmi z łapanek i innych akcji dokonywanych także w Olkuszu i okolicy, największego kolosa świata przeznaczonego do masowego niszczenia ludzi obozu „Auschwitz--Birkenau", aż do rozkręcania małych akcji w postaci kaptowania obywateli polskich tzw. list narodowości uprzywilejowanych, będących na prawach „kartkowych volksdeutschów".

Łapanki i wywożenie do obozów są swoją grozą wymowne, natomiast te wspomniane wyżej małe akcje były społecznie niewiele mniej groźne. Ciosy te były niemniej bolesne niż tamte. Dotyczyły bowiem ludzi znanych na terenie olkuskim z tytułu wykonywanych przed wojną ważnych społecznych funkcji, jak np. nauczycieli szkół średnich i powszechnych, naczelników urzędów itp.

Taka wyrwa we froncie polskości Olkusza była przeżywana przez każdego mieszkańca, jako osobista przykrość i wielka społeczna strata. Podobnie przeżywaliśmy bardzo głęboko straty innych obywateli prześladowanych przez okupanta, w postaci wysiedlenia, czy też wywożenia do obozów.

Wspominając zaciekłe ataki hitlerowskiego okupanta na wszystko, co było polskie w Olkuszu, należy na równi z nimi postawić totalne wyniszczenie fizyczne jego mieszkańców. Zaliczyć do tego należy wywożenie olbrzymiej ilości mężczyzn i kobiet do przymusowej niewolniczej pracy w tzw. Reichu, zatrudnienie w olkuskich zakładach pracy ludzi w wyjątkowo ciężkich warunkach. W olkuskich fabrykach pracowały między innymi dzieci w wieku 13-14 lat na równi z dorosłymi, a tzw. dniówka wynosiła 10-14 godzin. Wynagrodzenie miało charakter prawie symboliczny. Polacy wyłączeni byli z ustawodawstwa socjalnego, nie mając np. uprawnień urlopowych. Praca w niedziele i święta stawała się zjawiskiem powszechnym.

Pamiętam takie „serie", że pracowaliśmy trzy dni i trzy noce bez przerwy. Gdy po takiej trzydniówce wracałem do domu, nie mogłem sam sobie zdjąć z nóg obuwia.

Dla pełnego obrazu należy dodać, że w Olkuszu skazani byliśmy w zasadzie na żywienie wyłącznie kartkowe, które dla Polaków skalkulowane było poniżej minimum biologicznego. Próby ratowania się - jak to czyniła moja Mama - przez mielenie łupin ziemniaczanych i wypiekania z nich placków, niewiele znaczyły.

Należy pamiętać, że wszystko to działo się w okresie, gdy Wehrmacht odnosił wielkie i efektowne sukcesy „an allen Fronten".

Dopiero na tle tej ciemności okupacyjnej nocy należy oceniać wymiar, znaczenie i efekty tych konspiracyjnych przedsięwzięć, w których dane nam było wspólnie uczestniczyć.

Rozkaz „Jasia" o przeciwstawianiu się okupantowi w jego rozpijaniu polskiego narodu wydawał nam się początkowo mało poważny i nie atrakcyjny. Po głębokim wspólnym przeanalizowaniu tego problemu w końcu doszliśmy jednak do wniosku, że istnieje poważne i realne niebezpieczeństwo wykolejenia młodzieży. Tej najmniej odpornej, ale najbardziej w przyszłości potrzebnej grupy społecznej. Zlecił nam, więc „Jaś", aby wszędzie tam, gdzie w naszej obecności będzie spożywany alkohol, stosując odpowiednią argumentację, pieniądze przeznaczone na tzw. drugą butelkę, zabierać i przekazywać przez „Jasia" - dalej chyba przez Tadeusza Barczyka - na rzecz rodzin, których jedynych żywicieli okupant wywiózł do obozów, co wszystkim wyjaśniliśmy.

Zgodnie ze zleceniem działać mieliśmy nie poprzez głoszenie haseł o szkodliwości picia alkoholu i gromienie pijących, lecz przez ograniczenie picia i przechwytywanie pieniędzy przeznaczonych na alkohol, kierując je na inny, bardziej pożyteczny cel. Dopiero, gdyby przy okazji rozmowa schodziła na istotny temat, końcowym akcentem było pytanie kierowane niby do wszystkich, niby do nikogo -czy dla Niemców jest lepiej, gdy Polacy są rozpijani, czy też nie.

Robotę tę wykonywaliśmy sumiennie i z umiarkowanym zapałem. Inkasowaną gotówkę, a nieraz i tzw. „Bezugscheiny" na różne towary przekazywaliśmy „Jasiowi", który nas pochwałami nie rozpieszczał. Musiał jednak uznać widocznie nasze wysiłki za wykonanie pozytywne postawionego zadania, gdyż po pewnym czasie wyznaczył zbiórkę, celem odebrania od nas przysięgi.

4.

Zaprzysiężenie odbyło się 19.III.1942 roku bez wielkiego patosu. Zbiórkę wyznaczył „Jaś" w jego mieszkaniu przy ul. Generała Buchowieckiego, naówczas „Beutenstrasse". Nie pamiętam, jakiego to było dnia, ale pamiętam, że spotkać mieliśmy się o godzinie 19.00. Ja przyszedłem punktualnie, oczywiście przybył „Jaś" a „Miś" nie nadchodził. Zaczęliśmy się denerwować. Po odczekaniu 15 minut „Jaś" zakomenderował - Baczność! Do przysięgi! Zdenerwowanie prysnęło. „Jaś" wyjął swój słynny na

całą fabrykę kieszonkowy zegarek (trochę mniejszy od główki kapusty) i z między kopert wyjął złożoną we czworo bibułkę do skręcania papierosów. Po rozprostowaniu odczytał z niej tekst przysięgi, którą powtarzałem za nim. Potem nastąpił mocny uścisk dłoni, spalenie tekstu na bibułce i szybkie opuszczenie mieszkania.

Stało się - byłem zaprzysiężony - żołnierzem podziemia, Gwardii Ludowej Polskiej Partii Socjalistycznej, pułku „Srebro", plutonu wywiadu, ale o tych szczegółach dowiedziałem się dużo, dużo później.

„Miś" złożył przysięgę tydzień później.

Nie trzeba dodawać, że powierzona nam robota na wpół charytatywna na wpół harcerska wcale nas nie kontentowała. Młodzi i niecierpliwi, byliśmy klasycznym przykładem ówczesnej młodzieży polskiej, wychowanej w oparciu o wzory patriotyzmu romantycznego. Dlatego też zadania tego typu, które nam przydzielano, nie były tym, czego oczekiwaliśmy w pracy konspiracyjnej.

Ale tak doświadczony w pracy z młodzieżą, jak nasz przewodnik i dowódca - wiedział, co robi. Dając nam te zadania uczył nas cierpliwości, skromności oraz tak trudnej do osiągnięcia rozwagi i -nie wstydzę się powiedzieć - miłości do człowieka. Dziś, gdy nasze włosy doświadczenie życia przyprószyło siwizną, można dopiero sprecyzować regułę jego doktryny wychowawczej, która brzmiała „nie można miłować Ojczyzny bez miłowania jej obywateli, a funkcją miłości Ojczyzny jest nienawiść do jej wrogów".

Oczywiście, tak precyzyjnie wtedy nie myśleliśmy, ani też nie stać nas było na takie uogólnienia. Wtedy zżymaliśmy się na „Jasia", domagając się bardziej odpowiedzialnych zadań. Nie wiem, czy na skutek naszych nalegań, czy też realizując swoje plany, „Jaś" zlecił nam nową robotę związaną z udziałem kolportażu prasy i literatury konspiracyjnej. Tu musieliśmy być bardziej czujniejsi i roztropniejsi, bo możliwość „wpadki" groziła niebezpieczeństwem znacznie większym.

5.

Zaczęło się od tego, że systematycznie otrzymywaliśmy od „Jasia" prasę. Z wypiekami na twarzy najpierw czytaliśmy ją sami od deski do deski. Następnie udostępnialiśmy ją osobom, do których mieliśmy zaufanie. Z uwagi na bardzo małą ilość otrzymywanych egzemplarzy musieliśmy dopilnowywać zwrotu udostępnionych egzemplarzy, po to, żeby można było je udostępnić następnym. Do tego rodzaju działalności zaliczyć należy również nasłuchy radiowe, ich zapis i dalsze kolportowanie.

W tym celu trzeba było jeździć z „Jasiem" do Klucz, odległych od Olkusza o około 8 kilometrów, gdzie miał on ukryte radio. Wtedy dopiero zaczynało się misterium słuchania i zapisywania treści audycji. Było to niebezpieczne, a nade wszystko niewygodne. Po to, aby przez okno nie było nas widać musieliśmy wszystkie czynności wykonywać siedząc na podłodze. Okien nie można było zasłonić, gdyż to właśnie zwróciłoby uwagę. Samo zapisywanie w trakcie słuchania nie jest wcale łatwe. Człowiek bowiem ze swej natury jest tak „ustawiony", że interesujących go bardzo wiadomości chce słuchać, skupiając na nich całą swoją uwagę. Dzielenie jej na słuchanie i zapisywanie jest jakby wbrew naturze. Musieliśmy więc pracować nad nauczeniem się i tej umiejętności. O tym, jak to niby prosta czynność jest trudna do przyswojenia, można się przekonać próbując zanotować tekst piosenki pierwszy raz usłyszanej, której melodia bardzo nam się podoba. Nam komunikaty bardzo się „podobały", a wiedzieliśmy, że drugi raz ich nie usłyszymy. Jeżeli do tego dodać i to, że musieliśmy zachować i niezbędne środki bezpieczeństwa, można sobie wyobrazić ile trudności nam, niedoświadczonym konspiratorom, sprawiała taka prosta czynność, jak prowadzenie z „doskoku" nasłuchu radiowego i jego kolportaż.

Pewnego smaczku w tej robocie nasłuchu radiowego dawało nam słuchanie radia u sublokatora matki „Misia". Pierwszym sublokatorem w ich domu był, o ile dobrze pamiętam, N.S.D.A.P. - Keispropagandaleiter Hirsche, umundurowany zawsze partyjnie żółto, od skarpetek po dużą, siodełkowatą czapę. Drugim sublokatorem, który zresztą usunął rodzinę „Misia" z całego mieszkania, był Kreiskomendant Schutzpolizei Eichert. Trzeba podkreślić, że obaj mieli pożydowskie radia wysokiej klasy, co nam bardzo ułatwiało szybkie uzyskanie dobrego odbioru na falach krótkich.

W czasie naszych „posiedzeń" radiowych mama „Misia" stała ze szczotką na schedach, pozorując zamiatanie. Gdy zamiatając uderzała szczotką w ścianę, oznaczało to „uwaga, niebezpieczeństwo". Wtedy szybko wyłączaliśmy radio, nastawiając gałki i strzałkę skali w położeniu, w jakim je zastaliśmy przed włączeniem aparatu i błyskawicznie opuszczaliśmy „lokal". Ale nigdy nie rozstawaliśmy się z zanotowanymi wiadomościami.

Działalność ta dziś, z perspektywy tylu lat, wydaje się mało znacząca i nieważna. Jej wymiar jednak nabiera właściwej proporcji dopiero w zestawieniu z tym, co w tym czasie działo się w Olkuszu.

6.

W związku z przemianowaniem Olkusza na Ilkenau, został on poddany zalewowi wszechstronnej niemiecko-hitlerowskiej propagandy. Począwszy od tego, że powywieszano hitlerowskie flagi wszędzie gdzie tylko się dało, poprzez wielkie niemieckie napisy gotykiem na domach, urzędach, aż do napisów na szyldach sklepów i najmniejszych zakładów rzemieślniczych.

W rynku, zwanym teraz „Adolf Hitler Platz", głośniki bez przerwy ryczały marsze partyjne i wojskowe oraz różne pieśni rodzaju „Deutschland ist Saar". Trzeba przyznać, że Niemcy umieli „robić" propagandę. Szczególnie wspaniała była oprawa architektoniczna i wystrój zewnętrzny, co można dziś stwierdzić oglądając zdjęcia z różnych Parteitagów i innych hitlerowskich spędów.

Olkusz z okazji stania się „Uhr Deutsche Stadt" poddano odpowiednim zabiegom „upiększającym". W barierkę metalową balkonu Magistratu - centralnej budowli w rynku - wmontowano i przyspawano wielką metalową swastykę, (w której wyłamaniu miałem zaszczyt brać udział między innymi i ja w 1945 roku). W 1942 roku - w lecie, zorganizowano też Parteitag. Spędzono z Katowic i okolicznych miejscowości Górnego Śląska wszelkiego - przeważnie najgorszego - autoramentu zaprzańców, którzy poubierani w żółte partyjne i żółto-czarne hitlerjugend mundury zalali Olkusz.

Cała ta „swołocz" maszerowała ze stacji na rynek głośno i hucznie, przy warkocie werbli i wrzaskliwym pisku trąbek, ozdobionych proporczykami z hitlerowskimi emblematami, wysłuchaniu gromkich przemówień różnych propagandaleiterów zebrani przysięgali, że Ilkenau jest i będzie „immer Deutsch". Śpiewali, krzyczeli, heilo-wali i urządzali odpowiednie na taką okazję szopki.

Ale kiedy to zbiegowisko zostało rozwiązane i jego uczestnicy rozpełzli się po mieście, to nie szukali oni śladów „niemieckości" Olkusza, a dopytywali się czystą polszczyzną o adresy mieszkających tu krewnych - których polskość i patriotyczna postawa były znane - a niektórzy pytali wprost „gdzie tu można kupić słoninę lub mięso".

Mając od „Jasia" polecenie obserwacji tego zbiegowiska, pilnie wychwytywaliśmy tego rodzaju zachowania i nie potrzebuję dodawać, że albo dawaliśmy błędne wskazówki, co do adresów rodzin, albo kierowaliśmy ich po mięso i słoninę do konfidentów Gestapo lub takich jak oni volksdeutschów. Zdając nazajutrz sprawozdanie i referując wyniki naszych obserwacji cieszyliśmy się, chociaż tym, że ci, którzy dla lepszej kartki żywnościowej wyparli się polskości, którzy przyjechali przysięgać, że Olkusz będzie zawsze niemiecki, po odprawieniu tego „diablego nabożeństwa", gdy chcieli nabyć żywność, musieli spuścić z tonu i posługiwać się mową ojców. Kolportując potem te okruchy radości staraliśmy się rozdmuchiwać te małe iskierki satysfakcji i przekazując je razem z wiadomościami z nasłuchu radiowego, staraliśmy się, chociaż w ten sposób zapobiegać upadkowi ducha patriotycznego. Niebezpieczeństwo tego zjawiska było aktualnie groźne, albowiem nad Europą zaciągnęły się ciężkie chmury hitlerowskich sukcesów militarnych, zasłaniając, zdawałoby się na zawsze, nadzieję na złamanie tej potęgi i odrodzenie się polskości na tych ziemiach.

7.

Kiedy nam już to „gazeciarskie" działanie jako tako wychodziło, „Jaś" podniósł poprzeczkę i włączył nas do pracy „hurtowej". Zajmowaliśmy się teraz przejmowaniem i dalszym transportem całych paczek „bibuły". „Jaś" był nadawcą, albo odbiorcą tych przesyłek, druga strona była zawsze nieznana.

Robota ta była może nie zawsze trudniejsza technicznie od poprzedniej, ale dużo niebezpieczniejsza. Bowiem w razie wpadki, pozbycie się takiej przesyłki -siłą rzeczy sporych rozmiarów - lub niewidoczne jej ukrycie w czasie transportu było niemożliwe. Złapanie przez Niemców z takim „towarem" nie dawało żadnych szans zatrzymanemu. Na szczęście takie przypadki nas omijały. Raz, w listopadzie 1942 roku, tego rodzaju nieszczęście otarło się o nas.

A było to tak:

„Jaś" miał przynieść do mojego domu paczkę z prasą, której dalszym transportem miałem się zająć. Dom mój leżał na przedmieściu Olkusza, tzw. Parczach, tuż przy drodze prowadzącej z Olkusza do Klucz. „Jaś" umówiony był ze mną na godzinę 18^{00}, miał przejść ze swojego domu przy ul. Gen. Buchowieckiego, ul. Kościuszki, dalej Mickiewicza, aż do ul. Sobieskiego, gdzie ja mieszkałem. Paczkę z prasą miałem odebrać od niego osobiście, żeby nikogo z domowników nie wprowadzać niepotrzebnie w sprawę.

Niestety, gdy miałem już wychodzić z fabryki, dniówka kończyła się o 17^{00}, wszedł na halę Wilkens i oświadczył, że zatrzymuje całą załogę aż do zakończenia serii walizek przeznaczonych do Berlina. Musiałem zostać i ja, gdyż nie tyle było możliwości, aby mnie ktoś zastąpił przy maszynie.

Wyrwałem się dopiero około godziny 18^{20} i przez dziurę w parkanie pobiegłem do domu. Gdy byłem na rogu ul. Mickiewicza i Górniczej dopadł mnie niemiecki patrol, wciągnął w zarośla, poddając mnie, bardzo dokładnej rewizji i kontroli dokumentów. Zmartwiałem, bo wiedziałem, że „Jaś" musiał tamtędy przechodzić przed kilkunastoma minutami z paczką konspiracyjnej prasy, której ukryć ani zjeść nie był w stanie.

„Urzędowanie" patrolu w krzakach dowodziło, że mam do czynienia z zasadzką, a jeżeli tak, to „Jaś" został przechwycony z „ładunkiem". Od zatrzymywanych ludzi dowiedziałem się, że „łapią" od godziny 17^{30}. Teraz pozostawało jedynie dowiedzieć się, lub spróbować odgadnąć, na kogo dalej polują „blondyni w żelaznych kapeluszach". Jeżeli na mnie, to trzeba niezwłocznie wiać choćby za cenę życia, bo człowiek nie wie gdzie leży granica jego wytrzymałości na ból.

Myśli tego rodzaju przeleciały mi przez głowę w ułamku sekundy i tak byłem nimi przejęty, że pytanie zadane mi po okazaniu kennkarty i zaświadczenia z pracy, na razie do mnie nie dotarło. Dopiero ostry krzyk „nie słyszysz, o co cię pytam?" uświadomił mi, iż pytano mnie o miejsce pracy.

Więc szybko i równie głośno odkrzyknąłem, że pracuję w fabryce pana Schturmbahnfurera SS - inż. Ewalda Wilkensa.

Zwrócono mi dokumenty i kopnięciem w okolicę krzyża zakończono rozmowę, odsyłając mnie w kierunku domu z niezmiennym „raus" na zakończenie.

Ogłupiały i obolały ruszyłem szybko w kierunku domu. Po drodze przychodziły mi do głowy najróżniejsze myśli, jedne czarniejsze od drugich. Tak byłem tym zaaferowany, że wbrew wszelkim zasadom konspiracji, bez stosowanych zwykle środków ostrożności, wszedłem do domu.

Jakaż była moja radość, gdy w kuchni zastałem „Jasia" i paczkę prasy. Okazało się, że znów wbrew stosowanym zawsze zasadom „Jaś" z paczką prasy wyszedł z domu wcześniej, bo po drodze miał coś załatwić i to go uratowało.

Przykład ten dowodzi, jak nieraz życie drwiło tak z zasad konspiracji, jak i z tych, którzy je stosują. Po kilku dniach, kiedy minęło podniecenie tym incydentem - transporty z prasą ruszyły znów zwykłą drogą.

Okupacja była okresem, w czasie, którego ludzie z własnej woli i inicjatywy wikłali się w sytuacje groźne i niebezpieczne, ale zdarzało się też, że sytuacje te w sposób niezawiniony i bez powodu same ich zaskakiwały i wikłały w niebezpieczeństwa. Tak też w tej sprawie było i ze mną.

8.

Była już późna jesień 1942 roku. Czas przykry i fizycznie — ciemno, zimno i głodno - i psychicznie - wojska hitlerowskie osiągały efektywne sukcesy. Smutne, nękające myśli, same sączyły się do świadomości.

Mimo młodości sen nie zawsze przychodził zaraz po położeniu się do łóżka, choć byłem w naszym domu, miejscu serdecznie przytulnym, kojącym najbardziej rozszalałe wojną myśli i emocje.

Nasz dom!

Dom stary, drewniany, pomalowany brązową fabryczną farbą, z białymi ramami okien, przed którymi latem kwitły różowe malwy i żółto wysokie kwiaty o zielonych łodygach, zwane pannami.

Miły stary dom, dom życzliwej gościny dla ludzi, dom ludzi życzliwych, dom mej młodości. Wspominam go z czułością, jak wszystko, co minęło i już nigdy nie wróci.

Kochany dom, do którego drzwi wejściowe były zawsze otwarte dniami i nocami, bez względu na to, czy jego mieszkańcy przebywali w nim, czy nie. Jeżeli już z tych czy innych przyczyn drzwi zostały zamknięte, to zawsze klucz leżał we framudze okienka nad drzwiami, o czym wiedział każdy okoliczny mieszkaniec - a nie zdarzyło się w czasie okupacji, aby kogoś na Parczach okradziono.

Dom nasz zawsze był przytuliskiem dla ludzi poszukujących schronienia.

Jak tylko pamiętam zawsze w tych otwartych drzwiach widzę ludzi pojawiających się nagle, niebezpiecznie i tak też znikających. Niektórzy pozostawali tygodniami - jak nieżyjący Stanisław Kania, zbiegły z przymusowych robót w Reichu - inni parę dni - jak uciekający z katorżniczej pracy w Berlinie Marian Nowacki - czy też „Miś", ,który, jadąc z Warszawy, przekroczył granicę G.G. w Rabsztynie i uciekając z towarzyszami przed tropiącymi ich Grenzschulzami, nad ranem wpadł w te zawsze otwarte drzwi i skutecznie się ukrył. Przechodzili i inni, lecz nazwisk ich już nie pomnę.

Dom nasz stał na dalekim przedmieściu, ale tuż przy drodze, więc nocą wychwytywał wszelkie odgłosy, jak pudło rezonansowe instrumentu strunowego. Bocznymi uliczkami tego przedmieścia Pacz - z drogi prowadzącej z Katowic, można było, omijając miasto - przejść do szosy wolbromskiej, tj. na Sikorkę, z której już łatwo było dojść do lasów rabsztyńskich, będących wrotami z Reichu, czyli z Olkusza do Generalnego Gubernatorstwa - do Wolbromia. Oczywiście, wrota te były pilnie strzeżone przez żandarmerię, grenzschutz itp. „instytucje". Z tego też powodu nocami często było słychać odgłosy ucieczek, gonitwy i strzałów.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Gdzieś koło godziny pierwszej usłyszałem w pobliżu drzwi wejściowych ni to szmer, ni to hałas, ni to odgłosy cichej rozmowy. Oczywiście szybko znalazłem się przy drzwiach. Na pytanie - kto tam -usłyszałem wypowiedziane cicho „Panie, otwórz pan, Niemcy nas gonią". Szybko otworzyłem drzwi i... zdębiałem. Do sieni wpadło kilkanaście osób dorosłych, w tym również kobiety. W blasku wątłej żarówki zobaczyłem wyostrzone strachem, semickie rysy przybyszów. Natychmiast zamknąłem drzwi na klucz, zgasiłem światło i po ciemku upchnąłem ich w kącie kuchni, między drzwiami a oknem. Sam chciałem wyjrzeć na ulicę, żeby zobaczyć, kto ich ściga.

Nie zdążyłem. Rozległ się stukot podkutych butów i ostre łomotanie do drzwi. Pytanie „kto tam"? nie miało w tych warunkach sensu. Jednocześnie z odemknięciem drzwi wali się na mnie dwóch żandarmów i podtykając mi pod nos lufy parabellum, pytają tym charakterystycznym niemieckim gardłowym wrzaskiem - „Był tu, kto?, uciekali ludzie?."

Jak to zwykle w takich sytuacjach bywało, zaczynam dość płynnie mówić po niemiecku. Zdaje mi się, że to mówi ktoś stojący obok mnie.

„Nie, nikogo nie było, chcecie panowie zobaczyć - proszę. Otwieram szeroko duże, jednoskrzydłowe drzwi, prowadzące z sieni do kuchni. Wiem, że nimi najlepiej zasłonię kąt, do którego przed chwilą wepchnąłem uciekinierów. Zapalam światło, które natychmiast gaszę z okrzykiem „verdunklung". Nie muszę nic wyjaśniać, bo jasna plama okna dowodzi, że w oknach nie ma zasłon przeciwlotniczych. W momencie zapalania żarówki żandarmi zobaczyli -w ich polu widzenia - czyściutko wysprzątaną, jak to tylko potrafiły robić nasze matki, kuchnię, tchnącą nocnym spokojem i pustką.

To ich uspokaja. Ponawiają pytanie, czy ulicą ktoś nie uciekał. Teraz skwapliwie potakuję i wyprowadzam nachalnie obydwóch „ubermenschów" na ulicę, wskazując kierunek, w którym miały uciekać widziane przeze mnie osoby. Skierowałem ich oczywiście w stronę miasta i majaczącego w dali domu Kubiczka, w którym po wyrzuceniu gospodarzy rezydowała „Ortsgendarmerie". Pobiegli bardzo szybko.

Wracałem do domu śmiesznie wolno. Pierwsze dopadły mnie kobiety. Drżały całe i sprawiały wrażenie trzepoczących ptaków. Jedna przez drugą pyta - czy poszli?, gdzie poszli? itp.

Po wyjaśnieniu sytuacji wyprowadziłem moich nocnych gości w kierunku Sikorki, na stary szlak kuriersko-przemytniczy, wiodący przez lasy rabsztyńskie, przez granicę w kierunku Wolbromia i Miechowa.

Wracałem krok za krokiem na miękkich nogach, zmęczony krótkimi, ale intensywnymi przeżyciami kończącej się nocy. Zwolna ustępowały strach, napięcie, zwidy płonącego domu i rozstrzeliwanej rodziny - obrazów towarzyszących zwykle faktom przyłapania przez Niemców ludzi udzielających pomocy Żydom.

Nigdy już więcej nie zetknąłem się z żadnym z moich nocnych gości, mimo, że pilnie wypytywałem o nich. Nie wiem czy doszli tam gdzie zamierzali w ową deszczową, ciemną noc jesienną. Pociechą był fakt, że ani tej nocy, ani w następujące po nich noce i dni, Niemcy nie schwytali w pobliżu żadnych Żydów.

9.

Żeby już więcej nie wracać do naszych perypetii, związanych ze służbą pisanemu i drukowanemu słowu, muszę wspomnieć jeszcze dwa fakty, które nie są związane z poprzednio opisanymi, ani też nie są powiązane ze sobą. Zaznaczyć bowiem trzeba, że kolportaż konspiracyjnych pism trwał do końca okupacji i był jednym z naszych stałych zajęć.

Przyłączenie Olkusza do Reichu i przemianowanie go na IIkenau, aczkolwiek nie było związane bezpośrednio z naciskiem na Polaków by wpisywali się na volkslisty, to, jeżeli nie ustawiało nas w pozycji niewolniczej, to przygotowywało nas do tej roli. I tak, otrzymywaliśmy kennkarty, w których nie była wymieniona przynależność państwowa. Kennkarty polskie odróżnić mógł tylko ten, kto orientował się, że skośny różowy pasek, na okładce oznacza Polaka. Z drugiej zaś strony naukę w szkołach powszechnych dla Polaków zredukowano do minimum, a pozostałe szkoły zamknięto. Wymogi stawiane uczniom w zasadzie ograniczały się do umiejętności pisania, czytania i rachowania. Sytuacja ta bardzo nas niepokoiła i była przedmiotem wielu naszych dyskusji przeprowadzanych w 1943 roku. W ich efekcie „Jaś", jak zwykle swoimi ścieżkami, o które oczywiście nie odważylibyśmy się pytać, wydębił książki do nauki w szkole powszechnej i to od pierwszej klasy. Nie zapomnę tej chwili, kiedy wśród największego terroru okupacyjnej nocy, przyszła z Warszawy paczka z podręcznikami. Książki nowiusieńkie, jeszcze pachnące polskością, nowością i farbą drukarską. Transport był niewielki, ale był i bardzo, bardzo cieszył. Dziś przyznam się, że wbrew rozkazom jeden komplet do pierwszej klasy zatrzymałem. No, a skoro miałem książki, musiałem otworzyć szkołę. Jeżeli bowiem tylu ludzi narażało się po to, by podręczniki znalazły się aż w Reichu, to zbrodnią byłoby ich niewykorzystanie. Tak więc moimi pierwszymi uczniami zostały: moja pięcioletnia siostra Marysia i jej trzy koleżanki z sąsiedztwa. Byłem bardzo wystraszony, gdy naukę zaczynałem od tego - jak należy prawidłowo trzymać ołówek w rączce. Co prawda to nie należy do istoty rzeczy, o których chcę pisać, lecz dodam, że szkoła „poszła" i trwała do końca okupacji.

Drugim zdarzeniem związanym z drukowanym i kolportowanym słowem, a mającym istotne znaczenie w naszym konspiracyjnym życiu, było wręczenie „do przeczytania na stojąco" egzemplarza „Kamienie na szaniec". Nie chodziło już o to, jak bardzo upajająca była sama treść tej małej książki. Nas podnosiła z klęczek, na które rzucił nas okupant, sam fakt napisania tej książki, wydania jej i rozpowszechnienia w warunkach konspiracyjnych. Przerzucenie tej książki do nas do Reichu prostowało nam kark i pozwalało trzymać wysoko głowę.

Fakt ten był dowodem, że wśród tego teutońskiego potopu terroru, gwałtu i zniszczenia istnieć musiał potężny ruch oporu, który mógł sobie pozwolić na wydanie książki wymierzonej swą treścią w samo serce wroga. A że dotyczyła ona działania grup harcerskich i leżała w nurcie oczyszczającego nasze młode dusze humanizmu - miała dodatkowe emocjonalne znaczenie. Zdarzenie to miało jeszcze jeden aspekt. Potwierdzało ono słuszność założeń koncepcyjnych „Jasia", co do harcerskiego kierunku ustawiania naszego konspiracyjnego myślenia i działania. Zdawało nam się bowiem nieraz, że kierunek ten w otaczającej nas atmosferze zbrodni, nik-czemności i terroru, trąci myszką.

10.

Bezpośrednim skutkiem przeczytania (czytaj przemodlenia) tej malutkiej książeczki, była odbyta we trójkę („Jaś", „Miś" i ja) narada, na której „Jaś" zezwolił i polecił poszerzyć skład naszej grupy. W efekcie tego 4 marca 1943 roku „Miś" i ja wprowadziliśmy do naszej trójki Kazimierza Gierata, który przyjął pseudonim „Ros". Nabytek ten był bardzo udany.

„Ros" był starszy od nas o rok, robił wrażenie dużo od nas rozważniejszego, a ponadto, co było niezmiernie ważne, jego znajomość niemieckiego była w porównaniu z nami bardzo rozległa. Miał on ukończone 4 klasy bardzo dobrego gimnazjum Salezjanów i w sposób zasadniczy górował nad nami zdobytą tam wiedzą. Z uwagi na to, że mieszkał tylko z mamą i kuzynką, zajmując dwa pokoje z kuchnią, zyskaliśmy jeszcze jedno miejsce, gdzie bezpiecznie mogliśmy się spotykać.

„Rosa" znaliśmy z „Misiem" dużo wcześniej i gwarancje za niego złożyliśmy obaj u „Jasia", który go w ogóle nie znał. Teraz, wbrew trójkowej zasadzie, nasza trójka stała się czwórką. Nieco później, jesienią 1943 roku, „Jaś" zlecił nam w uznaniu naszego dobrego spisywania się w dotychczasowej robocie - i jak podejrzewam lektury „Kamieni" - dalsze poszerzenie naszego składu osobowego w ten sposób, aby każdy z nas utworzył własną trójkę (sekcję).

W wykonaniu tego rozkazu, w listopadzie 1943 r., do sekcji dobrałem Józefa Głowackiego, ur. w 1923 r. i Irenę Kac, obecnie Sławiec, ur. w 1924 r. Głowacki przyjął pseudonim „Skrzypek", a Ka-cówna „Zośka". Zaprzysiężenie ich odbyło się 11 listopada 1943 r.

„Skrzypek" był moim i „Misia" kolegą gimnazjalnym. Mieszkał w Żuradzie, a pracował w Zarządzie Dróg w Olkuszu. Przydatność jego była duża, gdyż wachlarz informacji, jakie dotąd zbieraliśmy, poszerzał się o teren sąsiadującej z Olkuszem dużej wsi Żurada. Dodać trzeba, że Żurada leżała na skraju lasów otaczających Olkusz od południa i zachodu, co miało bardzo duże znaczenie dla kontaktu z oddziałami leśnymi. Oczywiście informacje od „Skrzypka" otrzymywałem wcześniej, ale sporadycznie i na zasadzie luźnych rozmów. Obecnie, po formalnym przyjęciu go do sekcji i zaprzysiężeniu, te informacje przybrały formę normalnych meldunków wywiadowczych. Składałem je „Jasiowi", a ten przekazywał je dalej - gdzie? - jak zwykle nie odważyłem się nigdy zapytać.

12.

Podobnie rzecz się miała z „Zośką". Znałem ją dawniej, znali się nasi rodzice. Miałem do niej duże zaufanie i myślę, że ona do mnie też. Była sympatią mego kolegi „Rosa". Z prowadzonych z nią rozmów korzystałem wiele. Pracowała w niemieckim Urzędzie Gminy Rabsztyn, z tego tytułu posiadała wiele wiadomości, które mnie, jako członka konspiracji, bardzo interesowały. Przypuszczam, że przyczyna mojej nadmiernej ciekawości została przez nią rozszyfrowana dużo wcześniej, ale taktownie nie dawała poznać, że wie, o co chodzi. Wciągnięcie jej do konspiracji było, moim zdaniem, bardzo dużym osiągnięciem i powodowało wzrost intensywności napływu informacji.

Jak już nadmieniłem „Zośka" pracowała w niemieckim Urzędzie Gminy Rabsztyn z siedzibą w Olkuszu. Do Gminy tej należały wsie otaczające Olkusz. W miejscu pracy „Zośka" była przez wszystkich łubiana, jako tzw. wesoły trzpiot. Nigdy na jednym miejscu nie mogła usiedzieć i dlatego nikt się nie dziwił nagłym jej pojawieniu się w najbardziej nieprzewidzianym miejscu. Zaleta ta w naszej pracy była nie do pogardzenia i umiejętnie wykorzystywana, dawała świetne rezultaty. Przyjaźniła się ona z pracującą w tejże Gminie Anne Marie K., Niemką i dzięki temu miała dostęp do wiadomości i informacji ze środowiska „kolonii" niemieckich urzędników w Olkuszu.

Teraz więc, po zaprzysiężeniu „Zośki", nie trzeba było prowadzić z nią podchwytliwych rozmów, gdyż informacje płynęły systematycznie i dotyczyły spraw, które uważaliśmy za ważne, lub też „Jaś" zlecał dodatkowe ich uzyskanie. „Zośka" z godną podziwu starannością i ochotą zdobywała je i dostarczała.

Zdobywaliśmy więc dzięki niej np. dane dotyczące kontyngentów produktów rolnych, które musia-

ły składać poszczególne wsie, terminy ich dostaw, miejsce ich składowania, nazwiska i charakterystyki urzędników niemieckich, hasła nocne obowiązujące w poszczególnych wsiach w określone noce itp. ważne wiadomości.

Mając na uwadze, że przez wsie okalające Olkusz prowadziły partyzanckie ścieżki - nie trzeba dodawać jak wielkie znaczenie miała znajomość nocnych haseł obowiązujących w tych wsiach, bądź też miejsce i czas kontyngentowych wypraw niemieckich.

Przy omawianiu działalności „Zośki" nie sposób pominąć jej osobistej odwagi w podjęciu decyzji o wstąpieniu do konspiracji i pracy w niej.

Rodzina jej mieszkała od dawna w Olkuszu, a ojciec jej prowadził Zakład Blacharski. Pochodził on z rodziny żydowskiej. Przed swym ożenkiem, - gdzieś w latach dwudziestych, ochrzcił się. Razem z żoną i trojgiem dzieci prowadzili spokojny i dostatni tryb życia rodziny katolickiej, cenionej i szanowanej.

Z chwilą wkroczenia okupanta, a w szczególności wprowadzenia Getta, nad całą rodziną zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Najwcześniej zwietrzył je ojciec „Zośki", powszechnie nazywany „stary Kac", w odróżnieniu od swych synów nazywanych „młodymi Kacami".

Tak Więc „Stary Kac", mimo że sam był mistrzem blacharskiej sztuki, zatrudnił się w charakterze robotnika w warsztacie blacharskim Volksdeutscha Jurgi. Pracował u niego i na niego, własnymi rękami i własnymi narzędziami.

Na początku 1940 roku, przy jakiejś okazji czy też bez okazji, Niemcy zaaresztowali obydwóch młodych Kaców, wówczas 14 i 17 letnich chłopców i wywieźli ich do Oświęcimia.

„Stary Kac" czując niebezpieczeństwo wpadł na genialny pomysł. Spakował swoje blacharskie narzędzia i zgłosił się jako ochotniczy robotnik do Konzetrtionslager Auschwitz.

Dawało mu to status wolnego robotnika. Po pewnym czasie przydzielono go do brygady blacharskiej więźniów. W brygadzie tej pracowali obaj jego synowie. A że los czyni niespodzianki seriami, to przełożonym starego wolnego Kaca był jego starszy syn, który w brygadzie tej pełnił funkcję majstra. Oczywiście, pokrewieństwo to Kacowie utrzymali w tajemnicy do końca wojny. Okoliczności te pozwoliły na stałe kontakty, w szczególności na odcinku żywności -a to oznaczało - życie.

Do Olkusza nie przyjeżdżał „Stary Kac" wynajmując jakąś „klitkę" mieszkalną w Oświęcimiu i tam mieszkał przez całą okupację, ratując się przed niechybną śmiercią.

Gestapo oczywiście od czasu do czasu „odwiedzało" mieszkanie Kaców w Rynku, ale usłyszawszy na pytanie „gdzie jest ojciec z synami" odpowiedź „in Konzentrationslager Auschwitz" dawali spokój i dalszych pytań nie stawiali.

Z „Zośką" wiąże się jeszcze jedno wspomnienie, dość dla niej nieprzyjemne. Było to wczesną wiosną 1941 roku, kiedy to robiliśmy akcję „na szmaty". W drodze obserwacji i wywiadu ustaliliśmy, które z Polek „puszczają się" z Niemcami. Po sprawdzeniu tych informacji sporządzaliśmy listy z odpowiednimi „upomnieniami". Listy te pisała „Zośka", mając doskonale opanowaną sztukę pisania na maszynie.

Nazwisk i adresów nie znała. Chcąc zabezpieczyć się przed ewentualnym rozszyfrowaniem, pisała te listy na maszynie będącej do wyłącznej dyspozycji Niemki Anne-Marie K. W tym konkretnym przypadku „Zośka" wykorzystała fakt, że Anne-Marie K. wyjechała na dwa dni do Katowic. Kiedy spokojnie i w poczuciu bezpieczeństwa przepisywała kolejny zestaw „upomnień" - wpadli do pokoju dwaj Niemcy, wielbiciele Anne-Marie i zaglądając wystraszonej „Zośce" przez ramię pytali „Was schreiben Sie?"

A „Zośka", jak to „Zośka", z filuternym uśmiechem, jak gdyby nigdy nic „Liebesbrief" - i błyskawicznym ruchem bezczelnie przekręciła wałek, uniemożliwiając przeczytanie napisanego tekstu. Niemcy szarmancko i z wyrozumieniem odwrócili się i więcej nie pytali.

Gdy „Zośka" wręczała mi tego dnia pakiet z drukowanymi „życzeniami" - ręce jej jeszcze nerwowo drżały. Tak więc, chociaż pracując w konspiracji, narażaliśmy się wszyscy, to jednak wydaje mi się, że „Zośka" narażała się szczególnie mocno.

13.

Dla mnie utworzenie „mojej trójki", oprócz satysfakcji poszerzenia samej pracy konspiracyjnej, miało jeszcze charakter dodatkowej radości osobistej. Moje wysiłki wokół utworzenia sekcji znalazły uznanie u „Jasia" i w rocznicę wybuchu wojny 1 września 1943 roku mianował mnie dowódcą tej sekcji oraz zastępcą jego, tj. dowódcy, drużyny zwiadu. Byłem bardzo dumny i szczęśliwy, ale jednocześnie się postarzałem, albowiem dotąd martwiłem się tylko o siebie, licząc na pomoc „Jasia", a odtąd musiałem się martwić i o innych, którzy mieli prawo liczyć na mnie i w tych swoich rachubach nie mogli się zawieść. To zobowiązuje.

Wiele spraw, które w tzw. normalnych czasach i warunkach były sprawami prostymi, w warunkach ówczesnych, okupacyjnych, stawało się sprawami nienaturalnie skomplikowanymi i to w sposób bardzo istotny.

Na przykład problem ucieczki w sytuacji rzeczywistego zagrożenia. Rzeczą wydawałoby się normalną, iż człowiek, któremu grozi aresztowanie przez Niemców, powinien uciekać. Każde bowiem ówczesne aresztowanie mogło się przekształcić w niebezpieczeństwo śmierci, czy to w czasie przesłuchania, czy też potem, po osadzeniu w pobliskim obozie oświęcimskim, z którego usług Gestapo olkuskie korzystało nad wyraz często. Tymczasem w owych tragicznych czasach, przy zaistnieniu takiej sytuacji trzeba było prowadzić grę aż do krawędzi katastrofy. Przedwczesna ucieczka - a nuż niepotrzebna? -mogła sprowadzić nieszczęście na całą najbliższą rodzinę. Nie zapomnę tych tragicznych widoków, pochodów całych rodzin z małymi dziećmi i starcami z podniesionymi rękami, prowadzonymi przez żandarmów z bronią gotową do strzału. Jedynym przewinieniem prowadzonych do obozu koncentracyjnego ludzi było to, że subiektywnie, czy obiektywnie zagrożony aresztowaniem ich syn, czy wnuk - uciekł do Generalnej Guberni. Tego rodzaju praktyki Niemców zmuszały do zastanowienia każdego, komu groziło niebezpieczeństwo, a kto chciał zdecydować się na ucieczkę.

To balansowanie na krawędzi niebezpieczeństwa było w owych czasach psychicznie wyjątkowo wyczerpujące. Często też prowadziło do aresztowań, których można było uniknąć, ale z drugiej strony zapobiegało przedwczesnym ucieczkom i eksterminacji całych rodzin.

Mnie również zdarzyło się otrzeć o taką sytuację, a było to tak: Pewnego lipcowego wieczoru 1943 roku przyjąłem do domu wyjątkowo dużą porcję nielegalnej prasy. Odbiorca tej „bibuły", który miał ją dalej transportować, z niewiadomych przyczyn nie zjawił się w mym domu.

Z uwagi na wielkość tej przesyłki nie byłem w stanie dobrze jej ukryć. Denerwowało mnie to do tego stopnia, że nie mogłem w ogóle zasnąć. Noc była jasna, księżycowa, okna domu szeroko otwarte. W pewnej chwili, chyba około północy słyszę przez okno, że przed domem zatrzymuje się samochód. Sekunda i jestem przy oknie. Widzę jak z samochodu wysiada dwóch oficerów Gestapo.

Furtka do ogródka i drzwi wejściowe były niezamknięte z uwagi na to, że ciągle oczekiwałem na łącznika mającego zabrać prasę.

Gestapowcy wchodzą przez furtkę do ogródka.

Co robić?

Przez głowę przelatują myśli z szybkością błyskawic, przy czym jedne czarniejsze od drugich.

Rodzina śpi: Matka, młodszy brat, kilkuletnia siostra. Pierwszy naturalny odruch - uciekać. Ale stają mi przed oczyma ci moi Najbliżsi, jak z podniesionymi rękami prowadzeni są do Oświęcimia przez Żandarmów. To ochładza umysł. Staję się nienaturalnie spokojny. Decyduję, że ucieknę w czasie przewożenia mnie i w ten sposób ochronię rodzinę przed prześladowaniem. Idę więc na spotkanie Gestapowców, żeby cały impet ich nienawiści przejąć na siebie.

Drzwi, za którymi stoję zostają energicznie otwarte.

Nagle opuszcza mnie odwaga, ucieka gdzieś poprzednie rozumowanie chłodne i logiczne. Żałuję, iż nie uciekłem. Gestapowcy, nie wchodząc do domu, pytają... o drogę do Klucz -przyjechali bocznymi uliczkami-i zagubili się na przedmieściu. Obezwładniony tym co się stało nie mogę wykrztusić składnej odpowiedzi. Powoli rwanymi zdaniami udzielam żądanych informacji. Po ich odejściu opuszcza mnie spokój, resztki odwagi i pozostałych wszystkich tego rodzaju „męskich" oznak chce mi się po

prostu płakać.

Gdyby ten stan psychiczny przyszedł na mnie wcześniej -uciekłbym przez okno. Gestapowcy zastrzeliliby mnie z łatwością - noc jasna, okna i drzwi wychodzą tylko na tę stronę skąd nadchodzili „czarni rycerze". Dom oczywiście zostałby zrewidowany, znaleziono by transport nielegalnej prasy, los rodziny mógłby być tylko jeden - Oświęcim.

Tak więc wpajanie nam przez „Jasia" zasady, że ucieczka musi być ostatecznością, okazało się, jak zwykle słuszne. Ile to kosztowało strachu, tego nikt nie wie, bo „prawdziwi mężczyźni" nigdy się nie boją.

14.

Niezależnie od pracy z moją sekcją, szła pełną parą praca w mojej macierzystej grupie, dowodzonej przez „Jasia". Ponieważ, jak wspomniałem „Jaś" ustawiał nas psychicznie -nie na zabijanie naszych wrogów - do czego najbardziej nas ciągnęło - więc siłą rzeczy dawał nam zadania z dziedziny wywiadu. W tym też kierunku prowadził z nami stałe szkolenie. Podstawowymi tematami były między innymi zasady obserwacji różnych obiektów, szkicowanie ich i sporządzanie ich planów oraz różnego rodzaju map, ich odczytywanie, obserwacja osób i ukrywanie się przed nimi oraz tym podobne. Oprócz wygłaszania wykładów prowadzonych na te tematy, „Jaś" wyprowadzał nas w teren i prowadził tam zajęcia praktyczne. Poza zajęciami szkoleniowymi nie ustawaliśmy w wysiłkach zbierania informacji o zakładach pracy położonych w Olkuszu, w tym i Fabryce, w której pracowaliśmy. Specjalnie dużo wysiłku wkładaliśmy w wykrywanie i zbieranie informacji o ludziach, których podejrzewaliśmy, że albo współpracują z Niemcami albo też tak pracują i zachowują się, iż w istocie działają na korzyść Niemców, a tym samym na szkodę Polaków. Sprawa nie była prosta, bo o błąd w tamtych skomplikowanych czasach nie było trudno, a podejrzenie najcięższe - działanie na rzecz zbrodniczego okupanta.

W efekcie obserwacji, rozmów i narad, doszliśmy do wniosku, że w naszej Fabryce najbardziej groźny dla całej załogi był nieoficjalny kierownik Fabryki, Franciszek Włodarczyk, o którym wspomniałem na wstępie.

Oprócz tego, że to on powodował podnoszenie norm wydajności pracy - za co, jak ustaliliśmy, otrzymał specjalne wynagrodzenie - z własnej inicjatywy kontrolował czy „załoga" (w tym 30 -70 dzieci w wieku 14 -16 lat) pracuje na pełnych obrotach, tj. grubo powyżej swych biologicznych możliwości, ujawniliśmy jeszcze inne formy jego „działalności".

W okresie od roku 1943, po wywiezieniu robotników - Żydów do obozu - uprzednio zlikwidowano w 1942 roku Getto - zmienił się skład osobowy załogi Kofferfabrik. Fabrykę zapełniono kobietami i młodymi dziewczętami oraz młodymi chłopcami. Starszych, powyżej 16 -17 lat wywieziono albo w głąb Rzeszy do pracy u „Bauerów", albo do pobliskiego Oświęcimia, gdzie „Buna" budowała fabrykę benzyny syntetycznej.

Właśnie te młode dziewczyny stały się przedmiotem „zabiegów" Pana Buchaltera Włodarczyka. Za pomocą zatrudnienia w lżejszej i lepiej płatnej pracy, alkoholu itp. przeprowadzał te młode i niedoświadczone dziewczyny - przez łóżko. Oczywiście nie gardził i starszymi, ale te wiedziały, co robiły.

W sprawie tej był jeszcze jeden aspekt, chyba najważniejszy. Chodziło o niebezpieczeństwo wyciągnięcia od podchmielonych swych ofiar wiadomości, które mogły grozić nieobliczalnymi skutkami dla ludzi pracujących w konspiracji. Wiedzieliśmy, że pracujące w „naszej" Fabryce dziewczyny kontaktują się, jak to zwykle młodzi, z chłopcami z tej Fabryki i różnych innych zakładów, znajdujących się w Olkuszu. Wiedzieliśmy też, że nie jesteśmy jedyną grupą konspiracyjną i że sporo młodzieży bierze udział w tej pracy na terenie Olkusza.

Niebezpieczeństwo więc przechwycenia ważnych informacji było całkiem realne. Tego lekceważyć nie mogliśmy, tym bardziej, że nie mieliśmy wątpliwości, iż Włodarczyk jest konfidentem Sturmbahnfuhrera SS Wilkensa.

15.

Przerywając nić narracji muszę zaznaczyć, że w tym czasie do mojej trójkowej sekcji dołączyła czwarta osoba. Był nim Adam Urasiński, ur. w 1927 roku, który przyjął pseudonim „Czarny". Był on zatrudniony jako pomoc buchalteryjna w biurze Kofferfabrik. Sam Wilkens zajął ich dom, z którego wyrzucił jego wraz z matką. Ojciec jego, po wyroku skazującym go zaocznie na pobyt w obozie oświęcimskim uciekł do Generalnej Guberni i tam ukrył się do końca wojny.

„Czarny" był chłopcem młodszym od nas o około pięć lat, a to w tym czasie było bardzo dużo, o trudnym charakterze i bardzo kontrowersyjnym postępowaniu. W związku z tym nie mógł w ogóle liczyć na to, że dobierzemy go do naszego zespołu konspiracyjnego. Był bez szans. A że był to chłopiec inteligentny i myślący zastosował gangsterski, ale w tej sytuacji jedynie skuteczny chwyt.

Któregoś dnia odwołał mnie do pustej szopy, stojącej w rogu fabrycznego podwórka i odezwał się mniej więcej tak: wiem, że z Januszem Ścisłowskim jesteście w organizacji konspiracyjnej. Jeżeli nie chcecie być zdekonspirowani — musicie mnie też przyjąć.

Oświadczyłem mu, że ze zrozumiałych względów nie mogę tej rozmowy kontynuować i że powiadomię go o tym, kiedy będziemy mogli ją dokończyć. Ogarnięty najgorszymi przeczuciami poleciałem czym prędzej do „Jasia", pytając co mam robić w takiej sytuacji.

„Jaś" zdecydował, że trzeba się naradzić z „Losem" i „Misiem". Mieliśmy bardzo smutne miny w czasie tej bardzo burzliwej rozmowy. Stanowiska nasze w zasadzie były negatywne, gdyż sam sposób postawienia sprawy przez „Czarnego" determinował naszą postawę.

Ale „Jaś" spokojnie i jak zwykle trochę przewlekle, nie ukrywając dramatyzmu zaistniałej sytuacji, stwierdził: „Ano, co się stało to się nie odstanie". Skoro „Sokoła" (tj. mnie) Adam odkrył, to niech on będzie dla niego odkryty, ale tylko on i nikt więcej. On go formalnie przyjmie do konspiracji i zaprzysięgnie, on mu będzie wydawał rozkazy i pilnował ich wykonania. Adam może się przydać, bo pracuje w biurze, zna niemiecki i wie, co się w kierownictwie Fabryki mówi i dzieje, a to nas bardzo interesuje. Natomiast nie należy jego kontaktów poszerzać ani o jedną osobę - rozkazującym głosem zakończył swój monolog „Jaś".

No i stało się, miałem o jednego podkomendnego więcej.

Po tej naradzie, jak pamiętam, gdzieś w połowie maja 1944 r., w tej samej szopie, w której Adam przeprowadził ze mną tę pokerową rozmowę, został przeze mnie zaprzysiężony i w ten sposób został członkiem konspiracji, przyjmując pseudonim „Czarny". Nie pamiętam, abym w tym początkowym okresie naszej wspólnej pracy był wolny od strachu. Ale słowa „Jasia" spełniły się, z „Czarnego" mieliśmy dużo pożytku.

16.

Wracam teraz do sprawy Włodarczyka.

Po bacznej i poszerzonej obserwacji, tak pod względem miejsca, jak i osób, ustaliliśmy, że Włodarczyk odnajmuje pokój z osobnym wejściem u byłego nauczyciela Królikowskiego. Był to pierwszy dom po lewej stronie ulicy Mickiewicza, za parkiem. Warto wtrącić, że najstarszy, a w naszym będący wieku syn Królikowskiego - Zbyszek - dokonał w tym okresie zamachu na konfidenta w Fabryce RUH= (dawniej Szkoła Rzemieślnicza) i został w związku z tym aresztowany i już, niestety, nigdy nie wrócił. Najprawdopodobniej został przez kogoś „sypnięty". Ustaliliśmy, że osobą „wprowadzającą" dziewczyny do tego „lokalu" jest pani K. /żona oficera zawodowego WP, przebywającego w Oflagu/ pracująca w naszej Fabryce.

Tak więc nie ulegało wątpliwości, że obydwie te osoby współpracują ze sobą i w związku z tym muszą zostać skutecznie ostrzeżone, celem powstrzymania ich w dalszej działalności tego typu.

Na liście „ostrzegającej" znalazło się jeszcze kilka innych osób, których nazwiska i bliższe dane uleciały mi z pamięci. W każdym razie podkreślić tu trzeba, że bardzo duże usługi w tej akcji oddali, działając niezależnie od siebie, „Mis" i „Czarny".

Po zebraniu danych i naradzie zastanawialiśmy się, jak zorganizować renegatom tę „pouczającą lekcję". Obradowaliśmy jak zwykle we czwórkę, „Jaś", „Ros", „Miś" i ja. Dwaj ostatni byli za tym, żeby po rozpracowaniu do końca zainteresowanych, porządnie ich pobić. „Jaś" jeszcze nie miał wyrobionego poglądu. Był on od nas starszy i poważniejszy, żonaty, miał wtedy maleńką córeczkę w pieluchach. Z tych powodów jego wszystkie wypowiedzi i opinie były zawsze wyważone i tchnęły spokojem.

Tak więc i teraz na nasze propozycje zapytał „skąd bici będą wiedzieli za co ich bijecie?" - na to ja i „Miś" - „no, powiemy im". Po wypowiedzeniu tego zorientowaliśmy się, że „Jaś" nas wpędził w ślepy zaułek. Stało się jasne, że po głosie rozpoznano by nas na pewno.

Po wymianie zdań ustaliliśmy, że wyślemy listy ostrzegające. Rozważając aspekty technicznego wykonania tej akcji proponowaliśmy napisanie tych listów na fabrycznej maszynie, do której „Czarny" miał dostęp. Ale znów „Jaś" ostrzegał, iż niebezpieczeństwo rozszyfrowania „Czarnego" jest pewne, wobec tego 4-osobowego składu całego biura.

Rada w radę doszliśmy do wniosku, że listy ostrzegawcze napisze „Ros" który pracuje poza Olkuszem. „Ros" zgodził się bez wahania, choć dziś dopiero widzę, na jakie niebezpieczeństwo się narażał.

Tak więc, po ustaleniu treści listów „Ros" pięknym półblokowym charakterem je wykaligrafował. Popatrzyliśmy, owszem - podobało się, ale pismo bez pieczątki „nie uchodzi". Kupiliśmy więc powszechnie dostępną drukarenkę ręczną, tzn. pewną ilość gumowych czcionek i drewnianą szynę, w którą można było wsunąć trzy rzędy liter. Tekst maczało się w poduszce z tuszem i odbijało jak pieczątkę. Żeby było poważniej, to po odbiciu w lewym górnym rogu wspomnianej pieczątki: „Oddział Żandarmeryjno - wywiadowczy" umieściliśmy przy podpisie piękną kotwicę -wpływ „Kamieni na szaniec", której stempel wykonałem z gumki do wycierania pisma ołówkowego. Tak spreparowane pisma zapakowaliśmy w koperty i wrzuciliśmy do skrzynki pocztowej w Rynku, na budynku Landratamtu - dawniej starostwa.

„Czarnemu", któremu opisałem wygląd kopert i zmyślonego nadawcę, poleciłem ustalić czy list do Włodarczyka doszedł i jaka była jego reakcja. Po trzech dniach mogłem „Jasiowi" zameldować, że list doszedł, a Włodarczyk po przeczytaniu go, zielony na twarzy opuścił pracę, do której nie przychodził przez trzy dni - pił.

Po tym ostrzeżeniu zaprzestał nalatywania na robotników, rozpijania dziewcząt - słowem jako tako się ustatkował. Doszły również listy adresowane do innych osób.

Akcja ta miała jednak i inny, bardzo dla nas, a szczególnie dla „Jasia" - nieprzyjemny rezonans.

Ni mniej ni więcej, tylko wezwano go do jego konspiracyjnego dowódcy (chyba "Waldasa") - gdzie dostał sporą reprymendę za to, że wysłał list ostrzegający do członkini naszej organizacji konspiracyjnej. A w ogóle, to nasza drużyna przejawia za dużo inicjatywy no i że musimy działać ostrożniej, a pewne pociągnięcia uzgadniać. Chodziło o Panią K., żonę oficera, a rajfurkę Włodarczyka, no i o tę naszą pieczątkę w nagłówku i podpisie. No cóż, musieliśmy przełknąć tę pigułkę.

17.

Z naszą dumną pieczątką firmową oraz kotwicą niestety musieliśmy się pożegnać i to w sposób i w okolicznościach dla nas niezbyt przyjemnych. „Jaś" musiał ją własnoręcznie zanieść i oddać „Waldasowi", który ją zarekwirował, gdyż używaliśmy jej bez zezwolenia.

A tak pięknie i groźnie wyglądała: „Oddział Żandarmeryjno--Wywiadowczy" - to brzmiało i ta kotwica, moje artystyczne dzieło. Trudno, nie było innego wyjścia. Zapakowaliśmy wszystko w zawiniątko i „Jaś" zabrał to w ostatnią drogę. Potem dowiedzieliśmy się, że wyrok na pieczątkę podpisaliśmy i to drugim listem. Otóż, chyba z polecenia samego „Waldasa", mieliśmy śledzić jakiegoś volksdeutscha, nam nieznanego, mieszkającego na Czarnej Górze. Główną robotę obserwacyjną wykonał „Miś", a „Ros" i ja trochę mu pomagaliśmy. „Miś" w toku obserwacji ustalił, że w pobliżu obserwowanego "obiektu" kręci się ciągle jakiś osobnik, wygląda na to, jak gdyby był jego „obstawą".

Potwierdził to spostrzeżenie „Ros". Postanowiliśmy nastraszyć tego osobnika, który nam przeszkadzał w obserwacji.

Szybko ustaliliśmy jego nazwisko i adres. Następnie spreparowaliśmy pismo, z którego wynikało, że lepiej będzie jeżeli wieczorami będzie siedział w domu, a nie pętał się w określonych miejscach.

Pismo opatrzyliśmy naszą piękną i groźną pieczątką na początku i na końcu podpisem i kotwicą. Tu jednak okazało się, że piękne złego „pieczątki", lecz koniec żałosny. Okazało się, że obserwację naszego podopiecznego zlecono również innej grupie konspiracyjnej. Tym nam przeszkadzającym osobnikiem był właśnie wywiadowca z tej innej grupy.

Pocieszaliśmy się jednak tym, że my wyśledziliśmy tamtego wywiadowcę, a on nas nie dostrzegł. Druga pociecha przyszła później, kiedy „Miś" zameldował, iż pani oficerowa ewakuowała się razem z Niemcami.

18.

Ciężki był koniec roku 1943. Byliśmy fizycznie bardzo wyniszczeni. Psychicznie też czuliśmy się nie najlepiej.

Mimo, że było już dostrzegalne hitlerowskie przesilenie strategiczne, ale fronty były tak odległe. Nawet na mapie oddzielały nas od miejsc, gdzie alianci uzyskiwali nareszcie przewagę, ogromne połacie papieru.

Tymczasem każdy dzień powodował szczerby w naszym narodzie. Jedni ginęli od kul na ulicy, inni w potyczkach leśnych. Poczta dostarczała rodzinom wiadomości iż ich najbliżsi takiego to dnia „z powodu choroby serca"- zmarli.

Pogrzeb odbył się na koszt Państwa Niemieckiego. Podpisano Komendant Konzentrations Lager Auschwitz ... Dachau ... Umierali też ludzie normalnie - w łóżku - z powodu wycieńczenia nadmierną pracą, niedożywienia, niedoleczenia itp. zwykłych zjawisk ówczesnego życia codziennego.

Żal było tych ludzi, którzy jak my wszyscy, żyli nadzieją doczekania wolności, doczekania dnia, w którym zostanie rozbita ta cholerna niemiecka maszyna do gnębienia i niszczenia całych narodów.

Nigdy nie zapomnę, jak w 1941 roku umierał ojciec mego przyjaciela, Stanisław Kania, prawie analfabeta. Mieszkał w domu na górnych Parczach. Cały dom składał się z sieni i jednej, jedynej izdebki. Syn jego, a mój przyjaciel, został wywieziony do Niemiec. Więcej dzieci nie mieli. Widać było, że dni jego były policzone. Okresy przytomności przeplatały się z okresami maligny. Gdy odzyskiwał przytomność nie pytał ani o syna, ani o żonę, tylko zwrócił się do mnie z pytaniem: „co teraz będzie, Niemcy zagarnęli Węgry, Rumunię, Bułgarię, a teraz wkroczyli do Jugosławii?".

19.

Ale wróćmy do końca 1943 r. Nadmierne przeciążenie pracą i permanentne niedożywienie zrobiły swoje.

Dodać muszę, że organizm mój, poza wyżej wymienionym obciążeniem, był jeszcze dodatkowo dociążony dokształcaniem. Bowiem „Ros", którego wojna zastała przed maturą, nie chcąc stracić zasobów osiągniętej wiedzy, zgodził się przekazywać mi całą wiedzę, jaką posiadł w salezjańskim gimnazjum z dziedziny matematyki, chemii, łaciny i fizyki.

Przerabiając ze mną te przedmioty uczył mnie, a swoją wiedzę utrwalał. Bardzo często Mama jego dokładała do tego kolację. Był to i dla niego i dla mnie dodatkowy wysiłek. Oczywiście „zadań domowych" nie robiłem w domu, bo nie miałem ani siły, ani możliwości. Karbidowy kaganek nie rozświetlał na tyle mroku w domu, aby można było przy nim czytać czy pisać. Radziłem sobie w ten sposób, że „zadany" materiał wypisywałem sobie na kawałkach „hartplatty" (materiału, z którego robiliśmy walizki) i jak z tablicy uczyłem się go na pamięć.

Oczywiście, w tym czasie wykonywałem na maszynie normalną, dość obciążającą pracę.

W ten sposób przyswajałem sobie układ pierwiastków chemicznych Mendelejewa, zawiłe kombinacje stosunków boków i kątów w trygonometrii, zasady i wyjątki końcówek poszczególnych koniugacji i deklinacji, mądrej gramatyki łacińskiej.

Ale każda odporność ma swoje granice. Tak też się stało i ze mną.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem 1943 roku zacząłem tracić siły, a następnie przyszła gorączka. Kiedy już rano przez kilka dni z rzędu osiągała poziom przekraczający 38° i żadne aspiryny nie pomagały, udałem się do lekarza. Niestety, dwóch kolejnych lekarzy stwierdziło, że mam zaawansowaną grypę i to w dość groźnej (z uwagi na wyczerpany organizm) postaci. Ustaliwszy, że jestem pracownikiem SS Sturmbahn fuhrera Wilkensa, zapisali leki, ale odmówili wydania zwolnienia lekarskiego.

Byłem zrozpaczony, tym bardziej, że młodszy mój brat zawiadomił mnie, że w domu byli już Schutzpolizeie i pytali się dlaczego nie jestem w fabryce.

20.

Ryzykując, udałem się do gabinetu lekarskiego doktora Mariana Kiciarskiego. A ryzykowałem z wielu powodów. Po pierwsze z tego powodu, że w przypadku odmowy wydania mi zwolnienia lekarskiego mogłem być bardzo surowo potraktowany, aż do zesłania do obozu koncentracyjnego włącznie.

Po drugie dlatego, że odmawiający mi zwolnienia lekarskiego byli Polakami, a dr Kiciarski paradował po Olkuszu w żółtym, partyjnym mundurze NSDAP, na ulicy widywało się go wyłącznie w towarzystwie Niemców, był niemieckim dyrektorem szpitala, syn jego paradował w mundurze „hitlerjugend".

Cała ta „niemieckość" dr Kiciarskiego była dla społeczeństwa olkuskiego wielkim szokiem. Wiedzieliśmy, że dr Kiciarski brał udział w obronie Lwowa w szeregach „Orląt", za co został odznaczony Krzyżem Walecznych. Studiując medycynę „przy okazji" ukończył prawo, był przed wojną Lekarzem Powiatowym w Olkuszu i bardzo aktywnym działaczem w wielu społecznych organizacjach. Dlatego też przyjęcie przez niego volkslisty i wstąpienie do NSDAP było wielkim, tragicznym zaskoczeniem.

Skoro nie miałem innego wyjścia zaszedłem do poczekalni, gdzie zastałem sporo ludzi.

Pielęgniarka oświadczyła mi, że dr Kiciarski w nocy został wezwany do chorego i jeszcze nie wrócił. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać. W międzyczasie siostra zapisała moje dolegliwości, zmierzyła temperaturę, wypełniając formalności zwykle z wizytą lekarską związane.

Ponieważ zrobiło mi się duszno (gorączka) wyszedłem z poczekalni i przez pewien czas chodziłem po ulicy. Po ponownym przyjściu dowiedziałem się od siostry, że doktor wrócił, ale śpi i wcześniej niż za dwie godziny nikogo nie przyjmie.

Gdy po dwóch i pół godzinach wróciłem, poczekalnia była pusta, a siostra oświadczyła, że doktor został pilnie wezwany do szpitala i dziś już przyjmował nie będzie. Co ja biedny teraz zrobię?

Musiałem przedstawiać sobą obraz nędzy i rozpaczy, bo siostra zapytała „co panu jest, może wody?". Przedstawiłem jej moją sytuację. Na to ona „To pan jest od Wilkensa i nazywa się Kwiecień. Doktor dla pana zostawił zwolnienie na 2 tygodnie oraz receptę w oparciu o podane przez pana objawy choroby". Po raz któryś z kolei zrobiło mi się słabo. Mogłem iść do domu, spokojnie położyć się do łóżka i chorować, a ponadto w Święta i Nowy Rok nie musiałem iść do pracy. Wilkens bowiem zarządził, że nie będzie wolnych dni na Święta. Bombardowanie Berlina i innych miast wzmogło zapotrzebowanie na walizki.

Zdarzenie z dr Kiciarskim wzbudziło we mnie pewne wątpliwości co do słuszności dotychczasowej oceny jego osoby. Sprawa częściowo się wyjaśniła po Wyzwoleniu Olkusza i aresztowaniu dr Kiciarskiego. W toku postępowania okazało się, że był on od początku okupacji w organizacji podziemnej, a następnie w AK pełnił funkcję szefa służby sanitarnej okręgu olkuskiego. Z polecenia tej organizacji przyjął volkslistę, wstąpił do NSDAP i został dyrektorem szpitala. Dzięki tej sytuacji mógł obficie zaopatrywać w leki oddziały leśne, a chorzy i ranni partyzanci mogli być przyjmowani do szpitala. Oczywiście na oddział zakaźny, bo ten oddział był przy wszelkich kontrolach niemieckich ze strachem omijany

21.

Bardzo dzielną i oddaną pielęgniarką na tym oddziale była siostra „Jasia" Alina Ścisłowska, ale myśmy wtedy o tym nie wiedzieli (konspiracja zobowiązywała).

Nie wiedzieliśmy też, że jej ówczesna sympatia - po wojnie mąż „Acion" (Alfons) Kerth, był podoficerem AK i w swej Fabryce Kafli zatrudniał „spalonych" członków organizacji podziemnej. Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie to, że jego rodzice byli autentycznymi Niemcami i jak on ewangelikami, mówiącymi nie najlepiej po polsku. W Polsce mieszkali dopiero od pierwszej wojny światowej.

Była to w ogóle bardzo ciekawa rodzina. Starzy Kerthowie, jak wspomniałem, byli autentycznymi Niemcami. Córka ich wyszła przed wojną za mąż za wicestarostę w Olkuszu, a po zajęciu Olkusza przez Niemców uciekła do Generalnej Gubernii, gdzie ukrywała się do końca okupacji. Jeden syn, jak wspomniałem, był w AK, drugi był oficerem Wehrmachtu, a trzeci /prawnik/ najbarwniejszą postacią ówczesnego Olkusza.

Nie zapomnę jego przygody, której byłem świadkiem.

Późnym jesiennym wieczorem roku 1943 przechodziłem przez Rynek w Olkuszu. Jak zwykle ze strachem, bo w rynku rezydowała Żandarmeria i Schutzpolizei i Gestapo itp. swołocz. Nagle słyszę pijackie krzyki, a potem równie pijackimi głosami śpiewany hymn „Jeszcze Polska nie zginęła".

Jeden głos śpiewa to całkiem poprawnie, ale pozostałe dwa wyraźnie kaleczą i słowa i melodię.

Ostrożnie podchodzę bliżej i widzę dwóch żandarmów w mundurach oraz mężczyznę w cywilnym ubraniu. Ludzie ci, trzymając się płotu ogradzającego wieżę ciśnień, usiłują właśnie śpiewać nasz hymn. Poznałem Erwina Kertha, który był właśnie tym cywilem i dyrygentem tego „zespołu".

W pewnym momencie uznał on, że partnerzy wypadają z melodii. Zaczął ich bić po czerwonych zapijaczonych gębach wyjaśniając po niemiecku, że mają oni świńskie mordy, które nadają się jedynie do picia i bicia, a nie do śpiewania „polnische national lied". Po wygłoszeniu tej oracji chwiejnym krokiem udał się w kierunku Sikorki, pozostawiając żandarmów drzemiących i opartych o płot.

Sprawa wyjaśniła się po paru dniach.

Erwina Kertha żandarmeria posadziła za jakiś pijacki wybryk, a może po to, by jak zwykle „wykupił" go Acion Kerth, prowadzący kaflarnię. Po wypuszczeniu go z aresztu Erwin fakt ten uroczyście oblewał razem ze swoimi prześladowcami w Deutsche-Haus i właśnie finał tej uroczystości miałem okazję obserwować. Po wojnie i upływie pewnego okresu czasu udałem się do dr Kiciarskiego celem podziękowania mu za jego postawę w stosunku do mnie w owym trudnym czasie. Przy herbacie dr Kiciarski wyjaśnił mi, że w dniu, w którym byłem u niego po pomoc lekarską, w nocy wyjeżdżał do lasu celem dokonania operacji wyjęcia kuli z nogi rannego partyzanta, a rano wezwali go do szpitala celem asystowania chirurgowi przy identycznej operacji - tym razem rannego w tej samej potyczce - żandarma.

Oczywiście nie wiedział on, że ja też jestem w podziemnej organizacji, ale wiedział co się dzieje w fabryce Wilkensa i jak okrutnie są tam traktowani robotnicy. Dlatego bez wahania wypisał zwolnienie na maksymalny czasokres.

Od tej rozmowy, mimo różnicy wieku, obdarzaliśmy się wzajemnie uczuciem serdecznej przyjaźni, a ja jego również wielkim szacunkiem. Wiele razy korzystałem z porad tego wszechstronnie wykształconego człowieka i to nie tylko w medycznych ale przede wszystkim życiowych.

To dzięki jego radom i wskazówkom wybrałem swój zawód, który z przyjemnością wykonuję do dziś.

23.

Rok 1944 to rok nasilającego się terroru. Na wiosnę przedłużono nam dzień pracy o dwie godziny, tj. do 14 godzin. Do Olkusza sprowadzono oddziały ukraińskiego SS, którego „żołnierze" rozbijali się po mieście z gołymi bagnetami. Na stacji w Olkuszu zaczął pojawiać się pociąg pancerny, którego załoga uzbrojona po zęby przeczesywała ulice, siejąc uczucie grozy. W tym też okresie w naszej fabryce zaczynają się dziać różne rzeczy, przeważnie bardzo nas niepokojące.

Co prawda w fabryce od dawna uprawialiśmy sabotaż najrozmaitszego rodzaju i kalibru (począw-

szy od niszczenia materiału przez włączanie maszyn i trzymanie ich na jałowym biegu itp.)

Teraz jednak zaczęto nas łapać na tego rodzaju zajęciach. Między innymi zdarzyło się to w lipcu 1944 roku i mnie. Włączyłem właśnie nitownicę i patrzyłem, jak zbija bezużytecznie kosztowne i poszukiwane nity. Było to na nocnej zmianie, więc bez należytej czujności, z zachwytem wpatrywałem się jak moja maszyna z szybkością 80 uderzeń na minutę produkuje szmelc. Dopiero potężne kopnięcie, precyzyjnie wymierzone w okolicę krzyżową sprowadziło mnie na ziemię (dosłownie w pozycję leżącą). A Wilkens miał około 190 cm wzrostu, jego plecy nie w każde drzwi się mieściły. Kopnięcie było niestety proporcjonalne do masy kopiącego. Dalszy ciąg osobistych doznań w tej kwestii nie jest na tyle interesujący, by go tu kontynuować, dodam jedynie, że ta moja przygoda nie zahamowała działalności sabotażowej.

Ale, jak wspomniałem, w fabryce zaczęły się dziać rzeczy istotnie groźne i niepokojące. Wilkens, choć powołany do wojska, to przeciętnie 3 dni w tygodniu spędzał w Olkuszu. Częściej niż poprzednio urządzał u siebie przyjęcia, po których zwykle goście zwiedzali fabrykę, obdarowywani na drogę kompletami walizek. Jakość i ilość tych podarunków zależała od „ważności" gości.

Komisje te składały się z różnego rodzaju służb. Początkowo byli to działacze gospodarczy, decydujący o dostawach surowców lub ludzi, miejscowi bonzowie partyjni i administracyjni, ostatnio coraz częściej oficerowie pułku, w którym w stopniu „gemeina" (o dziwo) służył Wilkens, ale częstymi gośćmi byli też gestapowcy. Właśnie niedługo po nakryciu mnie przez Wilkensa, do fabryki na nocnej zmianie przyszło kilku gestapowców. Część z nich rozlazła się po fabryce, ale jeden zaczął indagować robotników. Mówił po polsku ze śląskim akcentem. Rozmawiał z „Misiem", ze mną i paroma innymi chłopakami. Zastanawiające były jednak same pytania. Pytał: „Co robiłeś od tej do tej godziny?, z kim się spotykałeś?, o czym rozmawialiście?, co robi twój ojciec?, brat?" itp. Odpowiedzi notował razem z nazwiskiem odpowiadającego, posługując się też notesem przy zadawaniu pytań.. Była to jakaś figura katowickiego gestapo do walki z podziemiem, o czym dowiedzieliśmy się później.

Po odejściu gestapowców miny mieliśmy mizerne. Zorientowaliśmy się, że w wyborze rozmówców nie było „pudła". Radzimy co robić? Najłatwiejszą decyzją byłaby ucieczka do leśnego oddziału, był koniec lata 1944 roku, każdy z nas stale „palił się do lasu". Przedwczesna jednak ucieczka była nie wskazana. „Jaś" bowiem wbijał nam zawsze do głów, że aby w lesie mógł jeden partyzant egzystować, musi na niego pracować kilkudziesięciu ludzi w terenowej organizacji konspiracyjnej. Z racji swej funkcji zawsze dodawał, że praca wywiadu terenowego to oczy i uszy oddziału leśnego, a wiadomo co człowiek może bez tych organów zrobić. Ostrożność w podejmowaniu tego rodzaju decyzji wynikała jeszcze i z tego, że Niemcy ostatnio wywozili do obozów rodziny tych, którzy znikali z Olkusza. W tej sytuacji uradziliśmy, że pozostajemy na miejscu, a ucieczki spróbujemy już po aresztowaniu.

Nie potrzebuję dodawać z jaką ulgą dowiedzieliśmy się, że w dwa dni po rozpytywaniu nas i „zapowiedzi dalszych rozmów" nasz gestapowiec został w lesie zabity. Było to w czasie jakiejś akcji przeciwko partyzantom, zabrano mu mundur i wszystkie dokumenty w tym i nieszczęsny notes.

24.

A życie biegło dalej, znaczone między innymi kolejnymi aresztowaniami, publicznymi znęcaniami się celników (Kania i Kocurek) nad Polakami, usiłującymi z Wolbromia przywieźć nieco żywności. Wyzwiska, maltretowanie moralne i ordynarne odezwania się, połączone z biciem, rekwirowanie wiezionych towarów - towarzyszyły każdemu przyjazdowi pociągu z Wolbromia do Olkusza.

Któregoś dnia lata 1944 roku wpada do mnie „Skrzypek" blady i zdenerwowany mówiąc „Musimy ratować mego brata, Piotrka". Okazało się, że wywieziony przed paru laty do bauera w Reichu brat „Skrzypka", Piotrek, był przedmiotem fizycznego i moralnego znęcania się nad nim niemieckiego nadzorcy. Kiedy w ostatnich dniach został ponownie brutalnie pobity - nie wytrzymał i zrewanżował się tym samym. Nie wiadomo, czy zaciekłość Piotrka była zbyt wielka, czy Niemiec nieodporny, dość powiedzieć, że starcie to było dla tego ostatniego - ostatnim.

Piotrek, chcąc uniknąć topora lub komory gazowej, wrócił do Żurady i czekał na ratunek. Mimo,

że sprawa dotyczyła mojej sekcji, zdecydowałem wciągnąć w to „Misia". „Miś" był przyjacielem „Skrzypka", znał tak jak i ja, jego brata Piotrka. Wywodziło się to stąd; że rodzina „Misia" prowadziła prywatną działalność charytatywną, pomagając - w bardzo subtelny sposób - niektórym, będącym w biedzie uczniom. Było to godne uznania, gdyż sama matka „Misia" była wdową, z trojgiem dzieci w wieku szkolnym, a utrzymywała się z wdowiej emerytury po mężu, naczelniku poczty. Tak „Skrzypek" jak i ja byliśmy „korzystającymi" z ich pomocy. „Miś" był jedynym synem, posiadał duże wrodzone zdolności (aż do absolutnego słuchu włącznie) i ogromny urok osobisty, ale brakowało mu tego, co miał „Skrzypek" - pracowitości.

Więc głowa rodziny, babka „Misia", zwana powszechnie „Babcią Żelazowską" zdecydowała, że to wzajemne uzupełnienie się cech chłopców pozytywnie wpłynie na wnuka.

W ten sposób i z tego powodu „Skrzypek" na okres jesieni i zimy został przyjęty do rodziny i był traktowany jako pełnoprawny jej członek. Nie musiał więc chodzić codziennie trzy i pół kilometra w jedną stronę, z Żurady do gimnazjum. Efektów tej „krzyżówki" historia nie zdążyła zanotować. Przepadły, jak wiele innych, w tej wielkiej zawierusze wojennej. Skąpe wypowiedzi bezpośrednio zainteresowanych zawsze cechowała duża wstrzemięźliwość i zasadnicza różnica co do kierunków.

Więc „Miś" z całym impetem, jak to było w jego zwyczaju, wtargnął w sprawę. A że był najinteligentniejszy z nas, z miejsca uchwycił sedno zagadnienia i stwierdził, co następuje:

Piotrka zabrali do Reichu z Żurady, więc na pewno żandarmi niezwłocznie tam po niego przyjadą. Jedynym miejscem, gdzie mógłby się ukryć bezpiecznie, jest oddział partyzancki w lesie. Ale Piotrek do konspiracji nie należy. Wszyscy trzej mogliśmy za niego gwarantować, jednak wprowadzenie go do oddziału, to nie zaciągnięcie pożyczki, gdzie wystarcza gwarancja zwrotu. Sprawa jest trudniejsza, bo pilna.

Nie ma innego wyjścia, niż udać się do „Jasia" i błagać go o pomoc, tylko on coś może zrobić. Racje „Misia" byty tak oczywiste, że zostawiając „Skrzypka" (nie mógł kontaktować się i poznać „Jasia", bo nie pozwalały na to zasady bezpieczeństwa konspiracyjnego) -udaliśmy się natychmiast na ulicę Buchowieckiego.

Ja, jak zwykle gdy sprawa trudna, dość nieporadnie melduję o zaistniałej sytuacji. „Jaś" słucha i swoimi, bocianimi nogami obutymi w cholewiaste buty, wolno przemierza mieszkanie. Wciągając syczące powietrze przez braki we frontowym uzębieniu, długo, długo nic nie mówi. Po tym przedłużającym się milczeniu rozkazuje - po decyzję przyjść jeszcze tego dnia, o godzinie 20^{50}.

Lecimy z tą wiadomością do „Skrzypka". Przychodzę o umówionym czasie i „Jaś" wyjmuje z podręcznego sejfu tj. cebulastego zegarka, połowę oddartej kartki, którą miał schowaną między kopertami. Z tym Piotrek ma się zgłosić w pewnej stodole na Podgrabiu, kartka jest ważna tylko na dzisiejszą noc.

„Skrzypek" pędzi natychmiast do Żurady, bo o godzinie 22^{00} już obowiązuje godzina policyjna. Tejże nocy Piotrek zameldował się na Podgrabiu, gdzie przelotem bawił „Hardy" ze swym oddziałem.

Przyjęli go niezbyt radośnie. Chłopiną był Piotrek mizernej postury. Ubrany był przy tym raczej na letni spacer, niż na partyzancką tułaczkę. Po wstępnym rozpytywaniu odesłano go do domu, żeby się jakoś odpowiednio przyodział. W domu miał bowiem między innymi buty z cholewami, skórzany płaszcz - rzeczy nad wyraz w partyzantce przydatne. Nie mając innego wyboru, tej nocy, ten nieduży człowieczyna przeszedł z Podgrabia przez Olkusz do Żurady i z powrotem. Bez przepustki przez wyludnione o tej porze miasto, gęsto patrolowane przez żandarmerię i Policję.

Szczęście dopisało mu wtedy i później. W oddziale „Hardego" wojował do końca pod pseudonimem „Luków".

25.

W tym ostatnim lecie wojny Niemcy stali się jeszcze bardziej brutalni i okrutni. Chcieli nas zmusić do pozostawania na klęczkach, żebyśmy nie dostrzegli zbliżającej się ich klęski. My zaś cieszyliśmy się z każdej wiadomości - prawdziwej czy nieprawdziwej - dotyczącej ich niepowodzeń. Takimi powoda-

mi do podnoszenia - w przenośni dosłownie -głowy do góry były alarmy i naloty lotnicze, ogłaszane w Olkuszu. W czasie jednego z wahadłowych nalotów amerykańskich na rafinerię w Trzebini zapędzono nas, jak zwykle, do rowów przeciwlotniczych. Kontemplując z błogością przelotna wysokości 8.000 m. nad Olkuszem pięknej formacji latających fortec (B-17), sunących majestatycznie z nad Ukrainy - „Czarny" zwrócił uwagę na potrzebę opracowania planu zapewnienia ciągłości pracy Fabryki po wkroczeniu Armii Czerwonej.

Pomysł wydał mi się interesujący i zaniosłem go zaraz „Jasiowi". Ten, po porozumieniu się z "Misiem", ocenił go podobnie. Sprawa wydawała nam się o tyle ważna, że liczyliśmy się z możliwością pewnego chaosu tuż po wkroczeniu Armii Czerwonej i wykorzystania tego przez różne elementy w celu rozgrabienia mienia fabrycznego.

W związku z tym „Jaś" zlecił opracowanie planów zabezpieczenia mienia fabryki oraz sposobu wznowienia produkcji po wkroczeniu Rosjan.

Zabraliśmy się ostro do roboty. Dokonaliśmy ustaleń co do zapasu surowców podstawowych oraz detali. Ustaliliśmy ilość i kwalifikacje pracowników, których minimalna ilość gwarantowałaby ciągłość produkcji oraz ich imienny zestaw.

Trzeba stwierdzić, że największą robotę wykonał „Czarny". On bowiem miał dostęp do dokumentów i mógł na bieżąco kontrolować całość sytuacji, jaka istniała w Fabryce. „Jaś", „Miś" i ja dysponowaliśmy dość dużymi umiejętnościami i doświadczeniem z dziedziny samej produkcji. Swymi sposobami mogliśmy zagwarantować prowadzenie produkcji, gdyż umieliśmy obsługiwać wszystkie maszyny, jakie były w Fabryce.

W czasie opracowania wstępnego projektu nadszedł sierpień 1944 rok. Powstanie w Warszawie. Wielki wybuch nadziei, łzy i gorycz jego upadku. Setki tysięcy poległych.

Wypędzeni Warszawiacy już we wrześniu pojawili się w Generalnej Gubernii, w pobliżu Olkusza.

„Jaś" z powrotem włącza nas dodatkowo w charytatywną działalność. Organizujemy w fabryce akcję pomocy wysiedlonym Warszawiakom. Akcja ta rozszerza i obejmuje prawie całą załogę. Ludzie niewiele mają, ale dzielą się tym, co posiadają. Nie są to wartościowe rzeczy, bo takich nie mają. Znoszą więc pończochy, cieplejszą odzież i bieliznę itp. przydatne rzeczy. Wszystko to oczywiście damskie i dziecięce, wiemy, że mężczyzn wśród nich, niestety, nie ma. Oczywiście dołączamy do tego, ile się da, Wilkensowych walizek. Jest ich pod dostatkiem, więc płyną potokiem wynoszone nocą, nam tylko znanymi przejściami.

Wszystko to zostaje przetransportowane przez granicę do Generalnej Guberni i rozniesione po wsiach, „siłami" naszej Fabryki. Była to ostatnia akcja inicjowana przez nas, wykonana przez prawie całą załogę Kofferfabrik.

Nadeszła jesień, a potem zima 1944 roku.

Początkowo tylko w niedziele, a potem już w normalne robocze dni zabierają nas do kopania rowów obronnych. Uciecha ogromna, to pachnie bliskim wyzwoleniem.

Umocnienia ciągną się w układzie południowym, na wschód od Olkusza. W czasie pracy przy umocnieniach wchodzę w kontakt z Niemcem z Wrocławia, studentem chemii, wcielonym do Wehr--machtu. Kontroluje on prawidłowość wykonywanych umocnień.

W zamian za walizki otrzymuję od niego trochę żywności.

Po kilku transakcjach student staje się serdeczny i rozmowny przychodzi do mnie do domu. Nazywa się WILTSCHEK, ale po polsku nie rozumie ani słowa. Dostarcza mi sporo informacji. Ma do mnie zaufanie i nawet ostrzega przed innymi Niemcami, mówiąc „Uważaj na tego, on jest ślązakiem, nie rozmawiaj przy nim na poważniejsze tematy". Z polecenia „Jasia" wyciągam z niego w rozmowach na banalne tematy wiadomości dotyczące budowy umocnień, stopnia ich wykonania i - co najważniejsze - niewykonania, rozlokowania oddziałów dozorujących itp.

Wszystko to, oczywiście, zanoszę „Jasiowi". Wiltschek użyczał mi nawet swego aparatu fotograficznego. Utrzymywałem z nim kontakt aż do jego wyjazdu, tj. 10 stycznia 1945 roku - wyzwolenie nastąpiło 20 stycznia.

W tym samym mniej więcej czasie, w Fabryce od strony podwórka, w odpowiednio dostosowa-

nym do nowych potrzeb, w byłym gabinecie samego Wilkensa, został urządzony magazyn broni. Był początek grudnia 1944 roku i w szeregu budynków w pobliżu Fabryki stacjonowały oddziały wojska niemieckiego. „16" pierwszy wypatrzył magazyn i nawet nawiązał znajomość z młodym własowcem o wyraźnie mongolskiej twarzy, który zajmował się czyszczeniem broni i utrzymywaniem jej w stanie gotowości. „Miś" jak wspomniałem, miał dużo osobistego uroku i szybko zdobywał zaufanie ludzi. Za pomocą tytoniu itp., tak do siebie przychylnie nastawiał strażnika, że ten wpuścił nas obydwóch do tego magazynu. Dla nas było to wprowadzenie do bajkowego skarbca. Całe rzędy „NP" (Schmeisser), Spandau z wymiennymi lufami i pojemnikami bębnowymi zamiast taśm, pistolety wszystkich typów oraz szczyt techniki niemieckiej lekkiej broni - „MP-43" i "WP-44".

Po ochłonięciu z wrażenia i opuszczeniu tego „Sezamu" sporządziliśmy meldunek, w którym to wszystko opisaliśmy i przekazaliśmy „Jasiowi". Potem czekaliśmy na skutek w postaci oczekiwanego skoku na te skarby.

Skoku, niestety, nie doczekaliśmy się. Jak nam wyjaśniono w mieście i w pobliżu obiektu było za dużo niemieckiego wojska będącego „w alarmie". Była to prawda, ale nam pozostał nietajony żal - jak nam się zdawało - zmarnowanej okazji.

W tym pamiętnym grudniu wznowiliśmy intensywne przygotowania do przejęcia, zabezpieczenia i szybkiego uruchomienia fabryki, w czasie wkroczenia Armii Czerwonej. „Czarny" dokonał ostatecznych wyliczeń stanów magazynowych. Przy nadzorze „Jasia", razem z „Misiem" opracowaliśmy niezbędne dane do obsadzenia koniecznych stanowisk roboczych.

Liczyliśmy się z tym, że większość pracowników przymusowo zatrudnionych, nie zechce do pracy wrócić. Postanowiliśmy, w razie potrzeby, obsadzić siłami naszej sekcji główne węzły produkcyjne. Biorąc pod uwagę - hipotetycznie - że część ludzi zechce pozostać w pracy, ustaliliśmy też obsadę dodatkowych maszyn.

Te nasze przygotowania i obliczenia musiały być dobrze zrobione. Dowodem tego był fakt, że zgodnie z naszymi założeniami, plany te zostały wykonane w 100%,.

Na drugi dzień po wkroczeniu Armii Czerwonej mogłem nowym władzom Olkusza - nareszcie nie Ilkenau - zameldować, że mienie fabryki zostało w całości, z wyjątkiem mercedesa Wilkensa, zabezpieczone, a fabryka produkuje.

Tak zakończyła działalność drużyna zwiadu III plutonu, 4 kompanii, III batalionu pułku „Srebro" Gwardii Ludowej Polskiej Partii Socjalistycznej w Olkuszu, będąca pod dowództwem „Jasia". Oczywiście o szczegółach i nazwach organizacyjnych dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie.

Natychmiast po uruchomieniu punktów werbunkowych „Miś", „Skrzypek" i ja zgłosiliśmy się ochotniczo do Ludowego Wojska Polskiego - na apel PPS - a „Jaś" pojechał repolonizować nasze Ziemie Zachodnie; ale jak powiedział Kipling „jest to już zupełnie inna historia".

/-/ Zbigniew Kwiecień
Zbigniew Kwiecień „Sokół"

Grudzień 1980 roku.

Jan Babczyk „Jaś” (1980r.)

STOWARZYSZENIE TEATRALNO-LITERACKIE
W OLKUSZU

SYLWETKI NAUCZYCIELI ZIEMI OLKUSKIEJ

BARBARA KALLISTA

Opracowała Grażyna Wącław

Olkusz, 2015 r.

„To, że się urodziliśmy w jakimś miejscu i czasie,
nie zależy od nas.
Od nas samych jednak zależy,
czy czas nam dany
wypełnimy twórczym działaniem
i pasją nadającą życiu sens,
czy też pozwolimy mu upływać niepostrzeżenie
jak wodom wielkiej rzeki...

Moją pasją zawsze był i wciąż jest TEATR."

Barbara Kallistowa

WSTĘP

Czasami los rzuca ludzi do wielkich miast, a czasami do małych miasteczek takich jak Olkusz. Mijają dni, miesiące, potem lata... – człowiek zakorzenia się coraz bardziej. Praca zawodowa, rodzina, przyjaciele, zainteresowania... – życiowa układanka staje się powoli kompletna. Osobiste radości i smutki, a czasami nawet dramaty, dopełniają kolorystyki obrazu. Coraz częściej odczuwamy, że znaleźliśmy własne miejsce na ziemi. Niespodziewanie młodość przechodzi w dojrzałość, a za chwilę jest już starość... Rzeczywistość zmienia się równie szybko i niepostrzeżenie. I mimo że wciąż jeszcze żyją w pobliżu zaprzyjaźnieni ludzie, stawiamy sobie pytanie: - Czy to moje miasto, czy może już nie? Tadeusz Kotarbiński powiedział: „Przeszłość zachowana w pamięci staje się częścią teraźniejszości". Być może dlatego niektórzy tak chętnie wracają się do przeszłości. Te powroty są także wyrazem naturalnego pragnienia, by „ocalić od zapomnienia..."

Takie pragnienie motywuje panią Barbarę Kallistową do snucia różnorodnych refleksji i wspomnień z przeszłości. I choć jest w nich zawarta perspektywa czasu, to pojawiają się one na zasadzie różnych asocjacji i subiektywnej siły przeżytych doznań. Dlatego o pewnych rzeczach mówi dużo i z ochotą, a inne wspomina mimochodem. Z pewnością pragnie „ocalić od zapomnienia" nazwiska koleżanek i kolegów, z którymi łączyły ją wspólne przeżycia, zainteresowania i praca. Chętnie opowiada o swojej młodości, wypełnionej latami wojennymi oraz studiami pod kierunkiem wspaniałego profesora Stefana Szumana. Ożywia obraz starego Olkusza i szkoły handlowej, do której zawitała jako młoda, pełna energii nauczycielka. Po podjęciu pracy i założeniu rodziny szybko zakorzeniła się w Olkuszu. W krajobrazie jej wspomnień pojawiają się więc dyrektorzy olkuskiej szkoły, koleżanki i koledzy, dawni uczniowie, przeżywający na nowo swoje sukcesy i problemy. Pani Barbara Kallistowa, która obchodziła niedawno dziewięćdziesiąte urodziny, dzieli się uwagami na temat stworzonych pod swoim kierunkiem programów artystycznych, bardzo wysoko ocenianych na różnorodnych przeglądach i konkursach. Większość tytułów montaży zanotowała dawno temu na luźnych kartkach, zachowując porządek chronologiczny. We wszystkich przygotowanych przez nią inscenizacjach zawarte są uniwersalne wartości, w duchu których polska szkoła zawsze starała się wychowywać młodzież. Warto utrwalić ich tytuły, by ocalić

od zapomnienia dorobek tego znakomitego nauczyciela starszego pokolenia i nazwiska uczniów, odnoszących sukcesy w latach, kiedy nie istniały media cyfrowe.

Przede wszystkim warto jednak przybliżyć sylwetkę pani Barbary Kallistowej, nauczyciela z pasją i godnego szacunku człowieka. I warto też zapisać nazwiska ludzi, którzy żyją w jej pamięci, a którzy pomagali jej tworzyć szkolną kulturę teatralną w naszym regionie.

I. SYLWETKA BIOGRAFICZNA BARBARY KALLISTOWEJ

Mgr Barbara Kallistowa, z domu Kmita, to znakomity nauczyciel języka polskiego, wybitny kreator szkolnego ruchu teatralnego w szkołach, prowadzonych przez Centralę Rolniczych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Warszawie oraz w środowisku szkół średnich województwa małopolskiego i śląskiego. Została nagrodzona najwyższymi odznaczeniami resortowymi i państwowymi za pracę zawodową, wkład w rozwój kultury oraz wybitne osiągnięcia na szczeblu ogólnopolskim.

Urodziła się 26 listopada 1924 r. w Słomnikach, w rodzinie o tradycjach patriotycznych. Jej ojciec – Józef Kmita był legionistą Piłsudskiego, komendantem Związku Strzeleckiego w Miechowie i więźniem Sybiru. Matka – Zofia zajmowała się domem. W czasie okupacji Barbara Kmita uczęszczała na tajne komplety. Maturę zdała po zakończeniu działań wojennych w Krakowie. Studiowała wychowanie estetyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie i filologię polską na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie w 1948 r. uzyskała tytuł magistra. Duży wpływ na rozwój jej zainteresowań artystycznych i ukształtowanie sylwetki pedagogicznej wywarł wybitny profesor Stefan Szuman.

Po ukończeniu studiów pierwsze doświadczenia w zawodzie nauczyciela zdobywała w Liceum Ogólnokształcącym im. Oswalda Balzera w Zakopanem, w którym pracowała w roku szkolnym 1950/51. Jednak z powodów zdrowotnych zmuszona była opuścić Zakopane i szkołę, w której odniosła znaczące sukcesy artystyczne. Podjęła pracę w Wydziale Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie, z którego odeszła do innych obowiązków w 1953 roku.

Życiowym powołaniem Barbary Kallistowej było bowiem nauczycielstwo. W 1954 roku przybyła do Olkusza, by pracować w Technikum Mechanicznym jako nauczyciel języka polskiego. Jednak już od roku 1955 aż do przejścia na emeryturę w r. 1980 oraz pracy

w niepełnym wymiarze godzin do roku 1988 związała się z olkuską szkołą ekonomiczną, która kilka razy w swojej historii zmieniała nazwę. Dzięki umiejętnemu zarządzaniu jednostką przez kolejnych dyrektorów: mgr Tomasza Majewskiego (w latach 1952 - 1969), a następnie mgr Zygmunta Szlęzaka (w latach 1970 - 1991) placówka ta przeżywała okres dynamicznego rozwoju. Do jej rozkwitu przyczyniła się także Barbara Kallistowa, wnosząc olbrzymi wkład w budowanie szkoły o wysokim poziomie kształcenia humanistycznego i jednocześnie kształtującej zamiłowania artystyczne uczniów.

Barbara Kallistowa znacząco wpłynęła na rozwój życia kulturalnego w Olkuszu nie tylko jako nauczyciel i animator kultury, ale także jako radna i przewodnicząca Komisji Oświaty i Kultury Powiatowej Rady Narodowej, pełniąca tę funkcję przez 20 lat swojego życia.

Dowodem uznania dla jej pracy nauczycielskiej są liczne odznaczenia, nagrody i dyplomy, które systematycznie otrzymywała przez cały okres swojej aktywności zawodowej.

Najważniejsze z nich to:

ODZNACZENIA

- Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1982)
- Medal Ministra Kultury (1982)
- Złota Odznaka ZNP (1981)
- Medal Komisji Edukacji Narodowej (1979)
- Odznaka XXX-Lecia Pałacu Młodzieży (1979)
- Złota Odznaka Zasłużony dla Ziemi Katowickiej (1976)
- Złoty Krzyż Zasługi (1975)
- Srebrny Krzyż Zasługi (1971)
- Złota Odznaka Zasłużony Działacz Kultury (1971)
- Brązowy Krzyż Zasługi (1968)
- Złota Odznaka Zasłużony dla Ziemi Krakowskiej (1970)
- Odznaka Tysiąclecia (1967)
- Medal 1000-Lecia Państwa Polskiego (1963)

NAGRODY

- Ministra Oświaty i Wychowania I stopnia (1979)
- Ministra Oświaty i Wychowania II stopnia (1973)

DYPLOMY

- Ministra Kultury za szerzenie piękna języka ojczystego i upowszechnianie teatru (1971)

Po przejściu na emeryturę przez kilka lat angażowała się społecznie w pracę z uczniami swojej macierzystej szkoły oraz w rozliczne przedsięwzięcia w mieście, mające na celu rozbudzanie zainteresowań humanistycznych i artystycznych młodzieży oraz rozwój kulturowy człowieka.

Należała do grupy miłośników poezji, która wsparła powstanie i działalność Olkuskiego Klubu Literackiego. Zawsze chętnie współpracowała z jego patronami: honorową obywatelką Olkusza, działaczką społeczną i cenioną poetką – Janiną Majewską oraz kierującą olkuskim Domem Kultury – Haliną Świerczek. Brała udział w opracowaniu jubileuszowych tomików, prezentujących dorobek artystyczny Klubu. A były to:

- „Próby" 1982 – 1992, tomik wydany z okazji 10-lecia (1993)
- „Kontynuacje", tomik wydany z okazji 15-lecia (1997)
- „Fascynacje", tomik wydany z okazji 20-lecia (2003)

Wielokrotnie była w jury różnych konkursów artystycznych, poetyckich i teatralnych, odbywających się w Miejskim Domu Kultury w Olkuszu. Szczególnie ceni sobie udział w pracach jury znanego konkursu literackiego „O Gmerk Olkuski", którego pierwsza edycja miała miejsce w roku 1997. Pokłosiem tego konkursu są tomiki poetyckie przez nią redagowane lub współredagowane. Tomiki prezentują twórczość laureatów i uczestników konkursu.

Promowała poezję znanych i cenionych dziś twórców olkuskich, organizując niezapomniane wieczornice poetyckie (np. Wieczór poetycki Anny Piątek w Dworku Machnickich).

Od 2002 r. aż do marca 2015 r. pełniła funkcję Honorowego Prezesa Oddziału Okręgowego Towarzystwa Kultury Teatralnej w Olkuszu. To zaszczytne wyróżnienie jest efektem jej związku z Towarzystwem od początku jego istnienia. Barbara Kallistowa była jedną z pierwszych osób, którym Krajowy Zjazd Delegatów nadał tytuł Honorowego Członka TKT (Legitymacja nr 194, Białystok, 17.10.1987).

Wspierała wszystkie inicjatywy podejmowane przez Towarzystwo. Przewodniczyła jury pierwszych czterech edycji Małopolskiego Konkursu na Recenzję Teatralną dla Młodzieży, organizowanego przez Okręgowy Oddział TKT w Olkuszu od 2002 r. Uczestniczyła w galowych podsumowaniach Akcji „Bliżej Teatru" oraz Małopolskiego Konkursu na Recenzję Teatralną i Małopolskiego Turnieju Teatralnego. Zawsze chętnie dzieliła się z innymi swoją wiedzą i umiejętnościami. Zasługi Barbary Kallistowej docenił Zarząd Oddziału Okręgowego Towarzystwa Kultury Teatralnej w Olkuszu, honorując ją w 2010 r. Statuetką Teatralną.

W 2012 r. Barbara Kallistowa otrzymała z rąk Burmistrza Olkusza zaszczytną Nagrodę „Cordis Nobilis" za bezinteresowną działalność na rzecz dobra innych w kategorii OSOBA .

II. DAWNE CZASY, DAWNA SZKOŁA I LUDZIE NIEZWYKLI...

- w świetle wspomnień pani Barbary Kallistowej.

Wspomnienia to wiele uczuć zamkniętych w pamięci.

Koniec II wojny światowej powitała panna Barbara Kmitówna z wielką radością. Pomyślnie zdana w 1945 r. matura otwarła jej drzwi do studiów na różnych kierunkach. Początkowo myślała o architekturze, ale ostatecznie zdecydowała się na filologię polską i wychowanie estetyczne. Na jej decyzję duży wpływ wywarł profesor Stefan Szuman – uczony, lekarz, psycholog i artysta w jednej osobie. Był on rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie i jednocześnie wykładowcą na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odtąd studia o kierunku filologia polska na Uniwersytecie Jagiellońskim połączyła z wrodzoną potrzebą realizowania się poprzez teatr, który kochała z roku na rok coraz bardziej. Uwielbiała warsztaty teatralne z podziwianym przez studentów profesorem Szumanem. I trudno się dziwić, bo zajęcia odbywały się przykładowo w Lasku Wolskim, do którego grupa szła po to, by np. tworzyć spektakl dell' arte. Ileż inwencji musiał wykazać adept wychowania estetycznego, który otrzymał od profesora zadanie zagrania żuczka w opałach! Na to wspomnienie uśmiech pojawia się na twarzy narratorki. I zaraz z przekorą dodaje: *-Ale myśmy też rewanżowali mu się różnymi pomysłami. Musiał na przykład cierpliwie rozwiązywać zagadki w stylu: - Kto to jest: „mały, lecz duży i fajeczkę kurzy”, choć doskonale wiedział, że to o niego chodzi*.

Powojenny Kraków, w którym studiowała Basia Kmitówna, był stolicą polskiego życia intelektualnego i kulturalnego, ponieważ zniszczona przez Niemców Warszawa przez wiele lat zmierzała się z problemem odbudowy. Basia dobrze czuła się w atmosferze Krakowa. Fascynowała ją, jak i wielu jej rówieśników, liryka Gałczyńskiego. Z rozrzewnieniem wspomina spotkania z poetą, jeżdżącym po ulicach Krakowa „zaczarowaną dorożką”. Z powodzeniem zaliczała kolejne egzaminy i ochoczo zasiadała na widowni miejskich teatrów. Bywała często w Teatrze Rapsodycznym, w którym podczas wojny grywał Karol Wojtyła – przyszły papież Jan Paweł II. Ze szczególnym sentymentem wspomina spektakl

w Starym Teatrze pt. „Romans z wodewilu” w reżyserii Władysława Krzemińskiego. Premiera tej sztuki odbyła się 31 grudnia 1948 r. Oglądała też wiele innych premier wybornych spektakli (wejściówki na tzw. „jaskółki” załatwiał nieodpłatnie swoim studentom, nazywanym przez innych „szumaniętami”, sam profesor Szuman). Podziwiała aktorów, zachwycała się wspaniałymi reżyserami. Zastanawiała się, czy sama mogłaby być instruktorem teatralnym. Upewniła się co do tego podczas ogólnopolskiego kursu teatralnego w Lęborku, na który wybrano kilkanaście osób z całej Polski. Byli na nim, oprócz profesora Szumana, także wykładowcy z Warszawy. Na kursie realizowano m. in. projekt, naświetlający młodym adeptom teatru sztukę takiego operowania światłem, by przy pomocy koloru osiągać różne efekty. Były montaże, recytacje, improwizacje... Ten kurs dużo jej dał. Po jego ukończeniu otrzymała zaświadczenie, że jest instruktorem teatralnym i posiada uprawnienia do prowadzenia zespołu. Po uzyskaniu w 1948 r. tytułu magistra filologii polskiej poczuła się bardzo dobrze przygotowana do pracy z młodzieżą. Była przekonana, że najlepsze możliwości do twórczej samorealizacji znajdzie w szkole.

Swoją pierwszą pracę rozpoczęła w roku szkolnym 1950/51 w Liceum Ogólnokształcącym im. Oswalda Balzera w Zakopanem. Był to jednocześnie rok wprowadzenia przez władzę do kultury, sztuki i oświaty nowego nurtu – socrealizmu, który dominował w Polsce aż do 1955 r. Szczególnie mocno zapadła w pamięć pani Kallistowej konferencja sierpniowa w 1949 r., na której poinformowano o zmianach w lekturach szkolnych z języka polskiego. Wyrzucono z programu powieści Henryka Sienkiewicza, a nakazano omówić przykładowo powieść Janiny Broniewskiej „O człowieku, który się kulom nie kłaniał” (Wydanie I 1948 r.). Na lekcjach musiała z obowiązku czytać uczniom, co sądzi prezydent Bolesław Bierut na temat powstania warszawskiego. Pamięta, jak pewna dziewczynka wstała z płaczem i łkając powiedziała: -*To jest nieprawda! Mój tatuś i bracia zginęli w tym powstaniu!* - Pani Kallistowa sądziła podobnie jak uczennica, ale nie mogła wyrazić swojej opinii wprost, ponieważ w klasie byli różni uczniowie... Cieszyła się, że pracuje z inteligentną młodzieżą, która doskonale odczytuje to, co niewypowiedziane między kolejnymi zdaniami i nie zgadza się z oficjalną propagandą. Z drugiej strony współczuła wicedyrektorce, która wstawała rano najwcześniej ze wszystkich, by przed rozpoczęciem lekcji zdążyć zetrzeć antypaństwowe napisy na płocie, domalowaną Stalinowi na portrecie brodę czy Leninowi fajkę. Barbara Kallistowa jako nauczycielka odwodziła uczniów od „głupich żartów”, gdyż mogły one

spowodować przykre skutki dla całej społeczności szkolnej, zarówno uczniów, jak i grona pedagogicznego. Wielką radość sprawiała jej natomiast praca z uzdolnionymi artystycznie uczniami Liceum. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Przygotowani przez nią podopieczni zajęli pierwsze miejsca w konkursie recytatorskim w Krakowie. Jednak ze względów zdrowotnych (choroba tarczycy) zmuszona była opuścić stolicę Tatr. Z żalem żegnała Podhale, ale miała takie usposobienie, że z optymizmem patrzyła w przyszłość. I było to trafne wyczucie sytuacji...

Do Olkusza zawitała jako młoda mężatka w roku 1954, by tu zamieszkać i podjąć pracę w Technikum Mechanicznym. W mieście spotkała wielu ludzi charakteryzujących się pasją działania. Nawiązała przyjaźń z poetką i zarazem wielką miłośniczką Olkusza - Janiną Majewską, poznała rozkochanego w zabytkach Olkusza i wytrwale działającego później na rzecz ich rekonstrukcji - Mieczysława Karwińskiego, dyrektorkę Domu Kultury - Olgę Kurzejową, pasjonata teatru – Jana Stachurskiego, który był dawnym kolegą szkolnym jej męża – Józefa, oraz wiele innych osób. Poczuła, że jest wśród pokrewnych dusz.

W 1955 r. związała się na całe swoje życie zawodowe ze szkołą ekonomiczną, którą zarządzał od 1952 r. mgr Tomasz Majewski. Szkoła mieściła się w niedużym, starym budynku. Warunki do zajęć były niełatwe, ale za to ochota do pracy duża. Próby z zespołem artystycznym odbywały się w salach klasowych po lekcjach, a czasami w nowo otwartym Domu Kultury przy ul. Gęsiej, którym od 1954 r. kierowała właśnie Olga Kurzejowa. Barbara Kallistowa miała mnóstwo planów i nie bała się coraz to nowych wyzwań. Młody, ambitny dyrektor „Ekonomika" i fantastyczne grono, spragnione sukcesów, motywowały ją do pracy. Kiedy pojawiły się dzieci, zastanawiała się, czy nie powinna, przynajmniej na jakiś czas, zrezygnować z uczenia. I wtedy pomógł jej rozstrzygnąć ten dylemat brat męża, Wacław, mówiąc: -*Nigdy nie rezygnuj, Basiu, ze swoich pasji*. - Państwo Kallistowie skorzystali z pomocy mamy Basi i cioci Grzegorzewskiej, a ponadto zatrudnili nianię. Młoda nauczycielka zaczęła godzić obowiązki mamy z ambicjami zawodowymi i teatralnymi.

Jej pasją był teatr poezji, toteż wiele uwagi poświęcała tworzeniu Zespołu Estradowego. Wkładała w tę pracę wiele serca, bo pragnęła stworzyć zespół z prawdziwego zdarzenia. Nowo powstały Zespół składał się z podzespołów: recytatorskiego, tanecznego i wokalnego.

Liczył prawie 50 osób, a jego skład ciągle się zmieniał w związku z opuszczaniem szkoły przez kolejne roczniki absolwentów. (Najważniejsze nazwiska członków Zespołu z różnych lat ujęte są w Rozdziale III niniejszego opracowania). Kierując Zespołem Estradowym, pani Kallistowa szczególnie wyczulona była na wartość słowa, bardzo też dbała o harmonijne zespolenie muzyki, śpiewu, ruchu tanecznego i elementów plastycznych w przygotowywanym programie. Jako swoich bliskich współpracowników wymienia Stanisławę Święs, Jerzego Kubiczka, Henryka Sławca, Bożenę Dębską, a od lat 70-tych także Marię Kaplitową. Wspomina, że ze Stasią zetknęła jeszcze wtedy, gdy pracowała w Krakowie. Stasia była bowiem instruktorem tańca regionalnego w tym mieście. Pani Kallistowa bardzo się ucieszyła, kiedy zobaczyła ją przypadkowo w Olkuszu przed Szkołą Podstawową nr 4 na ul. F. Nullo. Okazało się, że Stanisława Święs dostała w niej etat nauczyciela wychowania fizycznego. Zgodziła się jednak na dodatkową pracę w „Ekonomiku", gdyż miała tu duże możliwości do twórczej samorealizacji. Odtąd odpowiadała ona za tańce w programach artystycznych Barbary Kallistowej. -*Była doskonałą instruktorką i choreografem*- mówi pani Kallistowa, oceniając jej pracę - I dodaje:- *Potrafiła świetnie przygotować oryginalne aranżacje tańców z różnych regionów Polski m. in. do programów „Piękna nasza Polska cała" i „Pieśń o ziemi naszej". Wspólnie wypracowałyśmy sukces naszego Zespołu. Nic dziwnego, że Stasię zabrał ze sobą do Krakowa dyrektor Tomasz Majewski, który w 1969 r. awansował na nowe stanowisko.* - Filarami Zespołu Estradowego byli odpowiedzialni za muzykę wspomniani już panowie Jerzy Kubiczek i Henryk Sławiec. Pani Kallistowa z szacunkiem mówi o swoich kolegach, podkreślając ich zalety. Zachwyca się absolutnym słuchem muzycznym Jerzego Kubiczka, który potrafił zapisać „od ręki" nuty piosenki zaledwie raz usłyszanej. Podkreśla także umiejętności muzyczne Henryka Sławca, doskonale wykonującego utwory klasyczne i tworzącego własne improwizacje na skrzypcach.- *Obydwaj byli bardzo kulturalnymi ludźmi* - podsumowuje. - *Młodzież mogła uczyć się od nich elegancji. W sumie tworzyli tak świetny duet, że nie wyobrażam sobie lepszego.* - Ciepłe tony dominują w głosie autorki wspomnień, kiedy przywołuje postać Bożeny Dębskiej: -*Bożenka była moją uczennicą, należała do Zespołu, a potem stała się bliską sercu koleżanką*- tak ją pokrótce przedstawia. Istotnie, Bożena Dębska po ukończeniu studiów na kierunku geograficznym wróciła do „Ekonomika" i pracowała tu jako kierownik świetlicy szkolnej oraz zajęć pozalekcyjnych. Miała wrażliwą duszę i potrafiła tworzyć wokół siebie piękno. Oryginalnie urządziła świetlicę, wykorzystując

do wystroju wnętrza tylko przedmioty artystyczne i wyroby cepeliowskie. Zakupiła stroje regionalne dla zespołu tanecznego. Wykonała większość dekoracji do montaży słowno-muzycznych pani Kallistowej. - *Zawsze mogłam polegać na Bożence* - mówi narratorka opowieści. I podkreśla - *Szczególne podziękowania należą się jej za to, że z prawdziwą pasją zajmowała się organizacją wyjazdów do teatrów Krakowa i Śląska. Dzięki niej kultura wysoka stała się udziałem wielu uczniów... Dziś już nie żyje, choć była przecież moją uczennicą...* - dodaje ze smutkiem... Puste miejsce po Stasi Święs, która odeszła do nowej pracy w Krakowie, zajęła Marysia Kaplitowa. Pani Kallistowa podkreśla, że Marysia wnosiła wiele humoru i umiała rozweselać wszystkich zmęczonych ćwiczeniami członków zespołu. Wspólnie spędziły wiele czasu na próbach, które trwały nieraz po pięć godzin. Bywało, że młodsza Marysia, widząc zmęczenie pani Kallistowej, mówiła -*Teraz sobie, Basiu, odpocznij. Ja poprowadzę dalej.*

Spektakularne sukcesy Zespołu Estradowego (wymienione w Rozdziale III niniejszego opracowania) wpłynęły na to, że pozycja pani Kallistowej wśród nauczycieli wszystkich szkół w Polsce, prowadzonych przez Centralę Rolniczych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Warszawie, była bardzo wysoka. Nic więc dziwnego, że to jej zaproponowano, by wspólnie z wizytatorem CRS – panią Szurkową wizytowała szkoły spółdzielcze, aktywizując je do rozwijania kultury teatralnej. Opinia Barbary Kallistowej miała wpływ na zakwalifikowanie danego zespołu szkolnego do Ogólnopolskiego Festiwalu Artystycznego Szkół CRS. Niejeden raz dyrektor Szlęzak, kierujący szkołą w latach 1970 – 1991, podkreślał, że wysoka pozycja „Ekonomika" w środowisku wynika nie tylko z jego zdolności organizacyjnych i dobrej pracy grona, ale także z sukcesów pani Barbary Kallistowej. A było tych osiągnięć co niemiara! Zespół zdobywał nagrody w Wojewódzkich i Międzywojewódzkich Przeglądach Szkolnych Zespołów Artystycznych, recytatorki odnosiły sukcesy w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim i w konkursach regionalnych, Longina Cieślik wyśpiewała nagrodę w Przeglądzie Ogólnopolskim Piosenki Rosyjskiej i Radzieckiej (Kalendarium osiągnięć indywidualnych uczniów - artystów i całego Zespołu Estradowego zamieszczono w Rozdziale III). Zespół prezentował tak wysoki poziom , że zapraszano go do uświetnienia ważnych wydarzeń np. otwierania nowych szkół na 1000-lecie Państwa Polskiego, świętowania rocznic, rozpoczynania konferencji na wysokim szczeblu.

Lata biegną szybko, a dla ludzi charakteryzujących się pasją działania wręcz niepostrzeżenie. Odpowiedzialna praca na stanowisku nauczyciela języka polskiego i intensywna działalność pozalekcyjna nadwerężyły siły pani Kallistowej. Dlatego w 1980 roku odeszła na zasłużoną emeryturę. Nie zrezygnowała jednak całkowicie z działalności dydaktycznej. Jeszcze przez kilka lat (do 1988 r.) uczyła w niepełnym wymiarze godzin i prowadziła społecznie kółko recytatorskie. Ostatnie dwa lata w szkole (do 1990 r.) poświęciła całkowicie na pracę społeczną. W 1990 r. pożegnała się ze szkołą i ludźmi, którzy byli jej bliscy przez całe zawodowe życie. Odchodząc, dziękowała za owocną współpracę dyrektorowi Zygmuntowi Szlęzakowi, Koleżankom i Kolegom z Grona Pedagogicznego, Młodzieży, Osobowościom ze środowiska, a szczególnie pani Janinie Majewskiej, oraz Cieniom Ludzi, którzy już odeszli, a z którymi łączyła ją kiedyś serdeczna przyjaźń i współpraca. Wśród wielu wymienionych nazwisk znalazło się również nazwisko pani Danuty Karoń. Z Danutą Karoń nawiązała współpracę jako przewodnicząca Komisji Oświaty i Kultury Powiatowej Rady Narodowej. Razem jeździły na kontrole do szkół. Charakteryzując jej sylwetkę, pani Kallistowa powiedziała: -*Była to osoba całkowicie oddana pracy. Dzięki jej staraniom rodzina Machnickich w 1970 r. zdecydowała się tanio sprzedać Dworek miastu. Gdyby nie ona, obiekt nie zostałby także tak szybko wyremontowany! Umiała zachęcić do pracy i dać dobry przykład. Za swoje niewielkie wynagrodzenie często kupowała krzewy i kwiaty do dziś zdobiące otoczenie Dworku.* - Pani Kallistowa przywołała także postać (nieżyjącego już w 1990 r.) Stanisława Lorka – artysty, plastyka, scenografa i aktora; człowieka, z którym również łączyła ją w latach pracy zawodowej bliska współpraca. Ze wzruszeniem żegnała się ze szkołą, z którą związana była zawodowo i emocjonalnie przez dziesiątki lat swojej pracy nauczycielskiej. W tym miejscu pragnę przytoczyć kolejny cytat z jej wystąpienia, zachowanego we fragmentach na pożółkłej kartce brudnopisu, gdyż zawiera się w nim więcej ekspresji niż w najlepszym komentarzu:

- *Nasza szkoła! Ekonomik.*

Budowaliśmy ją wszyscy!

Niezwykła atmosfera, wzajemna życzliwość...

A jacy byli uczniowie!

Piękny obraz szkoły ekonomicznej wciąż żyje w pamięci pani Kallistowej, która ciepłymi barwami maluje przeszłe lata. Mogą się o tym przekonać wszyscy, którzy zapukają do drzwi jej gościnnego domu.

Pasja działania nie wygasła w pani Kallistowej wraz z odejściem na emeryturę.

Na emeryturze chętnie odwiedzała swoją szkołę, zawsze służyła dobrą radą i pomocą młodszym koleżankom i kolegom. Cieszyła się, że może być wciąż użyteczna dla innych. A nade wszystko lubiła młodzież i chętnie spędzała swój wolny czas z uczniami, pragnącymi doskonalić warsztat recytatorski. Bywała na okolicznościowych spotkaniach, organizowanych przez dyrektora Leszka Szotę oraz dyrektor Cyrylę Mazur, w 1997 r. gościła na Jubileuszu 50-lecia Zespołu Szkół, którego ważnym punktem był program artystyczny przybliżający postać i zasługi inżyniera Antoniego Kocjana - „człowieka, który wygrał wojnę", obranego na patrona szkoły.

Nadal podtrzymywała związki z Olkuskim MOK-iem, a w sposób szczególny z Klubem Literackim. Umocniła więzi przyjaźni z Haliną Świerczek i Janiną Majewską. Pani Kallistowa często wspomina, że do późnych godzin nocnych gościła kierowniczkę Domu Kultury, gdy pochylały się nad redagowaniem kolejnych, jubileuszowych tomików Klubu Literackiego, a były to „Próby"(1993) Kontynuacje" (1997) i „Fascynacje" (2003). Prawie w tym samym czasie redagowały też wspólnie tomiki będące pokłosiem kolejnych edycji konkursu literackiego „O Gmerk Olkuski" (II (1998) III (2000), V (2002). -*Niejeden raz Marek odprowadzał w nocy Halinkę do dom*u... – dodaje ze smutkiem. - Ciężko było pani Kallistowej pogodzić się z odejściem do wieczności obydwu tak bliskich koleżanek – w 2004 r. Janiny Majewskiej, a w 2007 – Haliny Świerczek.

Nie zrezygnowała jednak z aktywności. W jej gościnnym domu drzwi były zawsze otwarte dla wszystkich, którzy żyli kulturą, poezją, sprawami Olkusza. Bywała tu i bywa nadal znana olkuska poetka Irena Włodarczyk. Pani Kallistowa ceni sobie jej poezję, a w sposób szczególny wiersze i wspomnienie prozą o starym Olkuszu. Ten Olkusz, na który Renia patrzyła oczami małej dziewczynki, był przecież miastem młodości Barbary Kallistowej - miejscem, w którym ona właśnie zakorzeniała się. Pani Kallistowa zawsze ze wzruszeniem przegląda tomik pt. „Miasto moje" (2005), który lubi mieć w pobliżu siebie. I opowiada, jak to wspólnie z zaprzyjaźnioną poetką przypominały sobie tętniący życiem grudniowy rynek, starą ulicę Kościuszki, olkuskie straganiarki i dawne sklepy. W tym zbiorku Renia to ktoś, kto *... w oknie starej kamienicy (...) pisze wiersz.* - Dziś, czytając poezję Ireny Włodarczyk,

wystarczy zamknąć oczy, by ujrzeć *sanie z dźwięczącymi dzwoneczkami w mroźną, wigilijną noc...* Trzeba leciutko uruchomić wyobraźnię i już się widzi, jak ulicę Kościuszki przemierzają pani Lala Majewska - zakochana w pięknie i historii Ziemi Olkuskiej oraz pan Władysław Wołkowski - „Michał Anioł od Wikliny"... Wystarczy oddać się wspomnieniom, by poczuć, jak z piekarni pani Rabendowej na ulicy Żuradzkiej rozchodzi się po rynku *najpiękniejszy zapach pieczonego chleba...*

-*Tylu ludzi już odeszło....* - mówi z goryczą pani Kallistowa - *a ja żyję i cenię życie. Wiedz, Grażynko, że w połowie XX w. ludzie w Olkuszu dzielili się na „ptaki" i „krzaki" – tych przelotnych i tych osiadłych. Znacznie później ktoś z Towarzystwa Miłośników Ziemi Olkuskiej (może pan Mieczysław Karwiński?) wymyślił dowcipnie jeszcze trzecią kategorię - „ostańce", czyli ci, którzy pozostali jeszcze spośród tamtych. Ja do nich należę...* - dodaje tonem, w którym można doszukać się wielu znaczeń.

Prawie zawsze, kiedy spotykam się z panią Kallistową, mówi mi, jak wielką radość sprawiło jej powstanie w Olkuszu pierwszego w województwie małopolskim Oddziału Okręgowego Towarzystwa Kultury Teatralnej i możliwość działania w nim. Do TKT należy przecież od bardzo dawna. Już w 1987 r. IX Krajowy Zjazd Delegatów w Białymstoku za zasługi na polu kultury teatralnej nadał jej status członka honorowego. Oddział w Olkuszu powstał 13 XII 2001 r. z inicjatywy nauczycieli języka polskiego, związanych z Zespołem Szkół nr 3 imienia A. Kocjana, którym kierowała wtedy dyrektor Cyryla Mazur. Inicjatywa ta, będąca efektem długiej, owocnej współpracy szkoły z TKT w Katowicach, znalazła wsparcie wśród innych nauczycieli powiatu olkuskiego. 16 IV 2002 r. odbyło się walne zebranie członków i sympatyków TKT, na którym wybrano Zarząd Oddziału. Prezesem została Ewa Zielińska, a prezesem honorowym - Barbara Kallistowa. Nowo powstałe stowarzyszenie gościło w dniu inauguracji działalności przedstawicieli władz miejskich i powiatowych oraz wybitną działaczkę ruchu teatralnego w Polsce - prezesa honorowego TKT województwa śląskiego - panią Otylię Czerny. Z ust Otylii Czerny usłyszeliśmy tyle ciepłych słów pod adresem Barbary Kallistowej, że wszyscy poczuliśmy się bardzo wzruszeni. Z kolei pani Kallistowa do tej pory widzi w Otylii Czerny wzór działacza na rzecz amatorskiego ruchu teatralnego.

W ciągu kilkunastu lat funkcjonowania TKT pani Basia Kallistowa zawsze była wśród nas. Wspierała wszystkie inicjatywy podejmowane przez Towarzystwo. Przewodniczyła jury pierwszych czterech edycji Małopolskiego Konkursu na Recenzję Teatralną dla Młodzieży, organizowanego przez Oddział Okręgowy TKT w Olkuszu od 2002 r. Uczestniczyła w dorocznych galowych podsumowaniach Akcji „Bliżej Teatru", Małopolskiego Konkursu na Recenzję Teatralną oraz Małopolskiego Turnieju Teatralnego. Bywała na seminariach teatralnych i wigiliach z poetami. Chętnie dzieliła się swoją wiedzą i umiejętnościami, a na spotkaniach z uczniami ciekawie opowiadała o dawnych czasach, dawnej szkole i ludziach niezwykłych, choć z pozoru takich zwyczajnych... W 2010 r. otrzymała wyróżnienie specjalne - Statuetkę Teatralną za *wieloletnie upowszechnianie edukacji teatralnej i literackiej w środowisku, sukcesy artystyczne, pielęgnowanie dziedzictwa kultury regionalnej Ziemi Olkuskiej oraz popularyzowanie idei pięknego życia blisko Sztuki*. 1 lutego 2012 r. na uroczystej gali w Miejskim Ośrodku Kultury w Olkuszu pani Kallistowa otrzymała z rąk Burmistrza Miasta i Gminy – Dariusza Rzepki zasłużoną Nagrodę „Cordis Nobilis" za swoją długoletnią działalność na rzecz dobra innych w kategorii OSOBA. Charakteryzując jej sylwetkę, Naczelnik Wydziału Spraw Społecznych – Jacek Imielski powiedział: -*Barbara Kallista to wzór nauczyciela – nauczyciela rzetelnego i odpowiedzialnego, nauczyciela z pasją wykonującego misję kształcenia i wychowania młodzieży.*

Powinno się takie wzorce upowszechniać...

III. FAKTY ZE SZKOLNEGO ŻYCIA...

- czyli kalendarium obrazujące pracę pozalekcyjną w szkole ekonomicznej i osiągnięcia Zespołu Estradowego pod kierownictwem Barbary Kallistowej. Zestawienie zawiera tytuły montaży słowno-muzycznych, wystawionych w środowisku oraz nagrodzonych na przeglądach szkolnych zespołów artystycznych, nazwiska laureatów konkursów recytatorskich, nagrody zespołowe i indywidualne członków Zespołu Estradowego.

Spektakularne osiągnięcia pani Barbary Kallistowej oraz jej ogromne zaangażowanie w rozwój życia kulturalnego Olkusza ilustruje poniższe zestawienie, i tak nie odzwierciedlające w pełni licznych sukcesów, działań teatralnych, parateatralnych i artystycznych tego zasłużonego nauczyciela, wychowawcy i animatora kultury. Poniższe zestawienie, zawierające listę laureatów konkursów recytatorskich, spektakli teatralnych i montaży literackich, zostało odtworzone na podstawie osobistych notatek pani Barbary Kallistowej oraz niektórych dokumentów szkolnych (np. opinii szkoły o pracy Barbary Kallistowej, dostępnych protokołów Rady Pedagogicznej). Zestawienie to wskazuje jak ważną rolę kulturotwórczą spełniała szkoła ekonomiczna w środowisku. Może ono posłużyć także jako przyczynek do badania wpływu różnych osób na rozwój szkolnej kultury teatralnej, stanowiącej integralny składnik kultury w szerokim tego słowa znaczeniu.

- **1955 – 1958** **Uczennica Teresa Pijaj** zdobyła I miejsce w Konkursie Recytatorskim w eliminacjach wojewódzkich w Krakowie (15.I.1955 r.). Po konkursie odbył się uroczysty koncert w teatrze, na którym laureaci recytowali wiersze dla studentów PWST w Krakowie. Recenzja z koncertu została zamieszczona w „Gazecie Krakowskiej". W tym samym roku uczennica Pijaj zajęła I miejsce w eliminacjach centralnych Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego (11.XI.1955 r.)**.** Dyplom i nagrodę rzeczową dla uczennicy przywiózł do szkoły przedstawiciel Ministerstwa.
  5 V 1957 r. Teresa Pijaj ponownie zajmuje I miejsce w eliminacjach wojewódzkich Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Krakowie, a 27.V.1957 r. zdobywa II nagrodę w eliminacjach centralnych.

W 1958 r. uczennica po raz kolejny zajęła I miejsce w eliminacjach wojewódzkich Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Krakowie, a w eliminacjach centralnych III miejsce.

Talent recytatorski Teresy, jej pracowitość i wybitne osiągnięcia otwarły jej drogę na studia polonistyczne bez egzaminów wstępnych.

- **1956** Powstaje spektakl **„Nawojka”** wg Hanny Januszewskiej, wielokrotnie wystawiany w MDK dla młodzieży ze środowiska szkół olkuskich.

  Obsada:

  Nawojka – Teresa Pijaj

  Wagant – Longina Czeladzka

  Panienka z okienka – Halina Smętek

  Mieszczka – Krystyna Klein

  Mieszczanie – Józef Mogielnicki, Stanisław Nowak

  Żak – Maria Haberko

  Przekupka – Lucyna Pączkowska. W scenach zbiorowych uczestniczyło wielu uczniów. Zdjęcia ze spektaklu wykonał Stanisław Nowak.

- **1957** Spektakl **„Warszawianka”** na podstawie sztuki S. Wyspiańskiego**,** prezentowany w MDK dla młodzieży i społeczności Olkusza. W obsadzie uczestniczyli uczniowie szkoły ekonomicznej oraz aktorzy z teatru w MDK:

  Maria – Longina Czeladzka

  Anna – Teresa Pijaj

  Józef – Józef Mogielnicki

  Stary Wiarus – Stanisław Jarno

  Generał Chłopicki – Stanisław Pajor

  Stanisław Jarno i Stanisław Pajor byli aktorami z teatru pani Olgi Kurzejowej, działającego w MDK. Zdjęcia ze spektaklu w MDK.

- **1957** **„Wieczór satyry i humoru”** w MDK **-** na podstawie tekstów Teresy Grodzieńskiej, Marii Zientarowej, Janusza Minkiewicza,

K. I. Gałczyńskiego, L. J. Kerna, M. Załuskiego. Do oprawy scenograficznej wykorzystano rysunki Zbigniewa Lengrena z „Przekroju".W spektaklu uczestniczyli m. in. L. Czeladzka, T. Pijaj, L. Knap, M. Haberko. Spektakl został udokumentowany zdjęciami.

- **1957** Dla młodzieży uczącej się w Olkuszu i społeczności miasta odbywa się w MDK, a następnie w klubie „Bezaldar**" „Wieczór legend o Srebrnym Grodzie".**

- **1961** Na pierwsze obchody Dni Ziemi Olkuskiej powstaje w inscenizacji B. Kallistowej widowisko plenerowe **„Olkusz - Srebrne Miasto"** (w oparciu o teksty Janiny Majewskiej i wybrane sceny z widowiska A. Polewki „Igrce w gród walą"). Scena, na której wystawiono spektakl, usytuowana została na tle kościoła św. Andrzeja w rynku miejskim; nocą oświetlono ją reflektorami samochodowymi. Atrakcją Dni Olkusza był przemarsz przez miasto barwnego korowodu, w którym kroczyły postacie z „Nawojki" oraz z widowiska „Olkusz – Srebrne Miasto", postacie historyczne, rajcy miejscy i bohaterowie „Wieczoru satyry i humoru " jak Profesor Filutek, Profesor Bęcwalski, Lucynka i Paulinka.

- **1963** **„Migawki ze szkolnej ławki" -** program na uroczystość oddania do użytku nowego gmachu szkoły ekonomicznej. Program był emitowany przez Polskie Radio. W programie wystąpiły m.in. R. Szlęzak, B. Dębska, B. Leisner, M. Jasińska, J. Strzelec. Pokłosiem uroczystości był reportaż w „Gazecie Krakowskiej" pt. „Felek miał szczęście".

- **1963** Dla uczczenia setnej rocznicy powstania styczniowego powstał montaż słowno-muzyczny autorstwa B. Kallistowej, zatytułowany **„Gloria victis"**. Program artystyczny był wielokrotnie prezentowany dla młodzieży w szkole i w środowisku.

- **1964** Wielki sukces B. Kallistowej jako reżysera i inscenizatora. Za program słowno-muzyczny **„Ona ma 20 lat"** Zespół Estradowy

szkoły ekonomicznej zdobywa I miejsce w Przeglądzie Miejskim, I miejsce w Przeglądzie Rejonowymi i I miejsce w Wojewódzkim Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych. W nagrodę występuje w Teatrze Muzycznym w Krakowie na uroczystym koncercie laureatów.

- **1964** Zespół Estradowy wystawia na ogólnopolskiej konferencji dyrektorów szkół CRS, odbywającej się w Olkuszu, montaż słowno-muzyczny zatytułowany **„Do Polski".** W programie zaprezentowano poezję i pieśń żołnierską. Na tej uroczystości debiutuje chór szkolny pod kierunkiem Czesława Szatana.

- **1964 – 1967** Znaczące sukcesy Szkolnego Zespołu Estradowego, który funkcjonuje w tych latach pod nazwą „Pisteloty". Na „Pisteloty" składają się zespół słowno-muzyczny (słowo B. Kallistowa, opracowanie wokalne Jerzy Kubiczek) i zespół taneczny pod kierunkiem Stanisławy Święs. Zespół dał ponad 80 występów dla uświetnienia różnych uroczystości z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego („Tysiąc szkół na Tysiąclecie") na terenie miasta i powiatu olkuskiego.

- **1967** ZSZ CRS i Zespół Estradowy otrzymują Zbiorową Odznakę Tysiąclecia.

- **1967** **N**agroda dla Zespołu Estradowego – wycieczka do Czechosłowacji. Zwiedzanie Pragi i zamków rycerskich.

- **1967** Obchody X-lecia Zespołu Estradowego**.** Podczas zjazdu koleżeńskiego absolwentów z całej Polski spotkali się uczniowie – członkowie aktualnego zespołu z artystami z lat ubiegłych. W czasie obchodów miała miejsce prezentacja osiągnięć zespołu i występy absolwentów.

- **1967** Powstaje niezapomniane widowisko studniówkowe pt**. „Dziady".** Twórcami programu byli uczniowie trzech klas maturalnych, wsparci przez wychowawców**.**

- **1967** Szkolny Zespół Estradowy zdobywa I miejsce na Ogólnopolskim Festiwalu Artystycznym Szkół CRS w Rzeszowie za program **„Piękna nasza Polska cała...”.** W nagrodę dostaje środki pieniężne na zakup strojów.

- **1968** Szkolny Zespół Estradowy zdobywa I miejsce w Wojewódzkim Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych za program **„Pieśń o ziemi naszej”.**

- **1969** I miejsce Zespołu Estradowego w eliminacjach miejskich, środowiskowych i wojewódzkich Przeglądu Szkolnych Zespołów Artystycznych za program **„Pejzaże naszych dni”**.

- **1971** Z okazji nadania drużynie harcerskiej i szkole medalu oraz honorowego obywatelstwa miasta Fromborka Zespół Estradowy przedstawił dla gości i uczniów na dziedzińcu szkoły montaż **„ Fromborski rapsod, czyli rzecz o Mikołaju Koperniku”.**

- **1971** Wyróżnienie I stopnia w Wojewódzkim Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych za program pt. **„A to Polska właśnie...”**

- **1971** Uczennica **Grażyna Kwiatkowska** zdobyła II wyróżnienie w eliminacjach wojewódzkich Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

- **1972** **Grażyna Kwiatkowska** otrzymała I nagrodę w konkursie recytatorskim „O lampkę górniczą”, tytuł „Najlepszej Recytatorki Ziemi Olkuskiej” oraz otrzymała II nagrodę w eliminacjach wojewódzkich Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

- **1972** Zespół Estradowy zdobył I miejsce w Przeglądzie Wojewódzkim Szkolnych Zespołów Artystycznych.

- **1972** Trzydniowa wycieczka do Zakopanego dla całego Zespołu (uczestniczyli w niej m. in.: G. Kwiatkowska, Z. Banyś, D. Gamrat, Z. Wądrzyk, K. Witek, M. Micek).

- **1973** I miejsce Zespołu Estradowego w Wojewódzkim Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych w Katowicach. W tym samym roku zdobywa on też I wyróżnienie w Międzywojewódzkim Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych w Zabrzu.

- **1973** Dla uczczenia 100 rocznicy powstania PTTK występ Zespołu Estradowego w towarzystwie „Capelli Cracoviensis" i chóru „Hejnał" na dziedzińcu zamku w Pieskowej Skale. Konferansjerem była uczennica Grażyna Kwiatkowska.

- **1974** I miejsce Zespołu Estradowego w Przeglądzie Zespołów Artystycznych Polski Południowej w Tarnowie za montaż **„Sławimy cię, Ziemio..."**

- **1974** Występ Zespołu Estradowego z programem „Sławimy cię, Ziemio..." w Sali Rycerskiej Zamku w Pieskowej Skale z okazji 70-lecia Oddziału PTTK w Olkuszu.

- **1974** Gościnne występy Zespołu Estradowego na Przeglądzie Zespołów Związków Zawodowych w Wierbce i Kluczach. Występy odbyły się w miejscowych MDK.

- **1974** **Duet J. Dela, E. Szlęzak** zajął I miejsce w Przeglądzie Piosenki Katowicach oraz zdobył I wyróżnienie w Chorzowie. E. Szlęzak przeszła do finału. Wzięła udział w uroczystym koncercie zorganizowanym przez „Gazetę Krakowską".

- **1975** Za program **„Ziemio ojczysta, ziemio jasna...”** Zespół Estradowy zdobywa:

  I miejsce w Rejonowym Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych w Wolbromiu

  I miejsce w Wojewódzkim Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych w Katowicach,

  I miejsce w Międzywojewódzkim Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych w Zabrzu.

- **1975** Uroczysty koncert Zespołu Estradowego z dedykacją w Kopalni Piasku Podsadzkowego Jaworzno-Szczakowa z okazji XX-lecia zakładu pracy. Nagrodą jest wycieczka dla członków.

- **1976** I miejsce Zespołu Estradowego za program słowno-muzyczny pt.**„To właśnie my”** w Przeglądzie Rejonowym Szkolnych Zespołów Artystycznych oraz I miejsce w Przeglądzie Wojewódzkim Szkolnych Zespołów Artystycznych.

- **1976** Sukces **Elżbiety Szlęzak** w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim - zdobyła I miejsce na szczeblu wojewódzkim w kategorii poezji śpiewanej i przeszła do finału konkursu. Została zaproszona do udziału w uroczystym koncercie „Zanućmy to jeszcze raz..”, zorganizowanym przez „Gazetę Krakowską.

- **1976** **Grażyna Dybich** zajęła I miejsce w Wojewódzkim Przeglądzie Piosenki Harcerskiej.

- **1976** Medal XXV-lecia Pałacu Młodzieży w Katowicach dla Zespołu Estradowego. Występ solistów i zespołu tanecznego na uroczystym koncercie z programem muzycznym **„To właśnie my”**.

- **1977** **Grażyna Pers** zdobyła I miejsce na szczeblu rejonowym w **Przeglądzie Piosenki Rosyjskiej i Radzieckiej**. Ta sama uczennica zajęła także I miejsce w turnieju wojewódzkim Przeglądu Piosenki Żołnierskiej.

- **1978** Występ Zespołu Estradowego na konferencji dyrektorów szkół CRS w Warszawie.

- **1978** II miejsce Zespołu Estradowego w Wojewódzkim Przeglądzie Zespołów Artystycznych za program słowno-muzyczny pt**. „Pieśń niepodległa”**, przygotowanym z okazji 60-lecia Odzyskania Niepodległości.

- **1979** Uczennica **Longina Cieślik** zajęła I miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim w kategorii poezji śpiewanej.

- **1980** Uczennica **Longina Cieślik** zajęła I miejsce w Przeglądzie Międzywojewódzkim Konkursu Recytatorskiego w Tarnowie.

- **1980** Uczennica **Longina Cieślik z**ajęła I miejsce w Przeglądzie Wojewódzkim Piosenki Rosyjskiej i Radzieckiej oraz II miejsce w Przeglądzie Ogólnopolskim Piosenki Rosyjskiej i Radzieckiej. W nagrodę otrzymała srebrny samowar.

- **1981** Uczennica **Renata Krupnik** zajęła I miejsce w eliminacjach rejonowych Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego oraz II miejsce w eliminacjach wojewódzkich

- **1981** I miejsce Zespołu Estradowego w Przeglądzie Rejonowym Szkolnych Zespołów Artystycznych oraz II miejsce w Przeglądzie Wojewódzkim Szkolnych Zespołów Artystycznych za program **„Ballada o srebrnym grodzie”.**

- **1982** Zespół Estradowy pod kierunkiem B. Kallistowej przygotował program artystyczny na uroczystość otwarcia Miejskiego Domu Kultury w Olkuszu. Występ w dniu inaugurującym działalność w nowym obiekcie.

- **1982** Występ Zespołu Estradowego na Sejmiku Turystyczno-Krajoznawczym w Pieskowej Skale (9.10.82) z programem „A to Polska właśnie".

- **1983** I wyróżnienie specjalne w Przeglądzie Wojewódzkim (na 520 szkół tylko 27 otrzymało wyróżnienie I stopnia).

- **1983** Uczennica **Joanna Banyś** otrzymała I specjalne wyróżnienie w eliminacjach wojewódzkich Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego za monodram pt. **„Mój chłopiec".**
  W tym samym roku zdobyła I wyróżnienie w Turnieju Recytatorskim „O Śląską Paproć".

- **1983** Szkoła otrzymuje I miejsce w Konkursie Otwartych Szkół za całokształt pracy pozalekcyjnej.

- **1984** W eliminacjach Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego uczennica **K. Jaroszek** zdobyła II miejsce w turnieju wojewódzkim. Uczennica **M. Magiera** otrzymała II wyróżnienie za monodram pt**. „Plecy"** wg tekstów R. Śliwonika (za ten sam monodram otrzymała później I miejsce w Ogólnopolskim Konkursie w kategorii studenckiej).

- **1984** Uczennica **Joanna Banyś** otrzymała I specjalne wyróżnienie w eliminacjach wojewódzkich XXIX Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego za monodram **„Mama i ja"**.

- **1984** Uczennica **Ewa Kowal** zdobyła I wyróżnienie w eliminacjach wojewódzkich XXIX Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

- **1984** Uczennica **Ewa Kowal** zdobyła I wyróżnienie w Turnieju Recytatorskim „O Śląską Paproć”.

- **1984** Szkoła otrzymuje najwyższe wyróżnienie CRS na konferencji dyrektorów tych szkół za działalność pozalekcyjną.

- **1984** Dyplom i wyróżnienie dla szkoły za upowszechnianie kultury młodzieży szkolnej województwa katowickiego.

- **1985** Uczennica **Wioletta Bąchór** otrzymała II wyróżnienie wojewódzkie w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim. W tym samym roku zdobyła II wyróżnienie w Turnieju Recytatorskim „O Śląską Paproć”.

- **1985** Uczennica **Dorota Grzanka** zajęła II miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim na szczeblu wojewódzkim. W tym samym roku otrzymała II wyróżnienie w Turnieju Recytatorskim „O Śląską Paproć”.

IV. W OBIEKTYWIE APARATU FOTOGRAFICZNEGO..

Postaci z czasów studenckich, uczniowie, koleżanki i koledzy, współpracownicy Barbary Kallistowej, z którymi tworzyła szkolną kulturę teatralną w środowisku.

Profesor Stefan Szuman z uczestniczkami ogólnopolskiego kursu teatralnego w Lęborku (lata pięćdziesiąte XX w.)

Basia Kmita pozuje do zdjęcia w teatralnej sukni podczas kursu w Lęborku. Echem tych warsztatów był m. in. artykuł w „Przekroju”.

Tak wyglądała w latach pięćdziesiątych jako studentka filologii polskiej i wychowania estetycznego.

Niżej Barbara Kallistowa w 1954 r. wkrótce po przyjeździe do Olkusza.

Lata sześćdziesiąte były dla Barbary Kallistowej czasem intensywnej pracy. Doskonale przygotowywała kolejne klasy do matury z języka polskiego, wespół z Janiną Majewską i Janiną Kapustówną propagowała baśnie i legendy regionalne w środowisku, tworzyła nowatorskie inscenizacje. W klubie „Bezaldar" współorganizowała niezapomniany **„Wieczór legend o Srebrnym Grodzie"(1957)**

Tu z Bożenką Dębską – swoją wychowanką i uczennicą, a w niedalekiej przyszłości współpracownicą i kierowniczką zajęć pozalekcyjnych w świetlicy szkolnej.

Szczególnym wyzwaniem dla młodej polonistki było włączenie szkolnego Zespołu Estradowego w organizację pierwszych Dni Olkusza (1961). Obchody te uświetniło widowisko plenerowe **„Olkusz - Srebrne Miasto”,** przygotowane w oparciu o teksty Janiny Majewskiej i wybrane sceny z widowiska A. Polewki „Igrce w gród walą”. Atrakcją Dni Olkusza był przemarsz przez miasto barwnego korowodu, w którym pojawiły się postacie z różnych inscenizacji, opracowanych przez Barbarę Kallistową.

Rozpromienione twarze członków Zespołu Estradowego i uśmiech zadowolenia na twarzy opiekunki wskazują jednoznacznie, że wszystko poszło bardzo dobrze.

Barbara Kallistowa – szczęśliwa i dumna ze swoich artystek. Dobrze spisały się Bożena Dębska (z lewej), Basia Leisner (z prawej) i Anita Czeladzka.

Młoda Basia Kallistowa w wolnych od pracy chwilach chętnie uczestniczyła w wycieczkach. Tu w drodze na Węgry...

Najtrwalsze przyjaźnie zawiera się w młodości... Na zdjęciu Barbara Kallista odwiedza wraz z koleżankami i kolegami chorego Jana Stachurskiego w jego mieszkaniu. Jak widać spotkanie przyniosło wiele radości...

Z rozrzewnieniem wspomina pani Kallistowa niezapomniane bale karnawałowe w starym Domu Kultury przy ul. Gęsiej, które znakomicie organizował Jan Stachurski.

Barbara Kallistowa z Zespołem Estradowym podczas próby montażu słowno-muzycznego w świetlicy szkolnej. Pierwsza z prawej to Marysia Nowak, z lewej strony Barbary Kallistowej stoją inni członkowie Zespołu, których trudno dziś imiennie rozpoznać.

Dobra współpraca przynosi wymierne efekty... Bez tych panów nie powstałyby doskonałe programy artystyczne Barbary Kallistowej. Przy pianinie Jerzy Kubiczek, na skrzypcach gra Henryk Sławiec.

„To chyba Renia Krupnik...?" - mówi po chwili zastanowienia pani Barbara Kallistowa, usiłując zidentyfikować laureatkę Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Minęło przecież już tyle lat...

Na lekcjach języka polskiego ważne jest przeżywanie dzieła, bo – jak powiedział Jan Twardowski: *Powołaniem poezji jest ocalać wartości najważniejsze*. Jednak, aby człowiek uznał te wartości za swoje, muszą najpierw zapaść mu głęboko w serce. Barbara Kallistowa zawsze starała się tak prowadzić lekcje, by wychowywać ludzi mądrych i dobrych. Dlatego jej uczniowie bardzo dobrze zdawali maturę i studiowali na wielu uczelniach. Na lekcjach panowała pogodna i życzliwa atmosfera, co zresztą doskonale widać na tym zdjęciu...

Ostatnia dekada pracy nauczycielskiej w szkole, czyli lata osiemdziesiąte przyniosły Barbarze Kallistowej wiele osiągnięć i satysfakcji. Sukcesy w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim, wyróżnienia w Turnieju Recytatorskim „O Śląską Paproć", dyplomy i wyróżnienia dla szkoły za upowszechnianie kultury młodzieży szkolnej województwa katowickiego... Najwięcej radości sprawiały jednak pani Kallistowej wdzięczne serca wielu uczennic – artystek takich jak Joasia Banyś, która na odwrocie podarowanej jej w dniu14.03.85 r. fotografii napisała:

„Nie mogę przecież dać nieśmiertelności
Sama śmiertelna jak biała mysz,
na której doświadczenia robi czas."

Kochanej i najwspanialszej Profesorce, czyli mojej „Drugiej Mamie”, ad futuram rei memoriam.

Joanna Banyś – laureatka wielu konkursów recytatorskich. Współautorka nagrodzonych monodramów: „Mój chłopiec” oraz „Mama i ja” .

W późnych latach osiemdziesiątych Barbara Kallistowa chętnie angażowała się w działalność kulturalną. Przygotowywała np. ze swoim zespołem wieczory literackie jak choćby ten, który odbył się w Dworku Machnickich, a ściślej w Muzeum Twórczości Władysława Wołkowskiego. Wnętrze, zaprojektowane w pewnym stopniu przez samego artystę – „Michała Anioła od Wikliny” w myśl „Koncepcji Mieszkania Poetyckiego”, sprzyja wytworzeniu pogodnego, optymistycznego nastroju...

Widać, że impreza się udała... Radosny nastrój trwa i po wyjściu z Dworku...

Po przejściu na emeryturę w 1984 roku Barbara Kallistowa nadal jest niestrudzonym animatorem kultury w środowisku. Aktywnie angażuje się w działalność Klubu Literackiego, który powstał w 1982 r., wspiera fachowymi poradami jego członków, organizuje wieczory popularyzujące twórczość olkuskich poetów.

Poniższe zdjęcie otrzymała z dedykacją, wpisaną przez Annę Piątek (siedzi w pierwszym rzędzie pośrodku): *Pani mgr Barbarze Kallistowej – dziękując za wieczór autorski Anny Piątek (przygotowanie całości: słowa o autorce, recytatorów , muzyki) Członkowie Klubu Literackiego.*

Na kolejnych fotografiach Barbara Kallistowa świętuje XV-lecie Klubu Literackiego, uświetnione wydaniem tomiku poetyckiego pt. „Kontynuacje” (1997 r.), który współredagowała z kierującą olkuskim Domem Kultury Haliną Świerczek.

Od lewej: Krystyna Dziurzyńska, Barbara Litarska, Barbara Kallistowa, Irena Włodarczyk

Poetyckie wnętrze Muzeum Twórczości Władysława Wołkowskiego nastraja refleksyjnie i radośnie.

Toast wznoszą od prawej kierownik Domu Kultury - Halina Świerczek, Barbara Kallistowa, Danuta Cockiewicz – wybitny nauczyciel historii i aktywna działaczka Towarzystwa Miłośników Ziemi Olkuskiej.

W 2002 r. Barbara Kallistowa otrzymała godność honorowego prezesa nowo utworzonego Oddziału Okręgowego Towarzystwa Kultury Teatralnej w Olkuszu.

Na tym zdjęciu dziękuje za wyróżnienie. Mikrofon podtrzymuje prezes Oddziału Okręgowego TKT – pani Ewa Zielińska.

Przez ponad dekadę funkcjonowania TKT Barbara Kallistowa żywo angażowała się w działalność Towarzystwa. Uczestniczyła w spotkaniach miłośników teatru, na których tradycyjnie dokonywano podsumowania ważniejszych wydarzeń teatralnych i parateatralnych w regionie.

Przeżywała każdy projekt, a najbardziej programy artystyczne przygotowane pod kierunkiem nauczycieli i instruktorów. Zawsze chętnie przychodziła do siedziby Towarzystwa, tym bardziej że mieściła się ona w gmachu szkoły ekonomicznej, z którą związała się całym swoim zawodowym życiem. Uczestniczyła w Jubileuszu 65-lecia Zespołu Szkół nr 3 przy ulicy F. Nullo 32, zorganizowanym w dniu 1.06.2012 r. przez dyrektor Cyrylę Mazur.
Spotkanie z dawnymi uczennicami i wychowankami...

Serdeczne więzi z koleżankami i kolegami podtrzymuje także w życiu prywatnym. Jej sposobem na dobrą kondycję jest bowiem ciągła aktywność intelektualna i fizyczna.
Na poniższym zdjęciu obecna jest na prywatce ze swoją serdeczną przyjaciółką – Danutą Piątek (z lewej) oraz koleżankami emerytkami z Zespołu Szkół nr 3: Elżbietą Kalisz i Zofią Rozmus (z prawej).

Poniżej Barbara Kallistowa na wycieczce *Pieskowa Skała – Ojców*, która miała miejsce w 2006 r. Było to zarazem spotkanie bliskich osób, które połączyły lata wspólnej pracy.

Na prawo od Barbary Kallistowej stoją: Elżbieta Kalisz, Aleksander Masłowski, Maria Dziuba, Wiesław Piątek, Maria Kaplita. Od lewej siedzą: Danuta Piątek, Waldemar Dziuba, Adam Gucwa, Janina Gucwa.

Doceniając zasługi Barbary Kallistowej dla kultury, TKT nominowało ją do Nagrody Burmistrza Miasta i Gminy Olkusz dla Osób Działających na Rzecz Dobra Innych „CORDIS NOBILIS". 1 lutego 2013 r. wzruszona Barbara Kallistowa odebrała tę zaszczytną Nagrodę – Statuetkę „Szlachetnego Serca" z rąk burmistrza – Dariusza Rzepki. Stało się to podczas uroczystej gali w sali widowiskowej Miejskiego Ośrodka Kultury.

Rok 2014 także przyniósł wiele radości.

Barbara Kallistowa została zaproszona na zjazd absolwentów Technikum Ekonomicznego, którzy zdali maturę w 1964 r. Pamiątkowe zdjęcie mówi tak wiele... Budzi wzruszenia, wspomnienia i refleksje. Wdzięczni uczniowie obdarowali swoje profesorki – Barbarę Kallistę i Danutę Piątek kwiatami.

W roku 2014 pani Barbara Kallistowa obchodziła swoje 90 urodziny. Z tej okazji dostała wiele gratulacji i ciepłych życzeń. O jubileuszu 90-lecia urodzin swojego honorowego prezesa nie zapomniał też Oddział Okręgowy TKT. Dostojną Jubilatkę odwiedzili w jej domu przedstawiciele Zarządu wraz z uczniami szkoły, w której pracowała przez całe swoje życie zawodowe.

Skierowane do niej życzenia specjalne odczytała Grażyna Wącław.

Pani Profesor Barbarze Kallistowej,
Długoletniemu Nauczycielowi w Zespole Szkół nr 3
im. Antoniego Kocjana w Olkuszu,
Honorowemu Prezesowi Towarzystwa Kultury Teatralnej
w 90 Rocznicę Urodzin oraz z okazji zbliżających się Imienin

***

W świecie zwyczajnych ludzi
pojawiają się czasami osobowości niezwykłe.
Patrzą uważniej i czulej, widzą więcej wokół siebie
niż zwykli zjadacze chleba.

Takim wyjątkowym człowiekiem jest Pani.

Dziękujemy za to,
że przez długie lata wykonywała Pani z pasją zawód nauczyciela,
rozbudzając w młodzieży miłość do ojczyzny, języka polskiego i teatru.
Dziękujemy za wkład w ukształtowanie pokoleń

wrażliwych na sztukę i piękno słowa.
Dziękujemy za recytatorów
wspaniałe interpretujących poezję
na ogólnopolskich konkursach
oraz za niezapomniane programy jak np. „Uwierzyć w człowieka”.
Proszę przyjąć od nas najserdeczniejsze gratulacje
z okazji 90 Rocznicy Urodzin
i jednocześnie życzenia zdrowia, pogody ducha,
dostatku i ludzkiej życzliwości.
Życzymy, aby wciąż płonęło w Pani wewnętrzne światło
rozświetlające ciepłym blaskiem
wszystkie nadchodzące dni.
Oby było ich jak najwięcej!
Ad multos annos, Pani Profesor!

Olkusz, 26 listopada 2014 r.

A potem długo śpiewaliśmy wspólnie „Sto lat”... Justyna Rydzyk popisała się starannie przygotowaną, brawurową interpretacją piosenki E. Stachury „Życie to nie teatr”.
Na zdjęciu od prawej: Anna Hajduła, Grażyna Wącław, Piotr Czajkowski . Z lewej strony pani Barbary Kallistowej stoją Justyna Rydzyk i Joanna Laszczak.

PODSUMOWANIE

Życia i wiedzy więc treścią cóż? ... Serce!(...)
Wszystko, co wielkie, jest wielkie przez serce.
C. K. Norwid

Panią profesor Barbarę Kallistową zobaczyłam po raz pierwszy w 1969 r., kiedy to znalazłam się wśród uczniów Liceum Ekonomicznego CRS. Była wielką indywidualnością w naszej szkole. Wszyscy wiedzieliśmy, że jej pasją jest teatr poezji. Jako społeczność uczniowska byliśmy dumni z licznych sukcesów odnoszonych na przeglądach i konkursach przez recytatorów i Zespół Estradowy pod jej kierunkiem.

Po ukończeniu filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1977 r. wróciłam do swojej macierzystej szkoły. Tak się złożyło, że pierwsze lata mojej pracy zawodowej były zarazem ostatnimi latami pracy pani Kallistowej w pełnym wymiarze. Pamiętam, że okazywała wiele serca wszystkim młodym nauczycielom, także i mnie. Była zawsze chętna do pomocy, nie szczędziła dobrych rad i wskazówek. Zachęcała do kontynuowania tradycji wychowywania młodzieży poprzez teatr. Uczyła, jak uwrażliwiać młodych na piękno słowa, jak szlifować diamenty.

Ze wzruszeniem przyjęła godność honorowego prezesa Oddziału Okręgowego Towarzystwa Kultury Teatralnej, które powstało w Olkuszu w roku 2002. Od tej pory szanowaliśmy w jej osobie nie tylko zasłużonego nauczyciela seniora, ale także działacza na rzecz teatru, który zdobył sobie wielki szacunek swoją długoletnią, zaangażowaną pracą społeczną. Chętnie bywała w szkole z okazji różnych wydarzeń teatralnych i zawsze cieszyła się z okolicznościowych wizyt młodzieży i członków Zarządu TKT w jej domu.

Pani Barbara Kallistowa, rozmawiając ze mną i przeglądając stare fotografie, przywoływała całe swoje życie. W kalejdoskopie wspomnień pojawiali się ludzie, z którymi zetknęła się w latach pracy zawodowej i na emeryturze. Zaledwie naszkicowałam postaci, które przywoływała najczęściej, pragnąc je „ocalić od zapomnienia”. Moim właściwym celem jest

bowiem przybliżenie jej sylwetki – portretu nauczyciela z pasją, dla którego praca z młodzieżą była nie tyle zawodem, co autentycznym powołaniem. Wysokie wyniki egzaminu maturalnego z języka polskiego, liczne sukcesy Zespołu Estradowego, indywidualne osiągnięcia konkursowe wychowanków pani Barbary Kallistowej są owocami trudu pedagogicznego i wielkiego serca tego wspaniałego nauczyciela starszego pokolenia.

Niech to opracowanie będzie wyrazem naszego szacunku i podziękowania za dobro, do którego poszerzenia się przyczyniła.

Spis treści

WSTĘP....32
I. SYLWETKA BIOGRAFICZNA BARBARY KALLISTOWEJ....34
II. DAWNE CZASY, DAWNA SZKOŁA I LUDZIE NIEZWYKLI....38
III. FAKTY ZE SZKOLNEGO ŻYCIA....47
IV. W OBIEKTYWIE APARATU FOTOGRAFICZNEGO....57
PODSUMOWANIE....75

IV. Historia powstania Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP w Olkuszu

„… aby mierzyć drogą przyszłą,
trzeba wiedzieć, skąd się wyszło”

C.K. Norwid

Budynek, w którym m.in. mieści się Oddział ZNP w Olkuszu.

Trzeba wiedzieć, że na ziemi olkuskiej w czasie okupacji działała „Tajna Organizacja Nauczycielska” TON, której zadaniem było prowadzenie konspiracyjnej działalności. Walka z okupantami wymagała zespolenia wszystkich sił środowiska oświatowego i naukowego, niezależnie od różnic ideowych i politycznych oraz wieku nauczycieli. Twierdzę, że już w tym trudnym czasie, nauczyciele emeryci, byli zrzeszeni, a jedną z nich, była nasza kol. Tamara Szumska.

Trzeba powiedzieć, że historia naszej Sekcji, to jedno wielkie doświadczenie kulturowe, gdyż różnimy się kulturowo, społecznie i politycznie, mając często odmienne poglądy. Jednak zawsze potrafimy znaleźć wspólną drogę i cieszyć się, że jesteśmy razem. Z przeszłości nie trzeba powtarzać ani lekcji ani klasy, ale trzeba wyciągnąć z niej wnioski do dalszej pracy w zmieniających się warunkach i uczestniczyć w przekształcaniu rzeczywistości. Wydaje się, że warto poznać historię naszej Sekcji – Sekcji Emerytów i Rencistów działającej przy Oddziale Związku Nauczycielstwa Polskiego w Olkuszu i zastosować się do myśli C. K. Norwida, będącej mottem tego opracowania.

W naszym mieście życie związkowe wśród nauczycieli emerytów notowane jest od 1949r. Już wtedy zorganizowane były kasy zapomogowo-pożyczkowe dla nauczycieli emerytów-związkowców. W miarę wzrostu liczebności emerytów powstawały „Grupy Seniorów” lub „Koła Seniorów” przy Radach Zakładowych ZNP w większych szkołach.

W latach następnych tworzyły się „Kluby Emerytów”, których celem było pomagać potrzebującym emerytom i rencistom. W 1970 r. są zapisy o zorganizowanym życiu i działalności tych Klubów.

Pierwszym Prezesem Seniorów był Tadeusz Migaczewski, a współpracowali z nim Hipolit Kobos, Eleonora Kunikowa, Wincenty Biernacki, Janina Skórzewska, Franciszek Cieślik, Maria Malecka, Henryk Osuch i inni. Wszyscy w/w są umieszczeni w „Encyklopedii aktywnych działaczy związkowych". Jeden z tych działaczy kol. Franciszek Cieślik – najpierw Prezes Oddziału ZNP, opracował i wydał książkę pt: „Nauczycielstwo powiatu olkuskiego w walce o Polskę, polskość i postęp". Dzięki jego staraniom dom po byłej WKR przydzielono po remoncie Zarządowi Oddziału ZNP i Powiatowej Bibliotece Pedagogicznej, gdzie funkcjonują do chwili obecnej. Tutaj też powstaje Klub Nauczyciela, który prężnie działa i przyciąga nauczycieli związkowców pracujących, jak i emerytów. Od tej chwili nauczyciele emeryci mogą systematycznie się spotykać. Organizowane są wycieczki turystyczno-krajoznawcze, odczyty oraz występy artystyczne dzieci szkół olkuskich. Istniały w tym czasie Kluby: literacki, plastyczny, historyczny, szachowy, brydżowy oraz zespół artystyczny i chór nauczycielski.

W Klubach i Zespołach spotykali się nauczyciele pracujący, jak i emeryci. Najbardziej rozwinął się Ruch Turystyczno-Krajoznawczy.

W tym czasie kierownikiem Klubu Nauczyciela zostaje kol. Mieczysław Kordaszewski, a działalność tego Klubu jest najwyżej oceniona w województwie katowickim. Tutaj trzeba dodać, że w tym czasie Olkusz należał do województwa katowickiego.

1.12.1999 r. Sekcja Emerytów i Rencistów ZNP przechodzi z Katowic do Krakowa.

25.01.2000 r. odbywa się w Olkuszu uroczyste Spotkanie Prezesów Oddziałów ZNP, którzy przeszli z Katowic do Krakowa. Biorą w nim udział Prezesi z: Bukowna, Klucz, Chrzanowa, Trzebini, Libiąża, Wolbromia i Babic.

Chciałabym jeszcze cofnąć się latami wstecz i powiedzieć, że nazwa „Sekcja Emerytów i Rencistów ZNP" została wprowadzona w roku 1977. Sekcja w tym czasie liczyła 82 członków.

W 1981r. pojawił się kryzys polityczno-ekonomiczny i postępująca anarchia życia społecznego. W związku z tym działalność związkowa zostaje przerwana. W 1984 r. wznowiono działalność Sekcji EiR ZNP i liczyła ona 112 członków. Przewodniczącą Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP w tym czasie zostaje Łucja Ćmiel, po niej przewodzi Sekcji Mirosława Czerniak, ale ze względu na stan zdrowia nie jest to cała kadencja. Od 1990 do 1994 r. kierownictwo Sekcji obejmuje Krystyna Cembrzyńska.

Sekcja wciąż działa prężnie i bierze udział w życiu kulturalnym i społecznym. Prowadzona jest przez ludzi, którzy nie szczędzili czasu i zapału, by umilić jesień życia emeryckiego.

W latach 1995 – 2006 przez 3 kadencje sekcję prowadziła Janina Kafel. Była osobą bardzo zaangażowaną w pracę społeczną, a pomagał jej w tym mąż Bronisław. Oboje już nie żyją. Kol. Janina pracowała również w Zarządzie Okręgu ZNP w Krakowie.

Byłe przewodniczące sekcji. Od prawej śp. Janina Kafel, Mirosława Czerniak i Janina Makarowska.

Prowadziła zespoły muzyczne, organizowała wystawy prac – rękodzieło artystyczne jak hafty i wyroby ze słomy, które również sama tworzyła. Opracowała kilka biogramów wybitnych działaczy ZNP. W pracy Sekcji pomagali jej członkowie Zarządu. Na uwagę zasługuje: Aleksander Banyś, Mirosława Czerniak, Krystyna Latecka, Wiesława Pieniążek oraz małżeństwo Michalina i Marian Skubisowie.

W latach 2006 - 2010 sekcję prowadzi Janina Makarowska, kontynuuje założenia swojej poprzedniczki. Od 2010 r. do dnia dzisiejszego Sekcję Emerytów i Rencistów ZNP prowadzi kol. Grażyna Królewicz.

Obecna przewodnicząca, kol. Grażyna Królewicz prowadzi spotkania.

Sekcja obecnie liczy 34 osoby, jest to dużo mniej niż na początku lat osiemdziesiątych. Wiele czynników wpłynęło na to, że liczba członków zmalała. Maleje też liczba członków ZNP. Mimo to, sekcja prowadzi szeroką działalność. Organizuje spotkania z ciekawymi ludźmi, odczyty, występy dzieci szkolnych z okazji świąt państwowych i okolicznościowych.

Spotkanie z archeologiem prof. dr hab. Dariuszem Rozmusem w ramach spotkań z ciekawymi ludźmi.

Organizowane są wycieczki turystyczno-krajoznawcze, najczęściej w regionie małopolskim oraz zagraniczne jak: Wiedeń, Lwów, Drezno. Wzorem lat ubiegłych spotkania odbywają się raz w miesiącu przy kawie lub herbacie, a słodkości przynoszą solenizanci. Sekcja otacza opieką swoich członków chorych i samotnych. Dla potrzebujących przyznawane są zapomogi. Z okazji Dnia Nauczyciela każdy członek Sekcji dostaje drobny upominek – np. książkę lub słodycze.

Bardzo dobrze układa się współpraca Sekcji z Oddziałem. Prezes ZNP kol. Marek Krzykawski, który jest już trzecią kadencję, służy radą i pomocą oraz stara się uczestniczyć w spotkaniach naszej Sekcji. Przewodnicząca Sekcji bierze udział w Posiedzeniu Zarządu oraz Prezydium Oddziału ZNP. Sekcja otrzymuje raz w roku dotację na wycieczkę oraz organizację Dnia Nauczyciela.

Moszna 2009 r.

Rabsztyn 2012 r.

Mamy do dyspozycji naszych spotkań salę, która mieści się w budynku oddziału ZNP. Jest tu też „Kącik prac artystycznych" naszych koleżanek. Na uwagę zasługują prace rękodzieła artystycznego naszej kol. Miry Czerniak – haftowane obrazy. Tu muszę wspomnieć, że prace te dwukrotnie wzięły udział w wystawie prac rękodzieła artystycznego w Krakowie. Kol. Mirusia pisze też wiersze i bardzo często recytuje je na naszych spotkaniach.

Przewodniczącej kol. Grażynie Królewicz pomaga Zarząd Sekcji. Są to kol. Zofia Rozmus, Cecylia Głąb, Elżbieta Flacht, Grażyna Wesołowska, Danuta Sołtysik. Koleżanki piszą protokoły, pomagają w organizacji spotkań oraz biorą udział w posiedzeniach Zarządu Sekcji.

Kol. Mirusia prezentuje swoje wiersze i swoje obrazy haftowane.

Dużo pomaga nam też kol. Basia Kiszko, która jest w Oddziałowej Komisji Rewizyjnej. Na szczególne uznanie zasługuje praca kol. Cecylii Głąb, która jest naszym skarbnikiem oraz wzorowo od lat prowadzi naszą Kronikę.

Fragmenty kroniki.

Bardzo dobrze układa nam się współpraca ze środowiskiem. Członkowie naszej sekcji biorą czynny udział w imprezach okolicznościowych, organizowanych przez Dom Kultury i Klub „Przyjaźń". Współpracujemy też ze szkołami – uczniowie przygotowują nam okolicznościowe występy. Na szczególną uwagę zasługuje współpraca z Zespołem Szkół nr 4 w Olkuszu zwanym „Budowlanką".

Korzystamy z wyjazdów do teatru i na koncerty, organizowane przez Oddział ZNP oraz Dom Kultury. Utrzymujemy przyjazne kontakty z sąsiadami, sekcjami – z Bukowna i Klucz. Zapraszamy ich na wspólne spotkania oraz my uczestniczymy w ich spotkaniach. Czasem wyjeżdżamy też na wspólne wycieczki.

Nasza Sekcja jest nieliczna i „starzeje się". Nie wszyscy nauczyciele, którzy odchodzą na emeryturę, chcą się udzielać w Sekcji, gdyż pomagają swoim dzieciom, opiekując się wnukami lub chorują. Trzeba też dodać, że dużo naszych członków na przestrzeni lat zostało uhonorowanych Złotą Odznaką ZNP, Złotym Krzyżem Zasługi oraz innymi Odznaczeniami.

Nie wiem czy udało mi się dostatecznie opisać pracę i oddanie niektórych działaczy społecznych – emerytów. Mam jednak nadzieję, że chociaż trochę przybliżyłam obraz wkładu pracy tych ludzi na rzecz Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP w Olkuszu.

Opracowała Przewodnicząca Sekcji
Grażyna Królewicz

V. Wychowankowie dumą szkoły na forum międzynarodowym i krajowym w różnych obszarach życia społecznego... cd

Podajemy w kolejności alfabetycznej, tych absolwentów, którzy przysłali nam swoje dane biograficzne. Czekamy na przesłanie następnych.

Notariusz mgr Joanna Greguła

Joanna Greguła (nazwisko panieńskie Majewska), długoletni notariusz w Krakowie.

Absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu (w latach 1968-1972), a następnie Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Ukończyła ponadto studium podyplomowe z zakresu prawa notarialnego na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Po zakończeniu studiów odbyła aplikację notarialną, zakończoną egzaminem w Ministerstwie Sprawiedliwości. Dodatkowo odbyła także aplikację sędziowską, zakończoną egzaminem sędziowskim w Sądzie Wojewódzkim w Krakowie. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych brała udział w pracach ustawodawczych nad projektem prawa o notariacie, przygotowywanym przez środowisko notariuszy. Projekt ten został ostatecznie przyjęty i ustawa Prawo o notariacie z 1991 roku zmieniła ustrój notariatu w Polsce poprzez jego reprywatyzację.

Od początku wykonywania zawodu notariusza nieprzerwanie do dnia dzisiejszego pełni szereg funkcji samorządowych, a to podczas pracy w Państwowym Biurze Notarialnym w Krakowie pełniła obowiązki kierownika sekcji ksiąg wieczystych, w latach 1991-1994 i 1994 i 1997 członek Rady Izby Notarialnej w Krakowie, w latach 1997-2000 i 2000-2003 wiceprezes Rady Izby Notarialnej w Krakowie, a w latach 2006-2012 Prezes Rady Izby Notarialnej w Krakowie, w latach 2012-2015 Członek i Rzecznik Prasowy Krajowej Rady Notarialnej, obecnie Członek Rady Izby Notarialnej w Krakowie, Członek Zespołu do Spraw Nadzoru Rady Izby Notarialnej w Krakowie oraz Członek Rady Fundacji na rzecz Bezpiecznego Obrotu Prawnego w Warszawie, a także Członek Rady Programowej wydawnictwa prawniczego Krakowski Przegląd Notarialny.

Przez szereg kadencji pełniła funkcję szefa szkoleń aplikantów notarialnych, którą sprawuje do dziś. Jest doświadczonym wykładowcą z zakresu prawa cywilnego, notarialnego, ze szczególną specjalizacją w zakresie prawa wyznaniowego.

Autorka publikacji z zakresu tematyki notarialnej, a zwłaszcza związanej z aplikacją notarialną, wieloletni szkoleniowiec i wizytator notarialny o wysokich kwalifikacjach i doświadczeniu. Ekspert w Komisji Europejskiej ds. szkoleń prawniczych, uczestnik prac w Komisji Notariatów Unii Europejskiej – w zakresie jurysdykcji prewencyjnej i prawa spadkowego.

Współzałożycielka i Wiceprezes Zarządu Stowarzyszenia Ars Legis im. Św. Ivo Helory Patrona Prawników z siedzibą w Krakowie oraz wieloletni Członek Zarządu Fundacji „Dzieło Pomocy Dzieciom" Fundacja Ruperta Mayera z siedzibą w Krakowie. Pełni także funkcję członka Rady Fundacji pod nazwą „Będzie Lepiej" z siedzibą w Krakowie.

Autorka licznych wierszy (tom poezji pt: „Przedtem i potem"), piosenek, fraszek, literatury dla dzieci.

Joanna Greguła jest ponadto absolwentką szkoły muzycznej w Olkuszu. Była członkiem licznych zespołów kameralnych, muzycznych, chóralnych. Obecnie miłośniczka muzyki, podróży i psów.

Prof. dr hab. Ewa Kluczewska

Prof.dr hab. Ewa Kluczewska (od lewej) z siostrą mgr Anną Kajdą.

Specjalność:
specjalista radiologii i diagnostyki obrazowej

Wykształcenie:
Liceum Ogólnokształcące im Kazimierza Wielkiego w Olkuszu 1971 - 1975
Lekarz medycyny, Wydział Lekarski ŚAM w Katowicach w 1981r.

Stopnie naukowe:
Pierwszy stopień specjalizacji w zakresie radiodiagnostyki w 1983 r. Warszawa,
Drugi stopień specjalizacji: specjalista radiologii i diagnostyki obrazowej w 1990 r. Warszawa

W 1993 r. obroniłam pracę doktorską zatytułowaną „Wartość diagnostyczna badań radiologicznych anomalii naczyniowych w nieurazowych krwotokach podpajęczynówkowych". Wydział Lekarski w Katowicach SUM Katowice

W 2003r doktor habilitowany nauk medycznych; praca habilitacyjna pt. „Neuroradiologiczne rozpoznawanie i określanie cech złośliwości guzów wewnątrzczaszkowych".

Miejsce zatrudnienia i zajmowane stanowisko:

1. Kierownik Katedry i Zakładu Radiologii Lekarskiej i Radiodiagnostyki Wydziału Lekarskiego z Oddziałem Dentystycznym W Zabrzu Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach
2. Kierownik Zakładu Radiologii Lekarskiej i Radiodiagnostyki SP Szpitala Klinicznego nr 1 w Zabrzu

Działalność w zawodzie lekarza

Po ukończeniu studiów w 1981 roku rozpoczęłam pracę w Katedrze i Klinice Radiologii Śląskiej Akademii Medycznej.

Od 1994r. byłam Kierownikiem Zakładu Diagnostyki Obrazowej w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka i Matki. Aktywnie włączyłam się w tworzenie nowej jednostki organizacyjnej, w której od 2001 roku byłam odpowiedzialna za pełnoprofilową diagnostykę obrazową chorych leczonych w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka i Matki Szpitala Klinicznego nr 6 w Katowicach.

W październiku 2007 r. po przeprowadzonym postępowaniu konkursowym zostałam Kierownikiem Katedry i Zakładu Radiologii Lekarskiej i Radiodiagnostyki w Zabrzu SUM w Katowicach. Od tego czasu jestem odpowiedzialna za dydaktykę i prace naukowo – badawcze tam prowadzone. Od 2007r jestem kierownikiem Zakładu Radiologii Lekarskiej i Radiodiagnostyki Szpitala Klinicznego nr 1 w Zabrzu, który stał się nowoczesną jednostką organizacyjną posiadającą możliwości prowadzenia badań diagnostycznych na najwyższym poziomie zgodnie z procedurami obowiązującymi w Polsce i wytycznymi Europejskiego Towarzystwa Radiologicznego.

Od 1981 roku jestem członkiem Polskiego Lekarskiego Towarzystwa Radiologicznego.

Działalność dydaktyczna i szkoleniowa

Od 1981 roku jestem nauczycielem akademickim. Prowadzę zajęcia z radiologii klinicznej, ze studentami IV i V roku Wydziału Lekarskiego z Oddziałem Lekarsko Dentystycznym w Zabrzu śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach. Od 1999 roku uczestniczę w nauczaniu studentów Fizyki Medycznej Uniwersytetu Śląskiego. Byłam promotorem 14 prac licencjackich i siedmiu prac magisterskich studentów Fizyki Medycznej Uniwersytetu Śląskiego. Byłam piekunem Koła Naukowego przy Zakładzie Diagnostyki Obrazowej w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach oraz w Katedrze Radiologii w Zabrzu. Jestem kierownikiem specjalizacji lekarzy z zakresu rentgenodiagnostyki, radiologii i diagnostyki obrazowej.

Jestem promotorem piętnastu rozpraw doktorskich oraz opiekunem ośmiu rozpraw doktorskich przygotowanych do obrony.

Jako wykładowca biorę udział w kursach ogólnopolskich organizowanych przez CMKP, Polskie Lekarskie Towarzystwo Radiologiczne, Szkołę Rezonansu Magnetycznego. Od 1999 roku jestem kierownikiem kursów organizowanych przez Kolegium Kształcenia Podyplomowego ŚUM, w których również uczestniczę jako wykładowca.

Dorobek Naukowy

Główne kierunki pracy badawczej:

- Diagnostyka neuroradiologiczna
- Diagnostyka obrazowa w onkologii
- Diagnostyka obrazowa w pediatrii
- Diagnostyka w ortopedii

Na dotychczasowy mój dorobek naukowy składa się łącznie 347 prac opublikowanych w czasopismach polskich i zagranicznych. Jestem autorem i współautorem 23 rozdziałów w podręcznikach o zasięgu ogólnokrajowym.

Liczba cytowań 120, indeks Hirscha 4.

Ponadto jestem współautorem 187 doniesień zjazdowych w tym przedstawianych na zjazdach zagranicznych.

Łączna liczba punktów Impact Factor z publikacji przyznana za prace publikowane w czasopismach zagranicznych wynosi 15,156. Łączna liczba punktów punktów MNiI przyznanych za prace publikowane w piśmiennictwie polskim wynosi 908.

Tematyka prowadzonych przeze mnie prac skupia się wokół problemów związanych z zastosowaniem nowoczesnych metod diagnostyki obrazowej w ocenie patologii ośrodkowego układu nerwowego oraz w pediatrii.

Prof. dr hab. Tadeusz Kołodziej, były Ambasador

Urodziłem się w 1948 roku w Wolbromiu w rodzinie ni to robotniczej ni chłopskiej, ale na pewno ciężko pracującej. Tam też rozpocząłem edukację w Szkole Podstawowej nr 1; gdy byłem w piątej klasie moim „panem od polskiego" był, rozpoczynający swoją karierę pedagogiczną, mgr Franciszek Lisowski. Po przeniesieniu się rodziny do Olkusza, w 1962 roku rozpocząłem naukę w jedynym wówczas liceum w Olkuszu na Czarnej Górze. Czteroletni pobyt w tej Szkole był początkiem wszystkich najważniejszych wydarzeń w moim życiu. Zawdzięczam jej wszystko, co kształtuje – oprócz rodziny - nastolatka. Przede wszystkim wspaniałe otoczenie, niepowtarzalni koledzy i koleżanki, przyjaciele. Ogromny wkład w budowę tej atmosfery wnosiła znakomita kadra nauczycielska, „przedwojenna". Jej to zawdzięczam rozbudzenie lub umocnienie zainteresowań, które zdeterminowały moje dorosłe życie. Po pierwsze, uzmysłowiano nam znaczenia dobrej znajomości podstawowej wiedzy niezbędnej do funkcjonowania w społeczeństwie XX wieku. A szczególnie języków obcych; zachowałem w swej wdzięcznej pamięci prof. Felicję Zyś oraz niepowtarzalnego prof. Piotra Kołacza. Ja, zadeklarowany humanista, dzięki niepospolitym talentom dydaktycznym prof. Justyny Burakowskiej nie miałem najmniejszych problemów z chemią, lekcje sprawiały mi wręcz przyjemność; dzięki talentowi prof. Tybonia znajomość fizyki okazywała się bardzo przydatna w życiu codziennym; dzięki prof. Stanisławowi Sroce nawet matematyka nie była czarną magią. Po drugie, rozbudzenie w nas ciekawości świata i historii Polski poprzez turystykę. Zaczęło się niewinnie od pieszych wycieczek klasowych do ruin zamku w pobliskim Rabsztynie. Potem były wycieczki autobusowe szlakiem Orlich Gniazd, czy szlakiem Renesansu w Polsce Południowej a przed maturą obozy wędrowne po Karkonoszach. O ile mnie pamięć nie myli współorganizatorem tych wypraw był prof. S. Sowula. Po trzecie, zamiłowania do turystyki i poznawania świata, umiejętnie pogłębiał prof. Witold Konopacki a prof. Janina Cembrzyńska wykorzystywała je do utrwalania, wyniesionego z domu rodzinnego, zainteresowania historią najnowszą, zwłaszcza Polski. To Jej zawdzięczam uwagę, na wieść, że zamierzam studiować socjologię, „Kołodziej, Ty się nie wygłupiaj, ja Cię widzę na handlu zagranicznym". W świetle powyższego ciśnie mi się na usta uwaga, że niektórzy Absolwenci Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego, mówiąc o sobie, że studiowali „U Kazika" banalizują tę życiową przygodę. Powinni z dumą określać się – wzorem drużyny Real Madryt – jako „królewscy" bowiem naszym patronem był Król. I to nie byle jaki tylko jedyny Wielki w historii Polski!

Te wszystkie korzyści wyniesione ze Szkoły, a wręcz szlif niezbędny w dorosłym życiu, znakomicie korelowały z bujnym życiem kulturalnym Olkusza. Szkoły, Miejski Dom Kultury, PTTK, władze miasta (np. z okazji corocznych Dni Olkusza itp.) organizowały dziesiątki zgaduj zgaduli, konkursów, turniejów wiedzy itp. My „królewscy", w tym przyjaciele: Zygmunt Nowak, św. pamięci Zbigniew Kiereś, i ja, jeśli nie wygrywaliśmy to regularnie zajmowaliśmy wysokie lokaty; nazywano nas łowcami nagród. Moim największym osiągnięciem na tej płaszczyźnie było zajęcie w wieku 16 lat pierwszego miejsca w ogólnopolskim konkursie zorganizowanym przez wschodnioniemiecką Ambasadę „XV lat NRD". Finał konkursu transmitowany był przez ogólnopolski Program I Telewizji a nagrodą był dwutygodniowy wyjazd do NRD. Prorocze okazały się słowa jednej z pań z Kancelarii Liceum… „Ty Kołodziej wcześnie zaczynasz wyjeżdżać za granicę". Na marginesie, kilka lat po zawarciu związku małżeńskiego, moja Żona podczas jakichś rozmów o audycjach telewizyjnych wspomniała jak to przed laty wraz rodziną kibicowała jakiemuś chłopaczynie z prowincjonalnej szkoły, który wykosił o wiele starszych od niego uczestników z wielkich miast. Od słowa do słowa okazało sie, że kibicowała mnie.

Sprawdzianem tego czego nauczyła mnie Szkoła był egzamin wstępny na Wydział Handlu Zagranicznego SGPiS. Profesorowie od języków obcych, matematyki i historii mogli być ze mnie dumni. Okres studiów to pogłębianie i poszerzanie wiedzy, co nie było szczególnie trudne zważywszy na solidne fundamenty wyniesione z Liceum. Drugą pasją, obok bujnego życia studenckiego, było poznawanie obcych kultur i obyczajów poprzez turystykę. Zacząłem dorabiać jako pilot przyjazdowych grup francuskich i rosyjskich w akademickim biurze podróży Almatur. Było to niezwykle pomocne przy pisaniu, egzotycznej na owe czasy, pracy magisterskiej na temat komunikacji autokarowej w Europie Zachodniej.

W 1971 r. rozpocząłem pracę w ówczesnej Wyższej Szkole Ekonomicznej (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny) w Krakowie. Korzystając z możliwości jakie dawała praca na uczelni wyższej, wykorzystywałem czas wolny na dorywcze zatrudnienia w krakowskich biurach turystycznych. Tym razem było to pilotowanie grup wyjazdowych. Poznałem wszystkie „demoludy", Jugosławię, Grecję, Włochy, Austrię. Niezwykle przydatna okazała się wiedza wyniesiona z Liceum w zakresie historii i geografii.

W latach 1975/1976 przebywałem na wielomiesięcznym stypendium rządu francuskiego w Paryżu. Celem stypendium było badanie nowego zjawiska w stosunkach gospodarczych miedzy Wschodem i Zachodem, zapoczątkowanym przez proces détente, jakim była międzynarodowa kooperacja przemysłowa. W wyniku kwerend bibliotecznych a przede wszystkim licznych wywiadów i luźnych rozmów z przemysłowcami z całej Francji, zaangażowanymi w kooperację przemysłową z krajami socjalistycznymi, byłem w stanie napisać jedną z pierwszych w Polsce dysertacji doktorskich na temat roli międzynarodowej kooperacji przemysłowej w przebudowie struktury towarowej handlu zagranicznego. Ponadto poznałem rzeczywistość dnia codziennego kraju członkowskiego EWG. Co jednak było najważniejsze, rozmowy z przedsiębiorcami francuskimi uzmysłowiły mi, jaki jest ich interes w rozwoju tejże kooperacji. Zrozumiałem, że celem i następstwem czy to kooperacji przemysłowej czy zagranicznych inwestycji bezpośrednich (kooperacja przemysłowa poparta przepływem kapitału) jest przenoszenie do krajów mniej rozwiniętych produkcji lub stadiów produkcji przestarzałej, pracochłonnej, obfitującej w prace nieatrakcyjne i uciążliwe, niebezpiecznej dla zdrowia i życia, surowcowo i energochłonnej. To był pomysł na pracę habilitacyjną, nad którą rozpocząłem prace tuż po obronie doktoratu w 1976 roku. Niezwykle przydatne w pisaniu dysertacji okazały się trzeźwość spojrzenia, zdrowy rozsądek i brak balastu ideologicznego - co zawdzięczam latom olkuskim.

W październiku 1981 r. doszedł do skutku mój kontrakt z Polservicem i podjąłem pracę na stanowisku profesora w Instytucie Studiów Społecznych Uniwersytetu w Lubumbashi w Zairze (obecnie Demokratyczna Republika Konga). Do Zairu wyjechałem wraz z rodziną i kraj ten na długie lata stał się dla nas drugą ojczyzną, której wiele zawdzięczamy. Po początkowym rocznym okresie adaptacyj-

nym, który był wyjątkowo ciężki dla mnie, doczekałem się stabilizacji, niezbyt praco i czasochłonnej pracy dydaktycznej i administracyjnej (zostałem mianowany prodziekanem).

Pracę zawodową dzieliłem z pracą badawczą związaną z habilitacją. Były to wywiady i badania ankietowe w terenie, które potwierdzały tezę pracy habilitacyjnej, że kooperacja przemysłowa, a zwłaszcza zagraniczne inwestycje bezpośrednie, przemieniają Afrykę w śmietnik dla krajów wysoko rozwiniętych. Habilitację ukończyłem i obroniłem w Krakowie w 1984 r. Już sam tytuł rozprawy habilitacyjnej „Społeczno-ekonomiczne problemy rozwiniętych państw kapitalistycznych a przemiany w międzynarodowym podziale pracy" sugerował, że problemy te są rozwiązywane poprzez ich „eksport", czyli delokalizację, do krajów mniej zaawansowanych ekonomicznie; a takim były nie tylko kraje afrykańskie lecz również Polska. Problem jest aktualny do dziś, jedyna zmiana to niezbędna modyfikacja tytułu, w miejsce *rozwiniętych państw kapitalistycznych* należy wstawić *rozwinięte kraje Unii Europejskiej*. Parafrazując hasło Vladimira Iliicza, można powiedzieć, *kolonializm wiecznie żywy*.

Resztę czasu poświęcałem swojej drugiej pasji, czyli odkrywaniu nowości poprzez podróże turystyczne. Umożliwiał mi to sprowadzony z Polski fiat 125p (silnik 1300 cm3). Sprawował się nad podziw dzielnie, dzięki niemu zwiedziliśmy całą sąsiednią Zambię (dawna Rodezja Płn.), Zimbabwe (d. Rodezja Płd), Tanzanię, Malawii (d. Nyasaland); sylwestra spędziliśmy nad Oceanem Indyjskim koło Dar es Salaam. Były to jedyne kraje z którymi Zair miał kontakt drogowy dzięki drodze polnej, ale… międzynarodowej. Drogi w Tanzanii nie były lepsze.

Szczególnie utkwiły nam w pamięci Wodospady Wiktorii na rzece Zambezi, która spada z wysokości 111 metrów. Niagara w porównaniu z wodospadami Wiktorii to niewinny żart. Victoria Falls są o wiele wyższe i szersze co powoduje, że spadająca woda rozpryskuje się na miliony kropel. Uderzywszy w dno Wodospadu unoszą się do góry na wysokość nawet jednego kilometra ponad poziom przełomu rzeki (w porze mokrej), tworząc rodzaj mgły. Towarzyszy temu ogromny hałas a chmura kropli widoczna jest już z odległości kilkunastu kilometrów. W miejscowym narzeczu tubylcy nazywają wodospad Mosi oa Tunya czyli dym, który grzmi. Dech w piersiach zatykał widok ruin Great Zimbabwe, stolicy Królestwa Zimbabwe, budowanej od XI do XV w, która mogła pomieścić do 18 tys. mieszkańców. Do dziś pamiętamy zażartą walkę dwóch watah małp u stóp budowli; podejrzewam, ze walczono o miejscową piękność. Na zawsze pozostanie w naszej pamięci monumentalny pomnik przyrody z granitowych monolitów, kryjący w sobie grób Cecila Rhodesa, w Narodowym Parku Matobo ustanowionym w 1926 roku. W obszarze pasma Matobo Hills podziwialiśmy liczne malowidła naskalne liczące ok. 2000 lat. Załączone zdjęcia zasługują na dodatkową uwagę z uwagi na cud elektroniki lat 80. XX w., czyli kamerę VHS marki Mitsubishi.

Niezapomnianym był widok wierzchołka Kilimanjaro, otulony wiecznym śniegiem. Aby go zobaczyć, co uwarunkowane jest konfiguracją chmur, należało przybyć na określony punkt widokowy w godzinach między 16 a 18. No i oczywiście naturalne ZOO w kalderze martwego wulkanu Ngorongoro w północnej Tanzanii, gdzie zwierzęta żyją w stadach na wolności a przemieszczanie dozwolone jest jedynie w jeepie z odpowiednio wyszkolonym kierowcą.

Po Tanzanii podróżowaliśmy kilkakrotnie w końcówce rządów prezydenta Juliusa Nyerere, twórcy afrykańskiej wersji socjalizmu. Jego istotą była ujamaa, (w suahili – „rodzinność"), czyli małe, samowystarczalne wspólnoty wiejskie oparte na modelu tradycyjnej, afrykańskiej, poszerzonej rodziny, gdzie każdy żyje i pracuje razem dla wspólnego dobra. Ziemia miała być własnością wspólną. Razem też miano podejmować decyzje o produkcji, rozwoju wiosek i dystrybucji dochodów. Niestety, rezultat realizacji tej koncepcji był łatwy do przewidzenia. Na tle Tanzanii w 1985 r. Polska była niewiarygodną oazą wszelkiej obfitości i dobrobytu. Dla nas podstawową uciążliwością podróżowania po Tanzanii była konieczność wożenia niebieskiej plastykowej beczki w charakterze karnistra, która zajmowała pół bagażnika fiata 125p. Drugą połowę zajmowała przygotowywana od miesięcy „spiżarnia" (weki i inne przetwory) dostosowana do klimatu Afryki.

Tam gdzie nie można było dotrzeć samochodem, w miarę stabilizacji i poprawy naszej sytuacji materialnej, korzystaliśmy z samolotu. W ten sposób spędziliśmy wakacje na Mauritiusie, zwiedziliśmy stolicę Angoli.

Skorzystaliśmy z przedpotopowego promu (arka Noego to byłby niewiarygodny luksus) na rzece Zair (obecnie Kongo) by zwiedzić Brazzaville stolicę Konga francuskiego. Potwierdzała się obiegowa opinia, że najwięcej dobrego zostawili po sobie Anglicy, potem Francuzi, Belgowie a na końcu Portugalczycy. Inna powszechna refleksja to konstatacja, że poziom rozwoju krajów afrykańskich w latach 80. był wprost proporcjonalny do liczby osiadłych białych (kolonów) i odwrotnie proporcjonalny do lat niepodległości. W 1985 r., czyli 5 lat po uzyskaniu niepodległości, Zimbabwe lepiej funkcjonowało niż Polska. Niestety, Zair uzyskał niepodległość w 1960 r. a jego sytuacja finansowa, silnie uzależniona od eksportu surowców, stale pogarszała się. Przekładało się to na permanentne opóźnienia w wypłacaniu pensji, co ostatecznie spowodowało, że podjęliśmy decyzję, tak jak większość kolegów, o opuszczeniu Zairu.

Po powrocie do kraju podjąłem pracę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mój dorobek afrykański nie pasował jednak do programu Uniwersytetu, który zgodnie z tendencją początku lat 90. rozpoczął poszerzać swój program nauczania nie o Trzeci Świat a o zagadnienia Unii Europejskiej. Nie pozostawało mi nic innego jak odłożyć swój dorobek naukowy i „ogładę" afrykańską do lamusa i dostosować się do tendencji, która zapowiadała się długoterminową. Stosunkowo szybko, jako jeden z pierwszych na UJ, zdobyłem grant unijny na tzw. Cours Permanent a 3 lata później uzyskałem tak zwaną Katedrę Jean Monnet (fr Titulaire de la Chaire, ang. Chairholder). Były to granty przeznaczone na zmianę dotychczasowej specjalizacji naukowej na zagadnienia integracji europejskiej. W wyniku stałego wzrostu wykładów poświęconych UE oraz moich starań Senat UJ zatwierdził utworzenie Zakładu Integracji Europejskiej na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej, którego zostałem kierownikiem. Bardzo szybko połączonymi siłami Zakładu i Katedry Jean Monnet uruchomiliśmy studia podyplomowe „Przedsiębiorstwo i rozwój terytorialny w UE" przeznaczone dla przedsiębiorców chcących rozpocząć dostosowanie do acquis communautaire oraz dla samorządowców, nie tylko z województwa małopolskiego. Początkowo najpierw dla absolwentów, a później dla wszystkich chętnych, organizowaliśmy tak zwane Eurorejsy czyli dwutygodniowe wyjazdy autokarem do stolic Unii: Brukseli, Luksemburga, Strasburga i Frankfurtu n/Menem. W każdej odwiedzanej instytucji europejskiej uczestnicy wysłuchali godzinnego wykładu, podczas którego można było zadawać pytania i dyskutować, a następnie zwiedzaliśmy instytucję. Z tej formy kształcenia skorzystało wielu radnych i urzędników bliskiego mi miasta czyli Olkusza, w tym koledzy z Liceum. Zdobytą wiedzę i doświadczenie mogłem wykorzystać na stanowisku dyrektora Departamentu Ekonomicznego UKIE czyli Urzędu obsługującego powołany w październiku 1996 r. Komitet Integracji Europejskiej. Głównym zadaniem Departamentu było sporządzanie analiz i ekspertyz odnośnie do kosztów i korzyści przystąpienia Polski do Unii Europejskiej; później po rozpoczęciu negocjacji akcesyjnych, były to analizy impact assessment. Można więc powiedzieć, że, jako wysoki funkcjonariusz administracji centralnej, aktywnie uczestniczyłem w procesie akcesji Polski do UE i towarzyszącej temu wydarzeniu atmosferze pełnej emocji.

W roku 2000 ówczesny szef MSZ Bronisław Geremek, z uwagi na moją afrykańską „przeszłość", zaproponował mi stanowisko Ambasadora RP w Demokratycznej Republice Konga (czyli dawnym

Zairze). W programie zadań, zaakceptowanym przez Ministerstwo, za podstawowy cel misji uznałem ekonomizację polskiej polityki wobec Konga, czyli wykorzystanie - dla wzrostu wzajemnych obrotów - moich wieloletnich doświadczeń i znajomości kraju oraz kontaktów. Zamierzałem osiągnąć to poprzez tak zwaną dyplomację publiczną czyli szeroko pojęty marketing polityczny. Bardzo szybko Polska zagościła na stałe w telewizji, radiu i prasie kongijskiej; jako notre ancien professeur byłem fenomenem w korpusie dyplomatycznym. Opisuję to obszernie w rozdziale Lobbying i kontakty czyli pozycja polskiego biznesu w krajach AKP – refleksje byłego Ambasadora RP w Demokratycznej Republice Konga, [w] T. Kołodziej [red.] Pomoc Unii Europejskiej dla krajów Afryki, Karaibów i Pacyfiku. Szansa dla polskich przedsiębiorstw?

Niestety, mój pobyt na placówce nie trwał zbyt długo. Wkrótce po wygranych przez SLD wyborach zostałem odwołany z placówki przez nowego szefa MSZ „lewicowego demokratę" Włodzimierza Cimoszewicza. Do dzisiaj nie przedstawiono mi powodów odwołania. W uzasadnieniu wyroku, w procesie jaki wytoczyłem ministrowi WC, niezawisły sąd uznał, że nie jest obowiązkiem pracodawcy podanie przyczyn zwolnienia pracownika. Dopiero po latach odkryłem drugie dno w polskiej służbie zagranicznej; szefowie polskiego MSZ byli i są nominalnymi szefami, bowiem rzeczywistymi włodarzami i szafarzami wszelkich łask i niełask są służby specjalne (w skrócie SS). Dowodzi tego wiele najnowszych publikacji prasowych i książkowych, zwłaszcza tych u schyłku III RP (szczególnie polecam książkę K. Balińskiego, MSZ, polski czy antypolski). W ten sposób ponownie wróciłem do pracy naukowej. Początkowo jako profesor na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie po raz kolejny uzyskałem unijny grant na Katedrę Jean Monnet, potem Politechnice Warszawskiej. Tak jak wcześniej przedmiotem mojej pracy dydaktyczno-badawczej były nadal zagadnienia Unii Europejskiej. Największy sukces na tym polu odniosłem w jednej z prywatnych warszawskich wyższych szkół, (w której pracowałem na drugim etacie) gdzie po uzyskaniu zgody Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego na otwarcie kierunku stosunki międzynarodowe ze specjalnością europeistyka, został utworzony Wydział Stosunków Międzynarodowych. Jednym z poważniejszych moich osiągnięć, jako dziekana tego Wydziału, było uzyskanie grantu ponad 50 tys. euro na zorganizowanie Międzynarodowej Szkoły Letniej dla młodych pracowników naukowych z państw post sowieckich. Uczestniczyło w niej 50 osób z Ukrainy (od Lugańska i Doniecka, poprzez Odessę do Lwowa) oraz Białorusi i Mołdowy. Oczywiście największym wydarzeniem dla nich był Eurorejs, po którym uczestnicy diametralnie zmienili swą wizję Unii Europejskiej i NATO. Był to mój wkład w realizację „europejskiego wyboru" Ukrainy. Dzieło to kontynuuję poprzez wykłady w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego; na studiach dziennych dominują tam zdecydowanie studenci z Ukrainy. Zmiana specjalizacji naukowej i aktywność na płaszczyźnie integracji z Unią Europejską przełożyła się na przewodniczenie, przez dwie kadencje, PECSA czyli polskiej sekcji European Community Studies Association.

Reasumując, nauka w Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego zdeterminowała dorosłe życie „królewskiego" młodzieńca. Cały czas byłem blisko centrum najważniejszych spraw dla Polski: przebudowa struktury towarowej zagranicznej wymiany kraju słabiej rozwiniętego, budowa dobrego wizerunku Polski za granicą, przygotowania Polski do akcesji do Unii i jej realizacja. Niestety, po latach widzę, że w sprawie akcesji nieświadomie pozwoliłem się wykorzystać do działań, w wyniku których Polska prawdopodobnie niewiele więcej zyskała niż straciła. Piszę o tym w swej najnowszej książce „Od transformacji do akcesji. Rzecz o ciągłości PRL i III RP".

Tadeusz Kolodziej

Dr hab. Małgorzata Lisowska-Magdziarz

(matura w roku 1982)-Dyrektor Instytutu Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej UJ

Małgorzata Lisowska-Magdziarz
doktor habilitowany,medioznawca i semiotyk,
dyrektor Instytutu Dziennikarstwa,Mediów i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego

Urodziła się 12.maja 1963 roku w Olkuszu.Była uczennicą Szkoły Podstawowej nr 4 im Francesco Nullo w latach 1070-78 a następnie I Liceum Ogólnokształcącego w Olkuszu. W roku 1982 rozpoczęła studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego i z tą uczelnią związana jest do dziś.

Prowadzi badania nad rolą i oddziaływaniami mediów, a także wartościami i zachowaniami ludzi w społeczeństwie konsumpcyjnym. Zajmuje się także analizą reklamy i innych form perswazji w mediach, zwłaszcza w warstwie wizualnej. Autorka książek:"Feniksy,łabędzie,motyle. Media i kultura transformacji"(2012),"Pasażer z tylnego siedzenia. Media, reklama i wychowanie w społeczeństwie konsumpcyjnym"(Warszawa 2010),"Media powszednie. Środki komunikowania masowego i szerokie paradygmaty medialne w w życiu codziennym Polaków u progu XXI wieku" (Kraków 2008), "Analiza tekstu w dyskursie medialnym"(Kraków 2006), „Analiza zawartości mediów"(Kraków 2004),"Bunt na sprzedaż. Przemysł muzyczny-reklama-semiotyka" (Kraków2000) oraz około kilkudziesięciu artykułów naukowych poświęconych analizie przekazów medialnych, oddziaływaniu mediów na ludzi, przemianom w polskim społeczeństwie wywołanym wpływem mediów i kultury konsumpcyjnej.

Najnowsze zainteresowania badawcze obejmują procesy medialnej konwergencji oraz kulturę partycypacji - w szczególności fandomy i procesy oddolnego tworzenia treści mediów.

Zajmuje się także analizą wpływu popkultury i wartości konsumpcyjnych na dzieci oraz edukacją medialną - kształtowaniem społecznych kompetencji do rozumienia i krytycznego odbioru mediów.

Współzałożycielka i członkini Zarządu Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej - pierwszego polskiego stowarzyszenia naukowego zajmującego się mediami i komunikacją społeczną.

Matka jednego syna i trzech kotów.

Wielbicielka Szekspira, neoseriali i pamiętników polskich pisarzy. W wolnym czasie jeździ na nartach, podróżuje i wykłada na Uniwersytecie Dzieci. Mieszka w Krakowie.

Dr Ilona Lisowska- Miszczyk

Dr medycyny Ilona Lisowska- Miszczyk-specjalista anestezjologii i intensywnej terapii, lekarz w Klinice Neonatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.

Olkusz, czerwiec 2016

Dr Andrzej Suss

Szanowny Panie Profesorze,

Raz jeszcze dziękuję za bardzo mile spotkanie w Olkuszu oraz prezenty, które sprawiły mi wiele radości. Mogę sobie tylko wyobrazić ogrom trudu i pracy jakich wymaga działalność Stowarzyszenia i publikacje Zeszytów. Gratuluję Państwu sukcesu, bowiem dawanie świadectwa prawdzie jest zawsze wielkim sukcesem. Załączam moja notkę biograficzna i proszę o krytykę - w rodzinnym języku nie pisze od paru ładnych dekad i podejrzewam iż może być on trochę „zardzewiały."

Przesyłam moc pozdrowień dla Pana i Żony!

Andrzej M. Suss

Olkuszanin piątego pokolenia, absolwent (1973) Liceum Króla Kazimierza Wielkiego, jest specjalista od zarządzania i administracji. Studiował prawo i filozofie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Naukę kontynuował na studiach doktoranckich (nauki polityczne) w Nowym Jorku. W latach 80-tych był współzałożycielem organizacji, Polish Independent Students Association, zajmującej sie pomocą dla polskich studentów przebywajacych w USA po stanie wojennym. Działalność tej organizacji koncentrowała się na zbieraniu funduszy, wywierania wpływu na polityków amerykańskich, oraz udzielania informacji na temat sytuacji w Polsce. Freedom House, bardzo znana instytucja praw człowieka w Stanach zaoferowała biuro, pomoc prawną i administracyjną, a co najważniejsze była źródłem rady i interpretacji Amerykańskiej sceny politycznej. Bardzo życzliwa i pomocna była fundacja Smith Richardson. The Lehrman Institute zorganizował dla polskich studentów cykl świetnych, prywatnych wykładów prowadzonych przez znakomitych naukowców: Gertrude Himmelfard – wybitny historyk idei; Michael Nowak – znany filozof i pisarz; William Kristol – wtedy młody doktorant z Harvard'u, a dziś redaktor naczelny wpływowego tygodnika politycznego. Mark Lilla, naukowiec o międzynarodowej renomie, którego prace odbiły się szerokim echem po obu stronach Atlantyku. Był to okres wielkiego zainteresowania społeczeństwa Stanów Zjednoczonych wydarzeniami w Polsce i z tego powodu Andrzej uczestniczył w wielu spotkaniach z amerykańskimi politykami, naukowcami, i studentami zainteresowanymi sytuacja w Polsce. Przemawiał w ONZ na sesji poświeconej problematyce praw człowieka oraz w US Departamentach Stanu i Edukacji. W latach 80-tych brał udział w ponad 50-ciu programach Głosu Ameryki oraz Radia Wolna Europa. Reasumując te lata Andrzej mówi: *"Był to czas wielkich wydarzeń - początek końca Sowieckiego komunizmu, do którego Solidarność tak bardzo sie przyczyniła. Reagan, Thatcher i Jan Paweł II – idee i działania tej Wielkiej Trojki - były i są piękną lekcja ilustrującą najlepsze karty w historii XX wieku. W okresie tym zrozumiałem sedno otwartego, demokratycznego społeczeństwa. Nauczyłem się i poznałem zasady oraz mechanikę funkcjonowania amerykańskiego system politycznego. Poznałem wiele bardzo interesujących postaci życia społecznego i politycznego Zachodu – głów państw, senatorów, kongresmenów, oraz całą rzeszę intelektualistów zaangażowanych w walkę o lepsze jutro. W tym tez okresie podjąłem decyzje - intelektualnie trudna, a emocjonalnie bolesna - o porzuceniu kariery uniwersyteckiej. Już wtedy nauki humanistyczne były domeną Marksizmu z jego różnorakimi mutacjami, które skutecznie i bez jakichkolwiek skrupułów intelektualnych czy moralnych, przekształcały edukacje w indoktrynacje. Oczywiście nie wyobrażałem sobie iż dwadzieścia lat później będzie to świat opanowany przez kult politycznej poprawności, gdzie racjonalna postawa intelektualna, logika i fakty niewiele są warte. Dziś postulaty o porzuceniu dorobku intelektualnego Cywilizacji Zachodniej – stworzonej przez "zmarłych, białych mężczyzn" nie tylko nie budzą protestów ale są wdrażane w życie! Ten trudny i bolesny wtedy krok okazał się być bardzo dobrą decyzją."*

W latach 80-tych i 90-ty Andrzej pracował na stanowisku Dyrektora Administracji w International Creative Management (ICM), największej na świecie agencji reprezentującej ponad 3,000 wybitnych postaci filmu, teatru, literatury, muzyki i polityki. Tam nauczył sie administracji i zarządzania, dobrze

poznał Hollywood, przemysł wydawniczy i muzyczny. Później pełnił funkcje Chief Administrative Officer w Circline Inc. - firmie zajmującej sie internetowym handlem dziełami sztuki i antykami. W 2000 roku Forbes Magazine przyznał Circline nagrodę "Best of The Web." W 2003 roku przeszedł na stanowisko Chief Operating Officer do Talent Partners, korporacji prowadzącej usługi i oferującej technologie dla firm zajmujących sie produkcja reklam. Podczas jego kadencji firma odniosła najlepsze rezultaty w swej blisko 50-cio letniej historii, a pewne jej aspekty były przedmiotem "case study" w Harvard Business School. Miedzy 2010-14 pracował jako Chief Operating Officer w firmie Natio Telecast Systems, której był współzałożycielem. Podsumowując trzydzieści lat pracy zawodowej Andrzej twierdzi: *"miałem przyjemność, w zdecydowanej większości przypadków, pracować z ludźmi bardzo zdolnymi, głęboko zaangażowanymi intelektualnie i emocjonalnie w sukces danej firmy. Co najważniejsze, były to z reguły, postacie prezentujące nienaganna postawę moralna. Praca z ludźmi tego typu, to przyjemność i prawdziwy przywilej. Do najciekawszych, fascynujących elementów moich obowiązków, zaliczam prace nad konstrukcja planów strategicznych i budowę nowych linii usług czy produktów. Do najbardziej męczących aspektów pracy, ze strony fizycznej, zaliczam - mimo luksusowych warunków - podróże służbowe, których czasem odbywałem 15-18 rocznie. Ze strony emocjonalnej, ciemnymi dniami były redukcje liczby pracowników z powodów od nich zupełnie niezależnych. Najtrudniejszym aspektem i kluczowym elementem mojej pracy było podejmowanie decyzji, których często konsekwencją mogły być nie tylko starty finansowe, ale co dużo gorsze, to eliminacja stanowisk pracy. Największym źródłem osobistej satysfakcji była możliwość udzielenia pomocy pracownikom. Pomocy w zdobywaniu nowych umiejętności, w umożliwianiu im pozyskiwania nowych doświadczeń – słowem, pomocy w rozwoju ich kariery."*

Od początku pobytu w Stanach, Andrzej mieszkał w Nowym Jorku – najpierw w East i West Village, w Jackson Heights, a przez ostatnie lata, na wschodniej stronie Manhattan'u, w Peter Cooper Village. Od polowy lat 90-tych, mieszka z zona Amanda i synem Alexandrem w malowniczej miejscowości Croton-on-Hudson, New York. Amanda cala karierę zawodowa spędziła na Wall Street (Oppenheimer, Smith Barney, Citi Group) i jest obecnie skarbnikiem w firmie inwestycyjnej. Syn Alexander studiuje ekonomie i filozofie na wysoko notowanym Bucknell University w Pennsylwanii. Rodzinna tradycja są coroczne podróże. Zimowe wakacje to z reguły wyspy Karaibskie gdzie do ulubionych miejsc należą Bermudy, Anguila, oraz Turks and Caicos. Wakacje letnie to Europa, gdzie pierwsza polowa czasu to pobyt w Polsce (od 1989 30 razy, a z rodzina 15). Druga polowa wakacji letnich to wyprawy do ciekawych miejsc w Europie Zachodniej. Do ulubionych i odwiedzanych wielokrotnie należą Londyn, Wenecja, Paryż, Florencja, Bawaria, i Szkocja. W domu, od lat wielu, czas wolny pochłaniają spotkania towarzyskie, często "organizowane tematycznie" gdzie rozmowa toczy sie nad uzgodniona z góry teza, problemem czy wydarzeniem. Książka - wedle rady Sokratesa - *"wykorzystuj swój czas na ulepszanie samego siebie czytając pisma innych, w ten sposób łatwo zdobędziesz to na co inni ciężko pracowali"* - była i jest w rodzinnym życiu bardzo obecna. W domowej bibliotece jest juz ponad 2,000 tomów. Wśród nich jest parę pereł: Encyclopedia Britannica (słynna edycja z 1913 roku), Fredrick von Hayek - Collected Works, wszystkie książki Popper'a, i ponad 50 tomów Biblioteki Klasyków Filozofii. Tenis i niekończąca sie praca w domowym, dwu hektarowym parku są stałymi elementami łączenia rzeczy pożytecznych z przyjemnymi.

Wspominając olkuskie Liceum Andrzej twierdzi: *"Bardzo miło wspominam wielu przyjaciół i kolegów . Cieszy mnie fakt, iż kilka przyjaźni przetrwało tak bezwzględne elementy jak czas i przestrzeń. Liceum dało mi solidną fundację i dobre przygotowanie do kontynuowania nauki tak w Krakowie jak i w Nowym Jorku. Za to jestem bardzo wdzięczny profesorom Liceum. Często mowię, półżartem, iż do Nowego Jorku przyjechałem ze sporym kapitałem… kapitałem intelektualnym. A to w dużej mierze dzięki Liceum."*

Prof. dr hab. Jan Tarasin.

Jan Tarasin
Urodził się 11 września 1926 roku w Kaliszu. W 1846 roku ukończył Liceum Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu.
Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (2946-51) w pracowniach malarstwa prof. Zygmunta Radnickiego, Zbigniewa Pronaszki i Wacława Taranczewskiego oraz grafiki prof. Andrzeja Jurkiewicza i Konrada Strzednickiego.
W roku 1962 przebywał na stypendium w Chinach i Wietnamie. W latach 1963-67 był pedagogiem na Wydziale Wnętrz tej uczelni.
W 1967 roku przeniósł się do Warszawy. Pracę pedagogiczną podjął ponownie w 1974 roku, obejmując pracownię malarstwa w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych.
W 1985\ roku mianowany został profesorem nadzwyczajnym. W roku 1987 objął stanowisko rektora warszawskiej ASP, które sprawował do 1990 roku.
Członek „Grupy Krakowskiej" (od 1962r.). W latach 1974-1982 wydawał autorskie „Zeszyty" z serigrafikami i tekstami. Uprawia malarstwo, grafikę warsztatową (litografia, serigrafia) i użytkową (plakat) oraz refleksję teoretyczną o sztuce .Otrzymał liczne nagroc w tym m.in. za cykl litografii „Dom" na Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Polski w Arsenale (Warszawa, 1955 r.), I Nagrodę na I Biennale Grafiki (Kraków, 1960 r.), nagrodę „Yomiuri" na Międzynarodowej Wystawie Młodych Plastyków (Tokio, 1964 r.). Nagrodę Krytyki Cypriana Norwida – za najlepszą wystawę indywidualną w Warszawie (1976 r.) i Nagrodę Jana Cybisa za rok 1984 (Warszawa 1985 r.).
Jego prace znajdują się w licznych zbiorach muzealnych – w kraju i poza jego granicami. W 2005 r. został odznaczony przez ministra Kultury Waldemara Dąbrowskiego Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis. W 2013 r. imię Jana Tarasina nadano Biurze Wystaw Artystycznych w Kaliszu.
Zmarł 8 VIII 2009 r. w Warszawie. Pochowany na Cmentarzu Komunalnym (dawny Wojskowy) na Powązkach.

Zdjęcie wykonano 11 X 2002 r. podczas wystawy w Dworku Machnickich w Olkuszu.

Archiwum Mieczysława Karwińskiego.

Ex Libris
Mieczysława
Karwińskiego
Olkusz

Do druku przekazał Leszek Kluczewski.

Dr n. med. Aleksandra Januszek - Trzciąkowska

Urodziła się 27.06.1963, w Olkuszu.

Absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu (1982r.)
– Klasa o profilu matematyczno-fizycznym
Absolwentka Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach (1982-1988)

Miejsce pracy:
Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach
Klinika Pediatrii i Endokrynologii Dziecięcej

Doktor nauk medycznych, 1988
Specjalista pediatrii, endokrynologii, oraz endokrynologii i diabetologii dziecięcej

VI. Moje drogi, zdroża, wojaże i … bezdroża. Z Kosmolowa na Grenlandię i Przylądek Horn

Antoni Bigaj

Do tytułu wspomnień mojego brata, Bogdana, dodałem jeszcze „bezdroża". W swoich wspomnieniach skupię się na książkach, wodzie i ….. Dlaczego bezdroża i co znaczą te trzy kropki - napiszę na końcu.

A teraz od początku…

Od kiedy moja pamięć zarejestrowała fragmenty dzieciństwa, zawsze towarzyszyły mi książki. Wydaje mi się, że czytać umiałem zawsze. Kiedy starsze rodzeństwo siadało dookoła stołu z lampą naftową pośrodku, „z przodu", naprzeciw lusterka siadał ten, kto miał zadanie pisemne. Tam było po prostu najjaśniej. Reszta mogła czytać w słabszym już świetle. Ja też siadałem gdzieś ze swoją książką.

Kiedyś tłumaczyłem mojej 6-letniej wnuczce, że uczyłem się czytać przy lampie naftowej, bo w naszym domu nie było wtedy światła elektrycznego. Ta zapytała poważnie: „- dziadku, to jak ładowałeś swoją komórkę?". Ona nie wyobrażała już sobie świata bez telewizora, komputera czy telefonu komórkowego.

Pierwszą poważną książką, jaką pamiętam, była „Z przygód krasnala Hałabały" Lucyny Krzemienieckiej. Chodziłem z tą książką do sąsiadów i czytałem im głośno jej fragmenty. Miałem tylko kłopot z jedną sąsiadką, która miała na imię Józefa. W książce był fragment dyskusji (cytuję z pamięci): „… - a na co te kluski? –Na wesele Józki". Gospodyni była wdową i bałem się, że pogniewa się na mnie za taką frywolność, więc podczas czytania… pominąłem ten fragment.

Jako pierwszoklasista zapisałem się do szkolnej biblioteki i pierwszą wypożyczoną książką była wierszowanka „Na jagody" Marii Konowpnickiej. Jakież było zdziwienie nauczycielki, kiedy po niespełna godzinie przyniosłem jej książkę z powrotem i chciałem wypożyczyć drugą. Pani przepytała mnie szczegółowo z jej treści i dopiero wtedy uwierzyła, że naprawdę ją przeczytałem ze zrozumieniem.

W naszej klasie mieliśmy fajną grupę, do której należeli m.in. Krysia Świda (obecnie Piaśnik), Romek Kocjan, Romek Piaśnik (obecnie burmistrz Olkusza), Andrzej Skalski i kilka innych osób. Byliśmy żądni nauki i naprawdę wspieraliśmy się nawzajem w poznawaniu wiedzy przekazywanej przez nauczycieli.

Biblioteka w naszej wiejskiej szkole była bardzo skromna. Nie starczało lektur dla wszystkich. Wymyśliliśmy więc w naszej grupie, że będziemy czytać lektury głośno. W naszych domach było mało miejsca, zatem na czytanie wybraliśmy … stodołę. Wszyscy wygodnie rozsiedli się na snopkach słomy, a ci z najlepszą dykcją czytali fragmenty lektury. Często omawialiśmy też trudniejsze fragmenty.

Jak już Bogdan pisał, do obowiązków nas, dzieci, należało m.in. pasanie bydła i gęsi. Wykorzystywałem ten czas na czytanie książek. Jakżeż niesamowite było wyobrażanie sobie tego innego, nieznanego świata. Kiedy po latach mogłem zobaczyć te cuda, wyobrażenia z dzieciństwa stawały mi przed oczami.

W czasie studiów odbywałem praktykę robotniczą na dole w kopalni. Kiedy chodziłem po ciemnych zakamarkach chodników, upadowych i przodków, przypominały mi się opisy z „Łyska z pokładu Idy" Gustawa Morcinka.

Bardzo przeżywałem wyjazd moich starszych braci do Kielc. Rodzice zabrali mnie wcześniej do Kielc na obłóczyny Janka, czyli na założenie przez niego po raz pierwszy sutanny. Z tego wyjazdu pamiętam tylko ogrom wszystkiego: dworca kolejowego, kościoła, tłumu. Braciom zazdrościłem tych widoków. Oni będą mogli patrzeć na to codziennie! Ale najbardziej przerażała mnie konieczność przejęcia ich domowych obowiązków. Nie mogłem już powiedzieć „niech Bogdan albo Staszek idą do gęsi".

Na szczęście, naszą „gadzinę" mieliśmy dobrze wychowaną. Najstarsza była krowa, zwana przez nas „Grześka". Kiedy Grześka ocieliła się, rodzice postanowili zachować cielaka – jałówkę i dokupić jeszcze jagnię. Jagnięciu spodobało się ssanie krowy przez cielaka i samo stanęło z drugiej strony. Krowa zaakceptowała tę pasierbicę, a jagnię, a potem dorosła owca, uznało ją za swoją matkę. Po kilku latach stado rozrosło się, ale zawsze jego przywódcą była ta najstarsza owca. Kiedy pasaliśmy w lesie krowy i owce, wystarczyło pilnować tylko krowy „Grześki", a reszta stada na pewno była w pobliżu. A gęsi zawsze trzymały się w pobliżu człowieka. Najzabawniejszy był powrót do domu. Pierwsza szła krowa „Grześka". Za nią 2 lub 3 krowy – jej przychówek. Potem na czele stada owiec ta najstarsza, a na końcu stado gęsi idące, oczywiście, gęsiego. Ten kilkudziesięciometrowy „pochód" zamykał kilkuletni dzieciak z gałązką („chabiną") zamiast bata.

A teraz o wodzie. Bogdan pisał, że w Kosmolowie był stały brak wody. Najpłytsza studnia miała ponad 30 metrów głębokości. A dla nas, dzieciaków, frajdą była „kąpiel" w gliniance na „wodońcach", jaka tworzyła się po ulewnym deszczu. Chlapaliśmy wtedy niemiłosiernie, chociaż wody było co najwyżej do kolan. Zapora zbudowana na strumieniu „na rzykach", dawała szansę przepłynięcia kilku metrów w wodzie do pasa, ale o nauce pływania nie mogło być mowy.

Grozą napawała nas rzeka „Baba" płynąca wtedy przez Olkusz. Kiedy wracaliśmy pieszo (7 km!) z kościoła z Olkusza, wykorzystywaliśmy drewno z podolkuskiego tartaku (był taki obok OFNE) i budowaliśmy tratwy. Starsi koledzy próbowali na nich pływać, ale ja, jako najmłodszy, zostawałem na brzegu. Wtedy Baba i jej rozlewiska, to była Wielka Rzeka. W pamięci mam też jakiś film dla dorosłych wyświetlany w szkole przez kino objazdowe. Nic z niego nie zrozumiałem, ale były tam olbrzymie fale morskie, jakaś uszkodzona zapora, sztorm i bohaterstwo ludzi. Bardzo się wtedy bałem.

W naszej rodzinie był zwyczaj pomagania młodszym przez starsze rodzeństwo. Chodziło, oczywiście, o ulżenie rodzicom. Bogdan pisał, że Magdalena zabrała do siebie, do Tarnowa, Mariannę. Potem Marianna zabrała do Krakowa Wandę. Ja pomagałem Wandzi po wyjeździe Marianny do Australii. Kiedy skończyłem szkołę podstawową, Jan skończył studia w Poznaniu i dostał pracę jako profesor języków obcych w Liceum Ogólnokształcącym w Ustrzykach Dolnych. Zaproponował rodzicom, że zabierze mnie ze sobą, na co oni przystali z ochotą. Co prawda miałem już zdany egzamin do Techniku Elektrycznego w Krakowie, ale dla mnie wtedy było obojętne, gdzie dalej będę się uczył. Za mało znałem świat inny, niż kosmolowskie pola, żeby móc wybierać miejsce mojej dalszej nauki.

I tak w pewien deszczowy wrześniowy poranek 1963r. znalazłem się w Ustrzykach Dolnych. Była to moja pierwsza tak daleka wyprawa i dlatego pojechał ze mną brat Bogdan. Na krótko zamieszkałem z bratem Jankiem. Potem przeniosłem się do internatu. W tamtych czasach w internacie były piętrowe łóżka, nie było bieżącej wody, no i tzw. suchy wychodek. W zimie paliliśmy w kaflowych piecach. Raz w tygodniu chodziliśmy całą grupą do miejskiej łaźni. Kiedy wybudowano salę sportową z zapleczem, mogliśmy zażywać kąpieli nawet codziennie.

Bieszczady zauroczyły mnie od samego początku. Brałem udział we wszystkich rajdach. Były to czasy budowy zapory w Solinie, więc przez San w Polańczyku przechodziliśmy po zwalonej sośnie. Dzisiaj na tym miejscu jest piękna przystań żeglarska. Po drodze napotykaliśmy zgliszcza całych wsi i tylko kikuty kominów i sady owocowe wskazywały, że jeszcze niedawno mieszkali tu ludzie.

Do domu (ponad 300 km) jeździłem tylko na święta. Ale nie nudziłem się w niedziele. Ojciec jednego kolegi, Andrzeja Smolińskiego, był kierownikiem szkoły w Myczkowcach, a drugiego, Staszka Czopora, - leśniczym w Arłamowie. Często wyjeżdżałem do nich na niedzielę i wtedy zwiedzaliśmy okoliczne bezdroża. Jeszcze teraz, kiedy wyjeżdżam zza zakrętu w Ustjanowej, łza kręci mi się w oku. Przecież tu spędziłem te najważniejsze dla młodego mężczyzny lata. Tu przeżyłem pierwsze zauroczenia dziewczętami, pierwsze kradzione pocałunki.

W Liceum przeważały dziewczęta i jedna klasa była żeńska, a druga – koedukacyjna. Jej wychowawcą został mój brat. Muszę przyznać, że był to dla mnie trudny okres. Koledzy oskarżali mnie o donosicielstwo do brata. Żeby im udowodnić, że to nieprawda, musiałem brać z nimi udział w „występkach". Zaczęło się od wagarów i papierosów. Do tego każda niesubordynacja kończyła się poskarżeniem przez profesorów do wychowawcy, czyli mojego brata. To, co uchodziło innym płazem,

w moim przypadku kończyło się, w najlepszym przypadku, trudną rozmową. Całe grono pedagogiczne uważało, ze brat profesora musi świecić przykładem.

Z wodą w Ustrzykach było podobnie, jak w Kosmolowie. Przepływający przez miasto Strwiąż (jedyna w Polsce rzeka należąca do zlewni Morza Czarnego!) latem można było bez problemu przeskoczyć. Na przedmieściach zbudowano małą zaporę i latem można tam było trochę popływać. Tyle tylko, że nawet w upalne dni woda w basenie była lodowata.

Były to czasy, kiedy telewizor był rzadkością. Jeden z nielicznych w Ustrzykach egzemplarzy znajdował się w miejskiej bibliotece. Czekając na program zaglądałem na półki biblioteczne i wybierałem ciekawsze pozycje do przeczytania w internacie. Tak trafiłem na trylogię Janusza Meissnera „Opowieść o korsarzu Janie Martenie (Czarna bandera, Czerwone krzyże, Zielona brama)". Morza, oczywiście, jeszcze wtedy nie widziałem, ale książki tak mnie zafascynowały, że przejrzałem cały księgozbiór, książka po książce, i przeczytałem wszystko, co dotyczyło morza. I tak zaczęła się moja, na razie teoretyczna, przygoda z morzem.

Trzy lata spędzone w Ustrzykach minęły błyskawicznie i do maturalnej klasy przeniosłem się do rodzinnego Olkusza. Kiedy już decyzja była podjęta, dowiedziałem się o scysji, jaką miała moja młodsza siostra, Wanda, z Państwem Prof. S (pisał o tym Bogdan). Na pierwszej lekcji okazało się, że wychowawczynią i zarazem nauczycielką chemii jest Pani Prof. S. Przy wyjaśnianiu, że mamy nowego ucznia, Pani Profesor skojarzyła nazwisko Bigaj. Kiedy potwierdziłem, że Wanda, to moja siostra, Pani Profesor opowiedziała całej klasie swoją wersję tego incydentu. Widziałem przerażenie i współczucie dla mnie na twarzach koleżanek i kolegów. Muszę jednak przyznać, że Pani Profesor nigdy więcej do tego zdarzenia nie wróciła i traktowała mnie normalnie, jak innych uczniów.

W czasie przerwy koledzy przyznali, że mam szczęście, bo matematyki będzie nas uczył Pan Prof. Januszek, a nie Pan Prof. S. Należę do ścisłych umysłów i matematyka do dzisiaj jest moim ulubionym przedmiotem. Szybko zyskałem uznanie Pana Profesora Januszka i całej klasy. W czasie przerw i w internacie, a nawet na maturze, służyłem pomocą potrzebującym koleżankom i kolegom. Pamiętam zdarzenie, kiedy Pan Profesor Januszek został poproszony do dyrektora podczas lekcji, gdy wprowadzał nowy temat z funkcji trygonometrycznych. Znałem ten temat z wcześniejszych zawodów matematycznych i trochę się nudziłem. Profesor bezradnie popatrzył na naszą klasę, potem na mnie i zapytał: -„znasz to?". Kiedy potwierdziłem, powiedział: -„to prowadź dalej lekcję" i wyszedł. Zaskoczony i zestresowany doprowadziłem dowód do końca. Koledzy stwierdzili, że tłumaczyłem podobnie zawile, jak Pan Profesor, ale zaakceptowali mój wykład.

Klasa bardzo szybko mnie zaakceptowała, szczególnie po incydencie z wychowawczynią. Tutaj nie było potrzeby chodzenia na wagary. Papierosy, niestety, pozostały.

Początkowo dojeżdżałem z Kosmolowa 7 km autobusem PKS. Ale w tamtych czasach także autobusów było za mało. O miesięcznym bilecie można było tylko pomarzyć. Nowy można było kupić tylko wtedy, gdy ktoś inny z niego zrezygnował. A i tak pierwszeństwo mieli ci z dalszych wiosek. Kosmolów, według władz PKS-u, był za blisko i szkoda było rezerwować miejsca na tak krótkiej trasie.

Dość szybko rodzice uznali, ze moje przygotowanie do matury i do egzaminu na studia będzie trudne w wiejskich warunkach i ojciec załatwił mi z Panem Prof. Konopackim miejsce w internacie.

Profesor Konopacki pamiętał jeszcze mojego starszego brata Bogdana i dość szybko stałem się jego ulubieńcem. A ponieważ miałem same piątki z jego ukochanej astronomii, uchodziły mi nawet drobne internatowe przewinienia. Kiedyś z kolegą zapaliliśmy papierosy w pokoju. Nagle usłyszeliśmy charakterystyczne kroki Pana Profesora. Kiedy otworzył drzwi, papierosy były już zgaszone, ale dym unosił się pod sufitem. Profesor popatrzył na nas dwóch i zapytał kolegę: „Panie Bojarski, Pan Palisz?" Usłyszawszy potwierdzenie, pokiwał tylko głową z dezaprobatą i wyszedł. W swojej dobroci nie pomyślał nawet, że Bigaj też może palić papierosy.

W Olkuskim internacie też były piece kaflowe, ale była już bieżąca woda. Żeby się wykąpać trzeba było rozpalić specjalny piec w łazience i po nagrzaniu wody wziąć wannę. Noszenie węgla z piwnicy należało do dyżurnych. W piecach musiał także u siebie palić Profesor Konopacki. Sam nie miał sił, żeby wnosić wiadra z węglem do mieszkanka na poddaszu i zlecał to któremuś z ulubionych wycho-

wanków. Szybko doznałem tego zaszczytu i wcale sobie nie krzywdowałem. Pan Profesor był sumienny i za każde wyniesione na 3 piętro wiaderko dostawałem pieniądze. Przy moich skromnych kieszonkowych, jakie dostawałem z domu, był to bardzo ważny zastrzyk finansowy. Dodatkowo Pan Profesor prosił mnie o pomoc przy przepychaniu kanalizacji. W internacie mieszkały też dziewczęta i ich włosy były nie lada problemem dla tych starych, skorodowanych rur. Większość napraw w internacie robiliśmy sami z pomocą naszego Profesora. Fachowcy byli po prostu za drodzy.

Niedaleko internatu mieszkał nasz kolega z klasy, Jurek Dubaj. Jego rodzice mieli telewizor i bardzo często korzystaliśmy z wspomnianym kolegą, Andrzejem Bojarskim, z ich gościny. Wspólnie też powtarzaliśmy materiał do matury.

Czas do matury przeleciał jak z bicza strzelił. Miałem co prawda lekkie problemy z j. polskim, ale, jako ścisłemu umysłowi, zostało mi to wybaczone. Aby w spokoju przygotować się do egzaminu, poszedłem z książką i kocem na pobliską łączkę. Tam, oczywiście, zasnąłem. Wiosenne słońce spaliło mi skórę na plecach, ale, na szczęście, obeszło się bez udaru słonecznego. W internacie koledzy bili potem rekordy w długości pasa skóry ściąganego z moich pleców.

Jeszcze tylko trochę powtórek i egzamin na Wydział Elektrotechniki AGH. Zdecydowaliśmy się na ten wydział z kolegą z kosmolowskiej klasy, Romkiem Kocjanem. Wielka radość z przyjęcia, bo było kilku kandydatów na jedno miejsce. 5,5 roku studiów przebiegło dość szybko. Byłem dość dobrym studentem i całość studiów, wraz z pracą dyplomową, ukończyłem z wynikiem dobrym.

Wydarzenia marcowe przeżyliśmy na dole w kopalni Komuna Paryska w Jaworznie będąc na semestralnej praktyce robotniczej. Mieszkałem w Domu Górnika razem z Tadkiem Bieleckim i Jankiem Dudą (teraz profesorem zw. na AGH, ojcem obecnego Prezydenta). Byliśmy całkowicie odcięci od informacji, a na opiekuna dostaliśmy w tym czasie sekretarza POP PZPR (Podstawowa Organizacja Partyjna). Będąc jeden raz w tym czasie w Krakowie zostałem skontrolowany w akademiku koleżanki i tylko dzięki wyrozumiałości obecnego tam SB-ka mogłem wrócić do Jaworzna. Uniknąłem w ten sposób 2-letniego pobytu w wojsku.

Jednym z pozytywów pobytu w Jaworznie jest moja żona. Poderwałem ją w trakcie jednego z powrotów z Krakowa i jesteśmy razem blisko 50 lat. Jeszcze w czasach narzeczeństwa bawiliśmy się z Różą do białego rana na wiejskim kosmolowskim weselu moich rówieśników, Krysi Świdy i Romka Piaśnika.

W czasie studiów tak wiele się działo (marzec 1968r., grudzień 1970r, połączenie Zrzeszenia Studentów Polskich ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej i utworzenie Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich), że zamieniłem książki na poważną prasę. Znajoma kioskarka stale odkładała mi m.in. Kulturę, Życie Literackie, Politykę, Studenta, ITD i Politechnika.

Utrzymywałem się wtedy sam. Miałem stypendium, które wystarczało na opłacenie akademika i wyżywienia. Jeszcze parę złotych zostawało. Działałem też społecznie wykorzystując niektóre związane z tym przywileje. Praca w komisjach stołówkowych pozwalała na obniżenie kosztów wyżywienia, a rozprowadzanie biletów teatralnych na uczelni – darmowe wejściówki do wszystkich teatrów. Dorywcza praca zarobkowa w Studenckiej Spółdzielni „Żaczek" pozwalała na dopinanie budżetu. Na 4. roku, będąc już żonatym, podpisałem umowę o stypendium fundowanym z ZNTK (Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego) Bydgoszcz. Moja sytuacja finansowa znacznie się wtedy poprawiła, bo było ono dużo wyższe od stypendium socjalnego.

A jeśli chodzi o wodę, to przez jeden semestr chodziliśmy, w ramach WF, na basen Wisły. Tam instruktorzy próbowali nauczyć nas pływania na plecach. Czy nie byli oni specjalnymi pedagogami, czy też my byliśmy lichymi uczniami, niewielu nauczyło się w tym czasie pływać. AZS (Akademicki Związek Sportowy) organizował corocznie kursy żeglarskie na pobliskim zalewie Bonarka. Interesowało mnie żeglarstwo, ale, niestety, karta pływacka była tu bezwzględnie wymagana. Któregoś lata pojechaliśmy z żoną na tygodniowy wypoczynek do Gdyni. Pierwszy raz zobaczyłem morze. Popłynęliśmy nawet na Hel. Nie wywarło to jednak na mnie jakiegoś specjalnego znaczenia. Jedynie Zielona Brama i Żuraw w Gdańsku potwierdziły moje ustrzyckie wyobrażenia podczas lektury Janusza Meisnera.

Aż wreszcie Bydgoszcz. Pierwsza praca, mieszkanie w ciągu niespełna roku, syn potem córka.

W pracy szybkie awanse. Po roku kierowałem zespołem kilkunastu inżynierów, a po 2 latach – 130-osobowym oddziałem utrzymania ruchu. Sama radość.

ZNTK w tym czasie huczało, bo z wyprawy dookoła przylądka Horn wrócił jacht EUROS. Wyprawą dowodził mój przełożony, ówczesny dyrektor techniczny ZNTK, kpt. Aleksander Kaszowski. Drugi uczestnik wyprawy – bosman Henryk Lewandowski – został brygadzistą w moim oddziale. Miałem więc informacje „z pierwszej ręki". Wtedy odżyły moje wyobrażenia o żaglowcach i wielkich rejsach.

Już po 2 latach kpt. Kaszowski zabrał mnie na pierwszy rejs. Pierwsza noc na pełnym morzu, pierwszy sztorm, to były niesamowite przeżycia. To, że nie umiem pływać nie było przeszkodą. Kolega wystawił mi kartę pływacką, żebym formalnie miał ten wymagany papier. Kpt. Kaszowski skwitował to stwierdzeniem: „… jedna ręka dla jachtu, druga dla Ciebie. Jak w sztormie wypadniesz, to, oczywiście, będziemy Cię szukać, ale szanse na znalezienie są praktycznie żadne. Pilnuj się więc sam…" I tak pilnuję się przez ponad 40 lat pływając w różnych warunkach po różnych morzach i oceanach.

W tym czasie pochłaniałem książki, szczególnie podróżnicze i marynistyczne. Zgromadziłem i przeczytałem prawie całe serie „Naokoło Świata" i „Sławni Żeglarze". A że wiedziałem już, co to jest żeglarstwo i jak wyglądają wielkie żaglowce, czytając przeżywałem wszystkie zdarzenia razem z autorami.

Włączyłem się też do działalności klubowej obejmując najpierw funkcję bosmana, a od ponad 20 lat jestem Komandorem Sekcji Żeglarstwa Morskiego i zarazem Wiceprezesem ds. żeglarskich klubu Lotto-Bydgostia. Podnosiłem też swoje kwalifikacje żeglarskie. Coroczne rejsy wzmacniane zimowymi kursami umożliwiły mi zdobywanie kolejno stopni sternika jachtowego, jachtowego sternika morskiego i, w ubiegłym roku, kapitana jachtowego.

W 2010r. nasz klubowy jacht SOLANUS popłynął na wyprawę dookoła obydwu Ameryk pod nazwą „Morskim szlakiem Polonii 2010-2015". Byłem głównym organizatorem i koordynatorem tej wyprawy. Przesyłałem na jacht prognozy pogody, a podczas forsowania Przejścia Północno-Zachodniego także mapki z sytuacją lodową. Organizowałem spotkania z Polonią w poszczególnych portach. Wziąłem też udział w dwóch etapach tej wyprawy. Z Reykjaviku (Islandia) do Nuuk (Grenlandia) i z Valparaiso do Puerto Williams dookoła Przylądka Horn zwanego Nieprzejednanym. Dopływając do Grenlandii napotkaliśmy pierwszą górę lodową. Spotkanie było niesamowicie ekscytujące. Potem podpłynęliśmy pod lodowiec o wysokości ponad 100 m (maszt Solanusa ma 18 m) i szerokości czoła około 1 km. To był przedsmak tego, co załoga jachtu miała napotkać potem podczas pokonywania Przejścia Północno-Zachodniego. Ta północna droga wodna, odkryta przez Roalda Amundsena na początku XX wieku, to najkrótsze połączenie Europy z Azją Wschodnią. Nie zyskało jednak znaczenia handlowego z powodu zalodzenia. Jest dostępne dla żeglugi przez kilka tygodni w roku. A i to po drodze można spotkać olbrzymie pola lodowe.

Obowiązki zawodowe (byłem Prezesem Odlewni Żeliwa, którą 40 lat wcześniej budowałem) nie pozwoliły mi na wzięcie udziału w całej wyprawie. Postanowiłem jednak być na pokładzie także podczas drugiego najważniejszego etapu – opłynięcia Przylądka Horn. Ze względu na ciągłe sztormy jest on przez żeglarzy zwany „Nieprzejednany". Zacytuję tutaj fragmenty rozdziału mojego autorstwa „Mój Przylądek Horn" z książki „Morskim szlakiem Polonii 2010-2011". Jest to wydawnictwo klubowe i książki tej nie ma w sprzedaży. Jurek Dubaj przekazał w moim imieniu jeden jej egzemplarz do biblioteki Liceum w Olkuszu. Można natomiast pobrać wersję pdf ze strony www.solanus.pl.

„…Nareszcie płyniemy. Moja pierwsza wachta. Wiatr „0", stan morza „0". Słychać tylko miarowy stukot silnika. Na trawersie feeria świateł na wzgórzach Valparaiso. Rozpoczął się drugi, po North-West Passage, z najważniejszych etapów wyprawy „Morskim szlakiem Polonii 2010–2011". należącym do LOTTO – Bydgostia – WSG – Bank Pocztowy jachtem SOLANUS. Przed nami Przylądek Horn, zwany Nieprzejednanym.

Planując trasę wyprawy i jej etapy zastrzegłem Bronkowi (kapitanowi Radlińskiemu), że popłynę na etap „hornowy". Zaplanowaliśmy ten etap tradycyjną trasą wielkich żaglowców „od 50° do 50°" z Valparaiso w Chile do Port Stanley na Falklandach. Wyjście z Valparaiso 10 lutego. A dzisiaj jest 10, ale marca. Miesiąc spóźnienia. „Solanus" miał problemy z odprawą w Meksyku z powodu przerwy

świątecznej. No i etap Galapagos – Valparaiso zajął więcej czasu z powodu słabych i do tego przeciwnych wiatrów. Zadajemy sobie pytanie, czy to nie za późno? O tej porze w rejonie Hornu szaleją już potężne sztormy. Czy Neptun będzie dla nas i dla jachtu łaskawy? Ale nie mamy wyjścia. Inna droga nie jest brana pod uwagę, a czekanie do przyszłego sezonu też nie wchodzi w rachubę. A więc płyniemy. Jednak ze względu na moje obowiązki służbowe skracamy ten etap i chcemy go zakończyć w Puerto Williams. 6 kwietnia muszę być na targach w Hannoverze. Czyżby potwierdzało się żeglarskie powiedzenie, że planowanie na jachcie, to czas... stracony?...

… Kiedy załoga liczyła trzy lub cztery osoby, kapitan Radliński pełnił normalne wachty. Teraz jest nas szóstka. Ustaliliśmy więc, że kapitan nie pełni wacht. Romek przyjął tzw. łamany system wacht. Aby stale na wachcie były 2 osoby, po 4 godzinach służby następował 6-godzinny odpoczynek. Kambuz wypadał raz na 5 dni. Pierwszy raz płynąłem w takim systemie i sprawdził się on znakomicie.

Zaraz pierwszego dnia otrzymaliśmy e-maile i SMS-y o tragicznym trzęsieniu ziemi w Japonii i fali tsunami, która w ciągu niespełna doby dotrze w nasz rejon. Musieliśmy uspokajać rodziny, że fala tsunami na otwartym oceanie nie jest groźna. Jest to tylko jedna z wielu fal, tylko trochę większa. Natomiast na brzegu fale tsunami mogą wyrządzić wiele szkód. Po powrocie oglądałem na You Tube amatorski film z „naszego" jachtklubu. Wyglądało to rzeczywiście groźnie. Wszystkie nabrzeża były zalane wodą, a wypływający prąd zerwał kilka jachtów i wyrzucił na pobliskie skały.

Przez pierwsze dni Neptun potraktował nas wiatrami południowymi do 4o w skali Bouforta. Mogliśmy więc utrzymywać kurs południowo-zachodni i w ten sposób odejść na bezpieczną odległość około 200 mil od brzegu. I nagle, przy prawie bezwietrznej pogodzie, zrywa się fał foka. No cóż, zdarza się. Lina pracowała przez prawie rok, więc miała prawo się zerwać. W Valparaiso Tolek Kantak wjeżdżał na maszt, wszystko oglądał uważnie i nie zauważył żadnego przetarcia liny. Tym razem Jarek podejmuje się wjechać na maszt. Martwa fala powoduje, że top masztu wychyla się kilka metrów poza obrys pokładu. Do pracy pozostaje więc właściwie tylko jedna ręka. Wymiana liny poszła bardzo sprawnie, więc rozwijamy żagiel, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Tolek przez lornetkę zauważa, że nowa lina jest znowu przecięta. Konieczny jest więc drugi wjazd na maszt. Tym razem, oprócz wymiany fału trzeba jeszcze znaleźć przyczynę awarii. Jarek zabiera więcej narzędzi i taśmy, które mogą się tam, u góry przydać. Naprawa trwa znacznie dłużej, ale ocena nie pozostawia wątpliwości. To niechlujstwo pracowników firmy montującej rolfok doprowadziło do awarii. Po ucięciu na wymiar ostatniej rury „zapomnieli" oszlifować pilnikiem zadziorów, chociaż odpowiedni zapis ze zdjęciem producent umieścił w instrukcji montażu. Jarek zabezpieczył to miejsce w miarę swoich możliwości, a ostateczną naprawę trzeba będzie wykonać dopiero w porcie. Pytanie, co by było, gdyby ta awaria zdarzyła się w czasie silnego sztormu, pozostawiamy bez odpowiedzi….

… No i zaczęło się. Na przywitanie w 50-kach dmuchnęło 8–9° B z północnego zachodu. W porywach nawet do 10o B. Kierunek wiatru dobry, więc na sztagu pozostał tylko maleńki spłachetek foka. A i tak pędziliśmy z prędkością dochodzącą do 10 węzłów. W czasie ześlizgu z fali koledzy odnotowali rekord – 17 węzłów! W czasie moich 35 lat pływań po Bałtyku i Morzu Północnym byłem już w sztormie 11° B, a 10° B przeżyłem kilkakrotnie. Ale to, co zaczęło się dziać tutaj, przeszło najśmielsze moje wyobrażenia. W czasie pierwszej wachty w tym kipielu po 15 minutach za sterem byłem cały spocony. Spocony z emocji (czytaj – strachu), a nie od kręcenia kołem sterowym. Utrzymanie jachtu pod odpowiednim kątem do fali (specjaliści mówią, że to ma być 18 stopni) było nie lada wyczynem. Jeszcze gorsza była nocna wachta. Absolutnie czarna noc. Nie widać nawet tego trójkącika żagla na dziobie. Wtedy przyjętą technologię sterowania nazwałem „na nos i ucho". Kiedy wyostrzałem – zaczynałem czuć wiatr na nosie schowanym pod kapturem sztormiaka, a kiedy odpadałem – wiatr zaczynał gwizdać w takielunku innym tonem. Te dwie godziny wachty będę pamiętał bardzo długo.

Rano przypadł mi kambuz. Aby móc pracować dwoma rękami zaparłem się w kambuzie o szafki i dodatkowo głowę oparłem o jedną z półek. Nagle słyszę syk i grzmot na pokładzie. Z półek na nawietrznej burcie zaczęły spadać wszystkie nieumocowane przedmioty, a moje ciało przybrało pozycję poziomą. Pierwsza myśl: co z Włodkiem? Uchylam suwklapę. Włodek za sterem tylko mówi: „ale mi p...". Potem opowiadał, że usłyszał syk i z boku wpadła na pokład olbrzymia fala kładąc jacht masztami

na wodzie. SOLANUS wstał bardzo szybko bez żadnych uszkodzeń. Poukładaliśmy wszystkie rzeczy na swoich miejscach. Wtedy Bronek powiedział: „z Nome do Vancouver dwa razy tak leżeliśmy, to dzielny jacht". Ten sztorm szalał przez dwie doby…

… Jeszcze raz Neptun pogroził nam palcem jakieś 250 mil przed Hornem. Powiało podobnie 8–9, w porywach 10° B z północy. Tym razem sztorm trzymał tylko około 12 godzin. Kilka dni wcześniej przestał działać telefon satelitarny OpenPort i mogliśmy odbierać tylko SMS-owe prognozy pogody na drugim telefonie. Po naniesieniu liczb na mapę wyszło nam, że centrum niżu będzie się przesuwać na północny wschód i że w okolicach przylądka Horn będzie dość przyzwoita pogoda. Będziemy więc mogli przepłynąć bezpośrednio koło Nieprzejednanego, a nie okrążać go wielkim łukiem dookoła wysp Diego Ramirez. Rzeczywiście, przy wietrze nie przekraczającym 6o B ujrzeliśmy tę małą, a tak sławną skałę. To był Przylądek Horn. Marzenie żeglarzy, ale i miejsce, gdzie na dnie leży wiele statków z ich załogami. 29 marca 2011 roku o godz. 1532 czasu lokalnego SOLANUS minął lewą burtą przylądek Horn. Po przejściu koła podbiegunowego północnego kapitan Radliński krzyknął: „North-West Passage jest nasz. Zdobyliśmy North-West Passage". Teraz podobnie. Powiedział: „Panowie, Horn jest nasz. Zdobyliśmy drugi z największych żeglarskich ośmiotysięczników. Jesteśmy pierwszym polskim jachtem, który tego dokonał w trakcie jednego rejsu. W czasie jednego sezonu. Dziękuję Wam i dziękuję patronom naszej wyprawy. Dzięki nim mogliśmy zrealizować nasze marzenia".

Potem uściski, gratulacje, pamiątkowe zdjęcia. Neptun jednak o nas nie zapomniał. Po minięciu przylądka dmuchnęła ósemka. Ale dla nas to była już tylko radość. Romek zaserwował piękną kolację wyciągając z zakamarków dawno nie widziane na stole specjały. Po kilu godzinach mogliśmy schować się w kanale Beagle prowadzącym do Puerto Williams. Schyliliśmy głowy przepływając niedaleko miejsca, gdzie „NASZACHATA" skończyła żywot na skałach, a kapitan i jego zastępca dołączyli do tych, co odeszli na wieczną wachtę…

…30 marca 2011 roku o godz. 13.10 zacumowaliśmy w Puerto Williams. Odprawa przebiegła bez problemów, chociaż niektórym pytaniom dziwiliśmy się co nieco (np. na ile dni mamy prowiantu). Tutaj spotkaliśmy polski jacht SELMA z kolejną załogą i małżeństwo Polaków, którzy są na morzu od 12 lat…"

A Ty, drogi czytelniku, cały czas myślisz, gdzie te „bezdroża" i co znaczyły trzy kropki na początku. Zaraz wszystko się wyjaśni.

Pełne zdanie powinno brzmieć: „W swoich wspomnieniach skupię się na książkach, wodzie i wódzie". Bo to właśnie alkohol był przyczyną moich bezdroży.

Zaczęło się w Ustrzykach Dolnych. Zwyczajem tamtych czasów były 1-majowe zabawy pod gołym niebem na polanie „Pod Dębami". W X klasie poszedłem tam z kolegami z internatu. Spotkaliśmy woźnego z naszej szkoły, już lekko podchmielonego. Ten zaprosił nas do pobliskiego zagajnika i tam poczęstował wódką. Młody organizm bardzo szybko zareagował na tę niedużą dawkę alkoholu. Jak pisałem wcześniej, bratu Profesora nie uchodziło żadne przewinienie. Informacja, że Antek chodzi pijany „Pod Dębami" dotarła do Janka bardzo szybko. Awantura zakończyła się ustaleniem, że do klasy maturalnej przeniosę się do rodzinnego Olkusza. Na szczęście ta informacja nie dotarła do olkuskiego grona pedagogicznego i mogłem spokojnie zdać maturę.

Na studiach alkohol towarzyszył mi cały czas. Sklep spożywczy prowadzący też sprzedaż alkoholu był… w suterenie naszego akademika. Byłem nieśmiałym młodzieńcem i porcja alkoholu dodawała mi animuszu. Stawałem się wtedy elokwentny, dowcipny i brylowałem w towarzystwie. Teraz wiem, że był to typowy początek uzależnienia od alkoholu.

Na szczęście miałem jeszcze tyle obowiązkowości, że studia ukończyłem w terminie i pracę magisterską obroniłem z wynikiem dobrym.

W Bydgoszczy przez pół roku mieszkałem sam w hotelu robotniczym. Często popołudnia kończyły się w knajpie, a poranny kac nie był mi obojętny. W pracy byłem aktywny, co szybko dostrzegli moi przełożeni. Awansowałem więc bardzo szybko. Po 2 latach kierowałem 130-osobowym oddziałem, a w wieku 40 lat wygrałem konkurs na dyrektora technicznego Fabryki Opakowań Blaszanych. Po 10 latach moi koledzy ściągnęli mnie, abym uratował upadającą Odlewnię, tę, w której zaczynałem pracę

jako młody inżynier. Udało mi się to i przez 15 lat, aż do przejścia na emeryturę, byłem jej prezesem.

Alkohol w tym czasie towarzyszył mi stale. Nawet picie w pracy uchodziło płazem. Raz tylko złożyłem rezygnację z kierowniczego stanowiska z powodu problemów z alkoholem. Ale nikomu o tym nie powiedziałem i szybko zostałem przeniesiony na inne, wyższe stanowisko.

Także turystyczne rejsy morskie były okazją do mocnego picia. Alkohol w strefach bezcłowych był bardzo tani i często w porcie wychodziliśmy z jachtu tylko po uzupełnienie jego zapasów. Już 4 lata byłem Prezesem Odlewni, kiedy zdałem sobie sprawę, że coś ze mną nie jest w porządku. Nie mogłem już pić, ale nie mogłem też żyć bez alkoholu.

Rozmowa z bratem Marianem, który był kapelanem i terapeutą w Szpitalu Odwykowym w Gorzycach nie pozostawiła wątpliwości. Jestem uzależniony od alkoholu. Po prostu jestem alkoholikiem. Teraz mówię to już normalnie, ale na początku słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Ja, Prezes firmy, wiceprezes Klubu, działacz innych organizacji występujący często w telewizji jestem alkoholikiem? To niemożliwe!!! Przecież nic nie straciłem. Mam mieszkanie, rodzinę, samochód, dobre stanowisko. Nie byłem na izbie wytrzeźwień. Policja nie zatrzymała mnie pod wpływem alkoholu. To jest po prostu niemożliwe.

Wizyta w Warszawie u dr-a Woronowicza, krajowego specjalisty od uzależnień nie pozostawiła złudzeń. Na moje wątpliwości odpowiedział: „…pij dalej, to wszystko jest przed tobą…" . Na pytanie, czy będę mógł pić w sposób kontrolowany odpowiedział: „… z kiszonego ogórka nie da się zrobić świeżego…".

Tak „wylądowałem" na terapii w Warszawie. Bardzo się wstydziłem swojego uzależnienia i bałem się, że informacja o tym rozniesie się po całej Bydgoszczy. Dlatego co tydzień dojeżdżałem z Bydgoszczy 250 km na spotkania terapeutyczne.

Później dowiedziałem się, że bardzo dużo osób widziało moje uzależnienie i poddanie się terapii przyjęli z ulgą. Mówili: „Antek jest uratowany". Dzisiaj wiem, że byłem wtedy w tragicznym stanie zdrowotnym i gdyby nie terapia – na pewno już nie pisałbym tych wspomnień…

Od tamtego (ponad 11 lat) czasu nauczyłem się żyć bez alkoholu. Poznałem jakże piękny, trzeźwy, świat. Kiedyś, już w rejsie bezalkoholowym, odwiedziłem Solanusem szwedzki port Visby i do zaprzyjaźnionej lekarki wysłałem SMS-a: „Pozdrowienia z Visby. Jakie to piękne miasto". Przy następnym spotkaniu ona zapytała: „Przecież w Visby byłeś już wcześniej 5 czy 6 razy". Moja odpowiedź: „Ale miasto widziałem po raz pierwszy" rozbroiła ją kompletnie.

Naprawdę, wiele rzeczy zobaczyłem po raz pierwszy oglądając je kolejny raz. Życie bez alkoholu jest piękne. A najdziwniejsze jest to, że wtedy wydawało mi się, że wszyscy piją. A to tylko ja szukałem i znajdowałem takich, którzy piją. Teraz widzę, że większość osób nie pije i nie mam problemów, gdy na propozycję „kieliszeczka" odpowiadam: „Dziękuję, nie piję". Czasami dodaję: „Wypiłem już cały, przeznaczony dla mnie, alkohol".

Antoni Bigaj,
Kozielec, 16 listopada 2015r.

Ustrzyki – podczas obchodów tysiąc-lecia chrztu Polski.

Żniwa w Kosmolowie

Olkusz., męska część naszej klasy na Skwerze obok ówczesnej siedziby Liceum (autor siedzi pierwszy z lewej).

Olkusz – lubiliśmy żarty – odsłanianie remontowanego pomnika na Rynku (autor pierwszy z lewej w tylnym rzędzie)..

Góra lodowa u brzegów Grenlandii – pierwsza spotkana góra lodowa była okazją do sesji fotograficznej (autor trzeci z lewej).

Horn- autor gratuluje kpt. Radlińskiemu kolejnego wyczynu. W tle „nieprzejednany” Przylądek Horn.

Po Hornie – Neptun przypomniał nam, że to on tutaj rządzi (autor pierwszy z lewej).

Orki w kanale Beagle- dziwiły się, że to wielkie stalowe cielsko nie chce się z nimi bawić.

VII. Spotkania z ludźmi czynią życie warte przeżycia.

Zofia Krzysztoforska- Weisswasser

Wstęp

Tytuł do mojego eseju zaczerpnęłam od francuskiego pisarza Guy de Maupassanta (1850-1893), który był zdania, że każde spotkanie z drugim człowiekiem nas wzbogaca, o ile tylko jesteśmy gotowi otworzyć się na niego i poznać jego postrzeganie świata. To właśnie dzięki spotkaniom z innymi ludźmi możemy lepiej poznać samego siebie, drugiego człowieka i otaczający nas świat,

a nasze życie staje się fascynującą i wspaniałą przygodą..

Muszę przyznać, że miałam w życiu szczęście, szczęście do ludzi, spotkałam bowiem wiele osobistości, którzy wywarli na mnie duży wpływ i ukształtowali moją osobowość, a także pokazali drogę, którą należy podążać. Są wśród nich moi nauczyciele, o których napiszę w dalszym ciągu mojego eseju.

Pochodzę z rodziny Krzysztoforskich, których historia związana jest nierozerwalnie z ziemią małopolską. Historię rodu Krzysztoporskich można prześledzić aż do XIV wieku, wtedy to bowiem herb Nowina pojawiał się często w zapiskach sądowych. Wieś Krzysztoporzyce, obecnie Krzysztoforzyce, będąca rodową własnością Krzysztoporskich, leży w parafii Ruszcza. W XV wieku ród Krzysztoporskich przeniósł i osiedlił się w Ziemi Sieradzkiej, gdzie Krzysztoporscy założyli m.in. Wolę Krzysztoporską. W następnych wiekach osiągnęli oni liczne zaszczyty i piastował ważne państwowe urzędy.

Pozostała w Małopolsce gałąź Krzysztoforskich pozostała na ojcowiźnie zapewne nigdy nie była tak wielce zamożna. Krzysztoforscy wywodzący się z drobnego rycerstwa pozostali wierni swoim ziemiańskim korzeniom. Dzielenie posiadłości na dość liczne potomstwo było przyczyną postępującej pauperyzacji i przemieszczania się z biegiem lat do innych miejscowości, położonych w okolicach rzeki Szreniawy. Najwięcej Krzysztoforskich żyje obecnie w Małopolsce, w Wielkopolsce i na Mazowszu spotkać można niewielką liczbę Krzysztoporskich. Pozostałe miejscowości i regiony kraju zamieszkują sporadycznie nieliczni przedstawiciele rodu z różnych linii Krzysztoforskich i Krzysztoporskich.

Moje zainteresowania historią rodziny i rodu Krzysztoforskich sięgają dość długo wstecz, ale brak czasu nie pozwolił na ich systematyczne opracowanie z powodu licznych zobowiązań zawodowych i rodzinnych. Istnieje jednak nadzieja, że wkrótce do tego dojdzie. Bowiem znajomość genealogii własnej rodziny pozwala poznać i uzmysłowić sobie, jak na nasze życie wpływa dziedzictwo minionych pokoleń. Swoich korzeni szukają ci, którzy żywią szacunek dla tradycji. To dzięki poznaniu przeszłości i znajomości swoich korzeni dowiadujemy się, skąd pochodzi nasza wrażliwość i wiara w nasze ideały. Jak bowiem słusznie stwierdził Albert Einstein, że „śmierć nie jest kresem naszego istnienia, żyjemy bowiem w naszych dzieciach i następnych pokoleniach, a nasze ciała to tylko zwiędłe liście na drzewie życia".

Dzieciństwo i lata szkolne

Myśląc o szkole, mam na myśli wspaniałych pedagogów, których nazwiska trwale i pięknie zapisały się w mojej pamięci. Należą do nich przede wszystkim przedstawiciele humanistyki: poloniści, historycy i germaniści. Już od najmłodszych lat szukałam prawdziwych wartości i znajdowałam je nie tylko w książkach, ale także w pedagogach, którzy byli wzorcem do naśladowania. Należała do nich niewątpliwie moja pierwsza nauczycielka w szkole podstawowej, mój pierwszy nauczyciel języka niemieckiego w liceum i pani profesor literatury niemieckiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. To właśnie im bardzo dużo zawdzięczam i chciałabym w tym miejscu uchronić ich nazwiska od zapomnienia, tym bardziej, że łączyły mnie i łączą nadal serdeczne więzi przyjacielskie.

Przyszłam na świat 12 września 1948 roku w Gołaczewach, starej wsi, której początki sięgają XIII wieku, a która już w XIV wieku weszła w skład klucza jangrockiego, należącego do dóbr biskupstwa krakowskiego. Chrzest przyjęłam w Kościele p.w. św. Marii Magdaleny, w którym znajdują się stare barokowe sprzęty i epitafia. Parafia gołaczewska należała wtedy do diecezji kieleckiej i województwa krakowskiego. Z Góry Krzyżowej, na której zbudowano kościół, rozciąga się piękny widok na położoną niżej Bramę Wolbromską, utworzoną przez dolinę źródłową Białej Przemszy i Szreniawy, i na PasmoSmoleńsko-Niegowonickie. Imię Zofia otrzymałam po mojej babci po mieczu, Zofii Sokół, która na stałe zapisała się w opowieściach rodzinnych. Przekazałam je jako drugie imię mojej młodszej córce Weronice Zofii.

Pierwsze siedem lat nauki pobierałam w Szkole Podstawowej w Sulisławicach, wsi, z której pochodził m.in. Władysław Wołkowski (1902-1986), zwany „ Michałem Aniołem od Wikliny”[1]. Jego jakże oryginalne meble i nowatorskie kompozycje wykonane z wikliny, trzciny, lnu i metalu można podziwiać w olkuskim Muzeum Twórczości Władysława Wołkowskiego, mieszczącym się w XIX wiecznym Dworku Machnickich. Sulisławice to z kolei stara, malowniczo położona wieś w dolinie Szreniawy, należąca do parafii szreniawskiej.

Przez pierwsze cztery lata nauki w Szkole Podstawowej moją jedyną nauczycielką była **Alfreda Wilga** (1924-1999).

Zdj. 1 Alfreda Wilga, nauczycielka w Szkole Podstawowej w Sulisławicach

W starej drewnianej szkole, która już nie istnieje, po jednej stronie znajdowała się nasza klasa, a po drugiej mieszkanie nauczycielki. Choćby już z tego prostego powodu nic nie uchodziło jeg uwagi i na wszystko miała oko. Znała wszystkie dzieci po imieniu i ich rodziców, ponieważ wieś była nieduża.

Alfreda Wilga urodziła się w okresie międzywojennym w Ostruszy w powiecie tarnowskim; miała brata Kazimierza i siostrę Ludwikę. Ojciec Alfredy Jan Wilga wyjechał w celach zarobkowych do Francji i rodzeństwo wychowywała samotnie matka Julia Wilga[2]. Szkołę Powszechną Wilga ukończyła w Ostruszy, a następnie Szkołę Rolniczą w pobliskich Ciężkowicach. Później zaocznie kontynuowała naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Tarnowie, gdzie zdała maturę. Po II wojnie światowej wyjechała do Krakowa, gdzie dzięki pomocy starszego brata Kazimierza ukończyła kurs nauczycielski. Po ukończeniu kursu została skierowana do pracy w nowo otwartej Szkole Podstawowej w Sulisławicach. Po refomie szkolnej, polegającej na likwidacji małych placówek szkolnych, skierowana została do pobliskiego Wierzchowiska, gdzie została kierownikiem szkoły. Podobno ukończyła wtedy również zaocznie studia nauczycielskie. Z opowiadań siostrzenicy Anny Ptak wynika, że Alfreda rzadko odwiedzała swój dom rodzinny i dlatego z dzieciństwa siostrzenica właściwie jej nie pamiętała. Nawiązała z nią kontakt dopiero, kiedy sama zaczęła naukę w Krakowie. Odwiedzała ciotkę, która wspierała ją finansowo, w Wierzchowisku i w Wolbromiu.

1 http://www.mok.olkusz.pl/index.php/muzea/19-muzea/29-wiklina.html [stan z 03.03.2016 r.].

2 Wszystkie istotne informacje uzyskałam od Anny Ptak, siostrzenicy Alfredy Wilgi. Jej list z dn. 29.01.2013 r. znajduje się w moim prywatnym archiwum.

Wilga pracowała w Wierzchowisku aż do przejścia na emeryturę i zamieszkała następnie w jednym z nowo wybudowanych bloków mieszkalnych w Wolbromiu. ałe swoje życie poświęciła ekukacji dzieci i młodzieży, nigdy nie wyszła za mąż i umarła w samotności. Pamięć o niej pozostała jednak żywa w jej wychowankach, do których również ja się zaliczam. Zmarła w roku 1999 i została pochowana na cmentarzu w rodzinnych Ciężkowicach. Alfreda Wilga była średniego wzrostu, miała ciemne, lekko pofalowane i zaczesane do tyłu włosy. Zawsze w szkole ubrana była w granatowy chałat, czyli rodzaj fartucha z białym okrągłym kołnierzykiem. Podobne fartuszki musiały nosić wszystkie uczennice.

Była osobą kulturalną, życzliwą i niezwykle pobożną. Podobno w młodości ciężko zachorowała i złożyła Bogu przyrzeczenie, że jeśli wyjdzie z nieuleczalnej choroby, pozostanie na zawsze w stanie panieńskim. Swojego przyrzeczenia dochowała, ale przez swoje otoczenie odbierana była jako typ samotnika. Często myślimy o introwertykach, że to nieśmiali samotnicy, nie potrafiący nawiązać relacji z innymi. Prawda może być jednak inna, tak jak w tym wypadku. Wilga była dobrym psychologiem i uważnymi słuchaczem, najchętniej pracującym w ciszy i samotności. Nigdy nie miała własnej rodziny i całą swoją energię poświęciła wychowaniu cudzych dzieci. Można jednak przypuszczać, że tak naprawdę była bardzo samotna. Z wiejską społecznością nie nawiązywała bliższych kontaktów z bardzo prozaicznego powodu. Jeszcze w okresie powojennym mieszkańcy wsi, chociaż sami ubodzy, mieli w zwyczaju przynosić nauczycielom różne produkty (jajka, masło, mleko), aby się im przypochlebić. Nie chciała tych darów przyjmować, ponieważ ją to krępowało i dlatego wolała zachować ten odczuwalny dystans. Jej praca nie była łatwa, ponieważ z wyjątkiem pierwszej klasy, wszystkie inne klasy były łączone z powodu małej ilości dzieci. Oznaczało to, że pół lekcji nauczycielka aktywnie pracowała z jedną klasą, a druga miała ciche zajęcia, a potem było odwrotnie. Wilga uczyła nas wszystkich przedmiotów aż do piątej klasy, a potem tylko przedmiotów humanistycznych, ponieważ do przedmiotów ścisłych zatrudniono inną nauczycielkę.

Alfreda Wilga była oddana całkowicie szkole, osobą wymagająca od siebie i innych, uczyła rzetelnej pracy i rozwijała zamiłowanie do książek. Uczyła poczucia obowiązku, dyscypliny i odpowiedzialności. Była dobrym i surowym pedagogiem, szczególnie w stosunku do niesubordynowanych chłopców. Dla pilnych i grzecznych dziewczynek, które nie sprawiały kłopotów wychowawczych, była łagodna i sprawiedliwa, jednym słowem wzorcem do naśladowania. Jeśli nie chodziła po klasie, siedziała za podwyższoną katedrą i pilnowała dzieci odrabiających zadania.

Wtedy szkołę się kochało i chętnie się do niej chodziło. Jedynymi przyjemnościami w czasie roku szkolnego były cukierki na Dzień Dziecka, mała wycieczka po okolicy i książkowa nagroda za osiągnięcie dobrych wyników w nauce na koniec roku szkolnego. W moim przypadku była to „Anielka" Bolesława Prusa, która zachowała się w moim domu rodzinnym do dnia dzisiejszego. Mimo wszelkiego rodzaju niedogodności poziom nauczania w tej wiejskiej szkole był wysoki i prawie wszyscy uczniowie kontynuowali naukę w średnich szkołach.

Następnym etapem mojej edukacji było (po zdaniu egzaminu wstępnego) renomowane Liceum Ogólnokształcące im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu, w którym rozpoczęłam naukę 1 września 1962 roku. Okres licealny wspominam niezwykle miło, chociaż pierwsze miesiące w nowej szkole nie były dla mnie łatwe z powodu różnicy poziomu nauczania przedmiotów ścisłych. Asymilację w nowym środowisku ułatwił mi z jednej strony fakt, że stosunkowo dużo koleżanek i kolegów z klasy było zamiejscowych, przez co łatwiej się rozumieliśmy, a z drugiej strony zamieszkanie w internacie dla dziewcząt przy ulicy Gęsiej. Podobnie jak w szkole tak i w internacie warunki były więcej niż skromne: niewysoki, przedwojenny budynek z ciasnym, długim korytarzem i wieloosobowe sale (nie pokoje!), w których mieszkało kilka, a nawet kilkanaście dziewcząt. Ja również zamieszkałam na początku w dużej dziewięcioosobowej sali i dopiero później mogłam przenieść się do 4- osobowego pokoju z widokiem na tory kolejowe, w którym mieszkałam aż do matury.

Na parterze budynku znajdowała się kuchnia, niewielka jadalnia, jedna łazienka, trzy lub cztery umywalki i ubikacje. Wszystkie pomieszczenia ogrzewano piecami węglowymi, co nie zawsze zapewniało ciepło w pokojach położonych na pierwszym piętrze. W internacie panował ostry reżim, prowadzony najpierw przez nauczycielkę łaciny, a następnie biologii, które mieszkały na parterze. Mimo

to starałyśmy się obejść obowiązujące zakazy, chodzić do kina, na pierwsze randki i prywatki. Dobrze pamiętam wagary na starym kirkucie, bo akurat była klasówka z matematyki, i wypalenie pierwszego w życiu papierosa na pobliskim wysypie kolejowym.

W szkole wszyscy nosiliśmy skromne granatowe mundurki z białym kołnierzykiem. Na lewym ramieniu była przypięta, często tylko agrafką, tarcza z emblematem szkoły, aby łatwiej było ją odpiąć.

Stary budynek liceum był za mały, jak na potrzeby tak dużej szkoły, ale miał niepowtarzalną atmosferę.

Pierwsze dni w Liceum Ogólnokształcącym spędziłam w klasie z językiem francuskim, ale z nieznanej mi do dzisiaj przyczyny przeniesiono mnie wkrótce potem do klasy 8c z językiem niemieckim, którego znajomość miała zaważyć na dalszych moich losach. Ku mojemu przerażeniu moim wychowawcą, a zarazem nauczycielem matematyki i fizyki, został **Stanisław Sroka**, a jego żona Zofia Sroka uczyła mnie chemii.

Zdj. 2 mgr Stanisław Sroka, nauczyciel matematyki w I LO

Ponieważ nigdy nie byłam dobra i nie lubiłam przedmiotów ścisłych, często zadawałam sobie wtedy pytanie, dlaczego ja, humanistka, muszę uczyć się tak trudnych przedmiotów jak matematyka, fizyka i chemia. Odpowiedź na to pytanie przyszła sama dopiero po wielu latach w trakcie mojej pracy translatorskiej, kiedy dane mi było docenić wyniesione ze szkoły średniej podstawy nauk ścisłych. Pozwoliły mi na podjęcie pracy tłumaczeniowej z tak skomplikowanych dziedzin nauki jak fizyka i optyka. Wtedy to uświadomiłam sobie starą prawdę, że młodych ludzi należy kształcić bardzo wielostronnie i że do przekazywania wiedzy potrzebni są skutecznie działający i profesjonalni nauczyciele. Będąc uczniami niekoniecznie musimy ich lubić, aby docenić ich pracę i wysiłki. Często zapominają o tym ci, którzy są negatywnie nastawieni do byłej szkoły i nie mogą wyzbyć się nawet po latach swoich negatywnych uczuć. Ja jestem mojemu nauczycielowi i wychowawcy wdzięczna za jego pobłażliwość i pomoc, dzięki czemu udało mi się przebrnąć przez cztery lata nauki i uzyskać świadectwo dojrzałości w 1966 roku.

Ze szczególną estymą i szacunkiem wspominam **Rudolfa Goisera**, germanistę, który uczył mnie języka niemieckiego przez cztery lata aż do matury.

Zdj. 3 mgr Rudolf Goiser, germanista w I LO

Rudolf Goiser urodził się 20 lipca 1934 roku w Długopolu. Poproszony przeze mnie o zdjęcie i życiorys do publikacji zamknął swoje życie w kilkunastu zdaniach, które pozwolę sobie poniżej zacytować:

Urodziłem się w niemieckiej Grafschaft Glatz (Hrabstwo Kłodzkie) jako obywatel austriacki z racji ojcowskiego obywatelstwa. Moja matka była Polką. Dzięki tej okoliczności po wojnie rodzina nie musiała opuścić kraju. Skomplikowane i trudne bywało przejście do szkół polskich. Przyszła matura, potem cztery lata pracy w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Bystrzycy Kłodzkiej. Zatrudnienie mnie jako obywatela zachodniego państwa świadczyło o daleko idącej tolerancji osób na kierowniczych stanowiskach. Jednak po zmianie „na górze" zostałem zwolniony i dzięki temu wybrałem się na studia germanistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Bezpośrednio po ukończeniu studiów w związku z przyznanym mu przez Krakowskie Kuratorium stypendium fundowanego zostałem skierowany do pracy w Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu. Jako nauczycielowi przedłużano mi uprawnienia do nauczania co kilka lat. Tylko raz się zdarzyło, że ówczesny inspektor szkolny powiatu olkuskiego podczas miłego spacerzu poza urzędem zasugerował mi zmianę obywatelstwa.

Mawiano wtedy w Olkuszu, że w mieście zamieszkują krzaki i ptaki. Nie stałem się krzakiem, odleciałem - jak to czynią ptaki - po dziewięciu latach do Nowego Sącza. Czyżby pociągały mnie sądeckie góry, bardzo przypominające Sudety lat dziecięcych i młodzieńczych?

W Nowym Sączu dużo pisałem dla Języków Obcych w Szkole, ponieważ stale przysyłano mi tematy metodyczno-pedagogiczne z prośbą o napisanie artykułów. Oprócz niezbędnej miejscami frazeologii zawierały one wiele do dzisiaj aktualnych myśli.[3]

To właśnie Rudolf Goiser potrafił zaszczepić w nas miłość do języka i kultury niemieckiej, co w tamtych czasach wcale nie było łatwe. Był już wtedy człowiekiem wszechstronnie wykształconym i o wysokiej kulturze osobistej, a przy tym niezwykle skromnym. Goiser był świetnym pedagogiem i dobrym człowiekiem, nieskończenie łagodnym i życzliwym nauczycielem o dużej wiedzy i wielkim zrozumieniu dla młodych ludzi. Zawsze starał się w miarę swoich możliwości i zawsze się mocno przejmował, kiedy sprawiedliwe czynienie mu się nie powiodło[4]. Dobrzy uczniowie darzyli go szacunkiem, był bowiem dla nich autorytetem. Jego lekcje poruszały i skłaniały do myślenia. To właśnie na Czarnej Górze, dawnej siedzibie szkoły, w gabinecie języka niemieckiego wisiała maksyma największego niemieckiego poety Johanna Wolfganga Goethego:

Edel sei der Mensch, hilfreich und gut!

Szlachetnym, pomocnym i dobrym niechaj będzie człowiek! Dewiza ta stała się dla niejednego z nas wytyczną w życiu, bowiem stosując się do niej stajemy się ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu.

Było i jest w osobie Goisera dużo delikatności i pewnego rodzaju uduchowienie, świadczące o jego poetyckiej duszy. Widać to w jego wierszach w pięknie wydanym tomiku poezji *Hab Dank, mein Herz!*[5] O szatę graficzną zadbała urodzona w Olkuszu, a mieszkająca obecnie w Wiedniu, córka Małgorzata Goiser. W swoich wierszach autor mówi o sercu jako symbolu miłości i wyraża swoją wielką wdzięczność dla serca, które tak dobrze służy mu na co dzień. Posłańcem serca nazywa w jednym z wierszy wyciągniętą pomocną dłoń. Są tam wiersze o tęsknocie i o rozstaniu, o prawdziwych i głębokich uczuciach poruszających każdego z nas.

Rudolf Goiser przepracował w olkuskim liceum dziewięć lat, a potem przeprowadził się do Nowego Sącza. W roku 1982 wyjechał do Wiednia, gdzie pracował wiele lat jako nauczyciel i bibliotekarz. Mieszka z żoną Zytą i córką Małgorzatą w Wiedniu i pozostajemy ze sobą w przyjacielskich kontaktach.

3 Dane te zostały mi przekazane mejlowo w październiku 2015 r.

4 Dane te zostały mi przekazane mejlowo w marcu 2016 r.

5 R. Goiser, Hab dank mein Herz!, Kindle Edition 2014.

Studia w Krakowie

W klasie maturalnej wahałam się między prawem i filologią germańską i mój wybór padł w końcu na germanistykę, za co jestem losowi po dziś dzień niezmiernie wdzięczna. Zdobyta w szkole wiedza pozwoliła mi na podjęcie studiów germanistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zdałam egzamin wstępny i zostałam przyjęta na pierwszy rok studiów, chociaż posiadałam jedynie szkolną znajomość języka niemieckiego, uzyskaną bez prywatnych lekcji. Z tego samego co ja rocznika z olkuskiego liceum podjęło studia na tym samym kierunku jeszcze dwoje uczniów, co dobrze świadczyło o przygotowaniu nas z języka niemieckiego przez Rudolfa Goisera.

Z ustnego egzaminu wstępnego pozostała mi na zawsze w pamięci profesor Olga Dobijanka-Witaczakowa, która wykazała się niezwykłym wyczuciem i dużym zrozumieniem dla kandydatki. O tym, że była ona już wtedy bardzo znanym i cenionym w kraju i za granicą znawcą literatury niemieckiej, dowiedziałam się o wiele później.

Zdj. 4 Prof. dr hab. Olga Dobijanka-Witczakowa, Uniwersytet Jagielloński

Olga Dobijanka-Witczakowa (1921-2006), wybitna germanistka, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, świetny wykładowca i wspaniały człowiek. Urodziła się w Gorlicach w rodzinie urzędniczej. W latach dwudziestych rodzina Dobijów znalazła się na Śląsku Cieszyńskim, a konkretnie w Bielsku, gdzie ona spędziła szczęśliwe dzieciństwo. Ukończyła najpierw Żeńską Szkołę Powszechną w Bielsku, a następnie dwa lata nauki w Państwowym Gimnazjum Żeńskim im. Adama Asnyka w Białej Krakowskiej. W czasie wojny pracowała w Chełmku w przejętej przez Niemców fabryce obuwia firmy Bata. Już latem 1945 roku zdawała maturę, opracowano bowiem dla wojennych roczników skrócony program Liceum Ogólnokształcącego.

I choć zawsze marzyła o filologii klasycznej, to z 300 złotymi (połowa zarobiona lekcjami, resztę dołożyła matka koleżanki) pojechała do Krakowa i zapisała się na Uniwersytet Jagielloński, na anglistykę z przedmiotem pobocznym germanistyka[6]. Kiedy w 1945 roku Adam Kleczkowski, wybitny językoznawca i literaturoznawca, reaktywował Katedrę Germanistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim zamieniła przedmioty i wybrała jako główny germanistykę, a poboczny anglistykę i u niego obroniła pracę magisterską. Po przyjeździe do Krakowa w 1946 roku zamieszkała w opuszczonym i zdewastowanym przez Armię Czerwoną akademiku przy ulicy Ziaji (obecnie Jabłonowskich), przy czym władze uniwersytetu zagwarantowały studentom dosłownie tylko dach nad głową. Stan faktyczny budynku był taki: okna bez szyb (żołnierze radzieccy wyciągnęli i sprzedawali w całej okolicy), budynek bez ogrzewania, gazu i wody (rury wodociągowe i kurki jak najbardziej nadawały się także na sprze-

6 E. Dziwisz, Z wiatrem i pod wiatr, „Alma Mater. Miesięcznik Uniwersytetu Jagiellońskiego", Kraków nr 78/2006.

daż), wyposażenie pokoi w stanie ruiny (co lepsze już zostało wyniesione). Tylko pluskiew było pod dostatkiem.[7] Wiosną następnego roku wprawiono rury i w kranach pokazała się woda, tak że Dobijanka mieszkała tam do 1949 roku. Kiedy dzięki profesowi Kleczkowskiemu otrzymała etat młodszego asystenta, zamieszkała przy ulicy Długiej i mieszkała tam na piątym piętrze bez windy aż do momentu wypowiedzenia przez prywatnego właściciela. Wtedy to, na krótko przed śmiercią, Uniwersytet przyszedł jej z pomocą i zapewnił mieszkanie w domu uniwersyteckim przy ul. Łobzowskiej.

Po decyzji ministerstwa o zawieszeniu anglistyki i germanistyki ze względów politycznych w 1952 roku Dobijanka przez dwa lata prowadziła zajęcia lektorskie, co źle wspominała, ponieważ studenci niechętnie uczyli się języka niemieckiego. Po dwóch latach zaproponowano jej wykłady z literatury niemieckiej dla polonistów, a wkrótce potem z literatury zachodnioeuropejskiej XVIII i XIX wieku, które prowadziła przez następne 25 lat.

Dobijanka-Witczakowa rozpoczęła pracę na Uniwersytecie na stanowisku asystenta w 1949 roku, dwa lata później obroniła pracę doktorską, stopień doktora habilitowanego uzyskała w 1963 roku, tytuł profesora nadzwyczajnego w 1973 roku, a zwyczajnego w 1985 roku. Na emeryturę przeszła w 1992 roku, ale nadal pracowała na pół etatu w Instytucie Filologii Germańskiej.

Jej zainteresowania naukowe koncentrowały się na literaturze niemieckiej doby oświecenia, klasyce weimarskiej, romantyzmie i literaturze XIX wieku. Ponadto zajmowała się literaturą austriacką, szwajcarską oraz literaturami skandynawskimi. Jej dorobek naukowy jest bardzo bogaty i obejmuje ponad 100 pozycji. Dobijanka-Witczakowa pisała piękną niemczyną nie tylko uczone dzieła dla kolegów po fachu, lecz również rzeczy użyteczne propagujące wśród Polaków najwybitniejsze dzieła literatury niemieckiej. Należy do nich 10 tomów z serii II Biblioteki Narodowej Ossolineum, a wśród nich opracowania dramatów Friedricha Schillera, Gottholda Ephraima Lessinga, Johanna Wolfganga Goethego oraz dwa tomy dramatów Henryka Ibsena.[8]

Dobijanka-Witczakowa wychowała całe pokolenia krakowskich germanistów, prace magisterskie napisało u niej ok. 250 studentów i sześć osób prace doktorskie. Z okazji odnowienia doktoratu po 50 latach i trwającej pół wieku pracy na uczelni na uroczystym posiedzeniu Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego 26 marca 2001 roku, kiedy to społeczność adademicka świętowała jej jubileusz, jubilatka powiedziała:

Ludzie różnych rzeczy potrzebują do szczęścia. Mnie potrzebna jest przynależność do pewnej społeczności, z którą łączą mnie wspólne poglądy, wspólne upodobania, a także wspólne przeżycia. To wszystko znalazłam na Uniwersytecie.[9]

Germanistyka, istniejąca na Uniwersytecie Jagiellońskim od 1850 roku, przywrócona została w 1966 roku, w dwa lata po anglistyce.

To właśnie mój rocznik był pierwszym rocznikiem, który mógł ponownie studiować germanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Konkurencja na egzaminie wstępnym była duża, ponieważ o jedno miejsce ubiegało się 8 kandydatów. Na pierwszy rok przyjęto 30 osób, przy czym dużą część stanowili absolwenci Liceum Ogólnokształcącego im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie, tzw. Nowodworka. Mieli oni w szkole rozszerzony program nauczania z języka niemieckiego i dlatego poziom językowy na roku był bardzo nierówny. Najtrudniejszy był pierwszy rok, kiedy to odeszło kilka osób. Powodem była niedostateczna znajomość języka niemieckiego, ponieważ od razu trzeba było zmierzyć się z najstarszą literaturą niemiecką i gramatyką niemiecką. Literaturę wykładała Dobijanka-Witczakowa, językoznawstwo Aleksander Szulc, który ze swoimi asystentami przeniósł się z Poznania. Brak było odpowiednich książek, a stare podręczniki do historii literatury pisane były gotykiem, którego nikt nas nie nauczył.

W październiku 1966 roku zamieszkałam w 4-osobowym pokoju w domu studenckim „Nawojka" na ulicy Reymonta 11. Warunki były spartańskie, niewielki pokój, w którym z trudem mieściły się piętrowe łóżka, i łazienka na korytarzu. Moimi współlokatorkami były dwie polonistki i rusycystka

7 Tamże.

8 Tamże.

9 R.Pagacz-Moczarska, Odnowienie doktoratu prof. Olgi Dobijanki-Witczakowej, „Alma Mater. Miesięcznik Uniwersytetu Jagiellońskiego", Kraków nr 30/2001.

z Cieszyna, której matka pracowała w fabryce czekolady „Olza", i która hojnie dzieliła się z nami słodyczami przywiezionymi z domu. Po dwóch latach dane mi było przenieść się do nowoczesnego akademika „Piast" na ul. Piastowskiej, gdzie warunki były nieporównywalnie lepsze (dwa pokoje dwuosobowe miały do dyspozycji własną łazienkę i ubikację). Program studiów był napięty, właściwie całe dnie spędzało się na uczelni lub w bibliotece, ale w weekendy był czas na rozrywkę, wyjście do kina, teatru i na wieczorki taneczne do klubów studenckich Krakowa (Nawojka, AGH, Piast i Przewiązka). To wtedy zawiązałam serdeczne przyjaźnie, które trwają po dzień dzisiejszy.

To właśnie Dobijanka-Witczakowa była powodem mojego wyjazdu do Austrii, ponieważ jako jeden z tematów prac magisterskich zaproponowała „Wątki słowiańskie w twórczości Franza Grillparzera", największego poety austriackiego XIX wieku. Pracy tej co prawda nigdy nie napisałam, ale po wyjeździe zawiązała się między nami długoletnia przyjaźń trwająca aż do jej śmierci. Kiedy tylko bywała w Austrii, służbowo czy też prywatnie, zawsze zatrzymywała się u nas w Wiedniu w 18 dzielnicy, najpierw na Haizingergasse, a potem na Schindlergasse.

Studia w Wiedniu

Po przyjeździe do Austrii w czerwcu 1970 roku musiałam od razu szukać pracy, ponieważ te 10 dolarów amerykańskich, które mogłam oficjalnie kupić nie na długo wystarczyły. Pracowałam najpierw jako sprzedawczyni w sklepie, opiekunka do dzieci i pracownik fizyczny w firmie Singera. O pracę wtedy było łatwo, ponieważ sytuacja gospodarcza była w Austrii bardzo dobra, a z powodu żelaznej kurtyny bardzo mało ludzi przyjeżdżało z Europy Wschodniej. Jednocześnie podjęłam studia germanistyki i slawistyki (na Uniwersytecie Wiedeńskim należało wtedy studiować dwa przedmioty, główny i poboczny) oraz translatoryki, najpierw jako student nadzwyczajny, a następnie po uzyskaniu stypendium jako student zwyczajny.

Zdj. 5 Gmach główny Uniwersytetu Wiedeńskiego. Uniwersytet Wiedeński założony został w roku 1365 przez księcia Rufolfa IV., rok później niż Uniwersytet Jagielloński.

W czasie studiów w Krakowie byliśmy często niezadowoleni, że mieliśmy dużo nauki, narzekaliśmy, że musimy czytać trudne teksty w oryginale, czyli po niemiecku. Wysiłek ten doceniłam jednak dopiero wtedy, kiedy znalazłam się na wiedeńskiej germanistyce i trafiłam od razu do dobrej grupy seminaryjnej. Jednym z pierwszych germanistów, na którego zajęcia trafiłam był młody wówczas Wendelin Schmidt-Dengler (1942-2008), późniejszy dyrektor Instytutu Germanistyki Uniwersytetu Wiedeńskiego i dyrektor Archiwum Literatury w austriackiej Bibliotece Narodowej. W roku 1972 czekałam z dużą grupą studentów przy Hanuschgasse w sali Instytutu Germanistyki na naszego profesora, który co prawda był bardzo tradycyjnie ubrany (w marynarce i pod krawatem), ale sposób prowadzenia zajęć był bardzo niekonwencjonalny i przeszedł nasze oczekiwania. Chodziłam najpierw do niego na proseminaria, a później na jego fascynujące wykłady z literatury niemieckiej i austriackiej.

Schmidt-Dengler był nie tylko wielką osobowością o ogromnej wiedzy i energii, którą emanował na słuchaczy. Stawiał studentom wielkie wymagania, ale miał jednocześnie ogromne poczucie humoru połączone ze specyficzną, tak typową dla niego ironią. Wzbudzał zachwyt dla słowa pisanego i pokazywał, że literatura, zarówno stara jak i najnowsza, może być fascynująca i interesująca.

W roku 1974 złożyłam egzamin dyplomowy dla tłumaczy pisemnych, a dwa lata później egzamin dyplomowy dla tłumaczy ustnych. W dniu 29 czerwca 1976 roku został mi wręczony na uroczystej imprezie dyplom i nadany tytuł magistra.

DIE PHILOSOPHISCHE FAKULTÄT
DER UNIVERSITÄT WIEN

verleiht in Anwesenheit von FRANZ SEITELBERGER, Doktor der gesamten Heilkunde, ordentlicher Professor der Neurologie, wirkl. Mitglied der Österreichischen Akademie der Wissenschaften, derzeit Rektor; und GISELHER GUTTMANN, Doktor der Philosophie, ordentlicher Professor der Psychologie, derzeit Dekan; durch RUDOLF HAMMER, Doktor der Philosophie, ordentlicher Professor der Klassischen Philologie, wirkl. Mitglied der Österreichischen Akademie der Wissenschaften, als Promotor, an Frau

Zofia Weißwasser geb. Krzysztoforska

aus Golaczewy in Polen

nachdem sie durch Abfassung einer Diplomarbeit und Ablegung der vorgeschriebenen Prüfungen ihr Diplomstudium abgeschlossen hat, den akademischen Grad eines

Magisters der Philosophie

in der Studienrichtung Übersetzer- und Dolmetscherausbildung (Studienzweig: Dolmetscherausbildung) und bekräftigt dies durch das Siegel der Universität Wien.

Wien, den 29. Juni 1976.

Zdj. 6 Dyplom magisterski Zofii Krzysztoforskiej-Weisswasser

Na lata 1976-1979 przypadają moje studia doktoranckie i pisanie pracy doktorskiej pod kierunkiem profesora Günthera Wytrzensa na Uniwersytecie Wiedeńskim.

Günther Wytrzens (1922-1991) był profesorem literatur słowiańskich w Instytucie Slawistyki Uniwersytetu Wiedeńskiego. Urodził się w Orłowej w pobliżu Karwiny w wielkomieszczańskiej austro-węgierskiej rodzinie. Jego ojciec był notariuszem, ale zmarł młodo (1927), a wychowaniem jedynaka zajęła się matka, która zadbała o jego gruntowne wykształcenie. I chociaż sama nie znała ani czeskiego ani polskiego, zadbała o to, aby syn poznał te języki. Wytrzens uczęszczał do niemieckiego gimnazjum we Freiwaldau, gdzie w 1941 roku zdał maturę. W szkole uczył się niemieckiego, łaciny, czeskiego i francuskiego, w domu mówił po niemiecku, a z kolegami po polsku.[10] W latach 1940-1945 najpierw podjął pracę, a potem został wcielony do wehrmachtu. Po wojnie dostał się do sowieckiej niewoli, w której spędził cztery lata w najcięższych warunkach w obozie na południu Uralu. Nauczył się wtedy rosyjskiego, ale musiał to być dla niego bardzo traumatyczny okres, bo nigdy nie chciał o nim mówić, stwierdził jedynie, że „ nie były to lata życia, lecz jedynie przeżycia".

10 K. Weisswasser, Die Geschichte der Polonistik an der Universität Wien von den Anfängen bis zur Gegenwart, Wrocław-Dresden 2007, s. 164-170.

Po powrocie do Austrii zamieszkał u wypędzonej z Czech matki w Krems. Pomimo niezwykle trudnej sytuacji materialnej zdecydował się na studia slawistyki na Uniwersytecie Wiedeńskim. Studiował m.in. u znanego polskiego historyka Ottona Forst-Battaglii, który prowadził wykłady z historii Europy Wschodniej i literatury polskiej. To właśnie on wzbudził w przyszłym naukowcu zainteresowanie polską literaturą.[11]

Po uzyskaniu tytułu doktorskiego został asystentem i bibliotekarzem w Instytucie Slawistyki na Uniwersytecie Wiedeńskim. Od czasu habilitacji w 1958 roku wykładał historię literatur słowiańskich aż do przejścia na emeryturę. Był nie tylko dwukrotnie dyrektorem Instytutu Slawistyki, ale również dziekanem i prodziekanem Wydziału Filologicznego. Ten wybitny i wielostronny uczony pozostawił po sobie 12 książek i ponad 300 rozpraw naukowych do literatury rosyjskiej, czeskiej i serbochorwackiej, a literatury polskiej. Był współpracownikiem i współwydawcą slawistycznych czasopism w Austrii i tłumaczem na niemiecki, m.in. Pamiętników Jana Chryzostoma Paska. Pod koniec lat 70. znalazł w osobie ks. prof. Bonifacego Miązka godnego następcę w dziedzinie polskiej literatury i dlatego mógł poświęcić się w większym stopniu literaturze rosyjskiej.

Wytrzens był slawistą par excellence, naukowcem o szerokich horyzontach, dla którego nie istniały granice między literaturą, językiem, historią i naukami społecznymi. Był przy tym człowiekiem niezwykle skromnym, serdecznym i wyrozumiałym, a w stosunku do studentów zawsze gotowy do niesienia pomocy.

Günther Wytrzens był promotorem licznych prac doktorskich, a wśród nich (jako pierwszy literaturoznawca) promotorem 12 prac doktorskich związanych z polską tematyką.[12]

Zdj. 7 Prof. dr hab. Günther Wytrzens

Jedną z nich była moja praca doktorska „Literatura polska w wiedeńskich czasopismach literackich w latach 1880-1918", **cytowana w wielu publikacjach naukowych**. 5 lipca 1979 roku odbyła się w auli Uniwersytetu Wiedeńskiego uroczysta promocja i nadanie mi tytułu doktorskiego.

Zdj. 8 Wręczenie dyplomu doktorskiego Zofii Krzysztoforskiej-Weisswasser przez rektora Uniwersytetu Wiedeńskiego prof. dra hab. Kurta Komareka

11 J.V.Pavlik, O.-Univ.Prof. Dr. Günther Wytrzens in memoriam, „Slavica Othiniensia" 12/1992, s. 75.

12 K.Weisswasser, Die Geschichte der Polonistik an der Universität Wien von den Anfängen bis zur Gegenwart, s. 168.

NOS UNIVERSITATIS LITTERARUM
VINDOBONENSIS H.T. RECTOR

KURT KOMAREK, philosophiae doctor, chemiae professor ordinarius; GUNTHARIUS WYTRZENS, philosophiae doctor, philologiae Slavicae professor ordinarius, facultatis artium litterarumque h. t. decanus; ERICUS ZÖLLNER, philosophiae doctor, historiae professor ordinarius, academiae scientiarum Austriacae socius, promotor rite constitutus, in dominam clarissimam

Sophiam Weißwasser natam **Krzysztoforska**
philosophiae magistram
e Gołaczewy in Polonia ortam

postquam et dissertatione cui inscribitur: „Die polnische Literatur in den Wiener literarischen Zeitschriften in den Jahren 1880–1918" et examinibus legitimis laudabilem in philologia Slavica doctrinam probavit, doctoris philosophiae nomen et honores iura et privilegia contulimus in eiusque rei fidem hasce litteras universitatis sigillo sanciendas curavimus.

Vindobonae, die V. mensis Iulii MCMLXXIX.

Zdj. 9 Dyplom doktorski Zofii Krzysztoforskiej-Weisswasser

Praca naukowa

Jeszcze w czasie studiów zostałam zatrudniona w sekcji polskiej Instytutu Translatoryki jako wykładowca i pierwsza kobieta, ponieważ do tej pory lektorami byli wyłącznie mężczyźni.

Od roku 1974 byłam przez 38 lat wykładowcą języka polskiego w Instytucie Translatoryki i Slawistyki na Uniwersytecie Wiedeńskim. Kształciłam tłumaczy specjalistycznych w dziedzinie prawa i ekonomii oraz tłumaczy przysięgłych, przekazując im swoją wiedzę praktyczną w połączeniu z teorią przekładu. W roku 1976 zdobyłam uprawnienia tłumacza przysięgłego języka niemieckiego i polskiego i zostałam wkrótce potem tłumaczem urzędowym w Urzędzie Kanclerskim w Wiedniu. W latach 1981 - 1995 pełniłam funkcę wiceprezesa Austriackiego Związku Tłumaczy Przysięgłych. Wydałam wtedy dwa zbiory dokumentów dla tłumaczy przysięgłych i udzielałam się aktywnie w Sądzie Koleżeńskim tej organizacji.

Jako tłumacz wykonywałam prace dla różnych instytucji austriackich, m.in. Ministerstwa Finansów, Ministerstwa Sprawiedliwości i Ministerstwa Zdrowia, Casinos Austria, dla wielu przedsiębiorstw prywatnych w Polsce i Austrii oraz dla inwestorów zagranicznych. Współpracowałam z Austriackim Bankiem Narodowym, koncernem OMV i Polską Akademią Nauk w Wiedniu. Szczególnie mile wspominam wieloletnią współpracę z Hansheinzem Reinprechtem i Elisabeth Pean, sekretarzem generalnym międzynarodowego stowarzyszenia SOS Kinderdorf International z siedzibą w Wiedniu. Stowarzyszenie, założone przez Austriaka Hermanna Gmeinera, wybudowało w roku 1949 pierwszą Wioskę Dziecięcą SOS w Imst w Austrii, a w Polsce Wioski Dziecięce w Biłgoraju i w Kraśniku. Byłam zaangażowana jako tłumaczka w czasie podpisania umowy w 1987 roku w Wiedniu w czasie wizyty wojewody lubelskiego Tadeusza Wilka i ówczesnej kurator oświaty Marii Berzyńskiej. Tłumaczyłam projekty budowlane architekta Marka Bieleckiego z Kraśnika, a następnie protokoły narad i sprawozdania nadzoru budowlanego. Przekładałam korespondencje, prospekty, biuletyny i informacje o Wioskach Dziecięcych SOS w Polsce oraz materiały szkoleniowe dla matek i personelu. Za swoją działalność odznaczona zostałam medalem prezydenta miasta Lublina.

Z ramienia austriackiego Ministerstwa Nauki i Badań oraz Biura Wymiany Stypendystów z Europą Środkową i Wschodnią pełniłam w latach 1993–1997 funkcję opiekuna naukowego polskich stypendystów. W ramach wymiany TEMPUS byłam przez wiele lat opiekunem polskich nauczycieli akademickich i studentów na Uniwersytecie Wiedeńskim. W późniejszych latach byłam długoletnią koordynatorką z ramienia ERASMUSA w Instytucie Translatoryki, co zaowocowało nawiązaniem

współpracy i wymianą z Uniwersytetem Warszawskim. Współpracowałam w zakresie wymiany studentów z Uniwersytetem Warszawskim, Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Uniwersytetem Śląskim w Katowicach, gdzie prowadziłam również jako lektor gościnny warsztaty tłumaczeniowe w ramach wymiany Erasmusa.

Na Uniwersytecie Ekonomicznym w Wiedniu zabiegałam przez wiele lat o wprowadzenie języka polskiego dla ekonomistów, co zostało uwieńczone sukcesem w roku 1993. Na moje kursy uczęszczali studenci z różnych krajów. Szczególnie mile wspominam studentki z Ukrainy, które do końca dzielnie „walczyły" z polską gramatyką, a także Włochów, którzy byli niezwykle sympatyczni i komunikatywni. W Instytucie Zarządzania Przedsiębiorstw tego uniwersytetu, kierowanym przez prof. Rolfa Eschenbacha, prowadziłam przez wiele lat jedyną swego rodzaju Klasę Mistrzowską Języka Polskiego (Meisterklasse für Polnisch) dla szczególnie uzdolnionych i zaawansowanych studentów. Moi byli studenci pracują w różnych instytucjach międzynarodowych, bankach i przedsiębiorstwach, wykorzystując przy tym znajomość języka polskiego.

Po powstaniu wyższych szkół zawodowych zaproszona zostałam do współpracy z Wyższą Szkołą Zawodową w Eisenstadt, gdzie zaangażowałam się w opracowanie i przygotowanie programu języka polskiego na kierunku międzynarodowe stosunki gospodarcze. Pracowałam tam, nie rezygnując z pracy na Uniwersytecie Wiedeńskim, w latach 1998-2007 jako lektor języka polskiego i wykładowca języka ekonomicznego, literatury i kultury polskiej. Na tej uczelni język polski był częścią składową egzaminu dyplomowego, co stanowiło ewenement na skalę światową. Przygotowywałam tam Dni Polskie, zapraszając do Eisenstadt między innymi dyrektora Instytutu Polskiego, polskiego radcę handlowego i przedstawicieli polskiej ambasady i konsulatu w Wiedniu. Dla studentów tej uczelni organizowałam po drugim roku studiów trzytygodniowy intensywny kurs języka polskiego, który odbywał się na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Przy wsparciu austriackiego Ministerstwa Nauki, Badań i Gospodarki biorę udział w organizowaniu corocznie w lipcu (już od 17 lat) Letniego Kolegium Polsko-Austriackiego na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie. Do Krakowa zjeżdżają się na 3 tygodnie austriaccy i polscy studenci, którzy mieszkają razem w akademiku, uczą się języka polskiego i niemieckiego, uczestniczą w bogatym życiu kulturalnym Krakowa i razem spędzają wolny czas. W Kolegium od

samego początku prowadzę dla polskich studentów zajęcia językowe i seminaria z krajoznawstwa i kulturoznawstwa Austrii w języku niemieckim. W ten sposób staram się przyczynić do tego, aby studenci wspólnie poznawali język, kraj i ludzi i docenili przesłanie zawarte w sentencji Stanisława Jerzego Leca, że „nie znając języka obcego, nie zrozumiesz nigdy milczenia cudzoziemców".

Jestem autorką prac i publikacji, które ukazały się w Polsce i w Austrii. Do najbardziej znanych należą: *Mustersammlung österreichischer Dokumente und Schriftstücke für Gerichtsdolmetscher* (1993), *Zbiór dokumentów polskich dla tłumaczy przysięgłych* (1995), *Język niemiecki. Propozycje przekładu* (1998), *Polski słownik terminów i pojęć prawniczych* (1998), *Juristische Abkürzungen deutsch-polnisch und polnisch-deutsch* (1998). I oprócz tego podręczników dla studentów: *Akademicki podręcznik języka polskiego* (1999), *Polnische Wirtschaftssprache* (1999), *Pre-teksty. Język polski dla zaawansowanych* (2000) czy *Teraz polski* (2003).

Utrzymuję żywe kontakty z Polską, uczestnicząc w międzynarodowych konferencjach i sympozjach naukowych, takich jak: „Literatura w Krajach Niemieckojęzycznych" w Szklarskiej Porębie (1990), „Warsztaty Przekładu Prawniczego i Ekonomicznego" w Warszawie i Krakowie, „Debaty Przekładoznawcze- traduktologia a dydaktyka" w Częstochowie (1998) „Międzynarodowe Sympozjum Biografistyki Polonijnej" w Wiedniu (1999) i w Krakowie (2000), „Wiek kobiet w literaturze" w Białymstoku (2001) „Codzienność w literaturze XIX wieku" w Opolu (2005), „Czytanie Dwudziestolecia" w Częstochowie (2005 i kolejne edycje) oraz w „II Forum Gospodarcze Austria-Polska" w Częstochowie (2015).

Prowadziłam warsztaty oraz seminaria tłumaczeniowe w różnych polskich uczelniach, między innymi na Uniwersytecie Jagiellońskim, Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, Uniwersytecie Warszawskim, Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Akademii Jana Długosza w Częstochowie. Współpracowałam z Podyplomowymi Studiami dla Tłumaczy przy Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie prowadziłam wykłady i seminaria dla tłumaczy z dziedziny prawa i ekonomii oraz studiów w zakresie tekstów paralelnych. Szkoliłam tłumaczy metodą team-teching z udziałem sędziów w Sądzie Rejonowym w Krakowie, co było zupełną nowością w Polsce.

W druku ukazało się wiele moich artykułów, między innymi o sytuacji tłumaczy przysięgłych w Austrii, o wykorzystywaniu tekstów paralelnych w tłumaczeniu, o praktycznych aspektach kształcenia tłumaczy, o udziale Polek w życiu kulturalnym Austrii, o literaturze austriackiej Dwudziestolecia międzywojennego, o współczesnej literaturze austriackiej, o aspektach interkulturowych, literaturze i kulturze biedermeieru oraz o polskiej literaturze w wiedeńskich czasopismach literackich. Mój zakres zainteresowań obejmuje między innymi studia komparatywne w zakresie translatoryki, studia nad językiem prawniczym i ekonomicznym, tłumaczenia specjalistyczne, kształcenie tłumaczy sądowych, dydaktykę przekładu i dydaktykę języka polskiego.

W Instytucie Translatoryki Uniwersytetu Wiedeńskiego w sekcji polskiej w ramach zajęć z prawa i ekonomii często wygłaszały wykłady gościnne: sędzia Sądu Okręgowego w Krakowie **mgr Barbara Baran** i **prof. dr. hab. Stanisława Kalus** z Uniwersytetu Śląskiego. W pięknie wydanej w Niemczech Księdze Jubileuszowej ofiarowanej prof. Stanisławie Kalus *Jus est ars boni et aequi* (2010) i wręczonej Jej w czasie naukowego sympozjum w Gmachu Sejmu Śląskiego znalazł miejsce również przyczynek mojego autorstwa o wymaganiach i wyzwaniach stojących przed tłumaczami przysięgłymi w dzisiejszych czasach.

Jestem członkiem założycielem Klubu Profesorów w Centrum Naukowym Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu, który powstał z inicjatywy byłej ambasador RP w Wiedniu Ireny Lipowicz. Członkami tego klubu są profesorowie i naukowcy polskiego pochodzenia, pracujący w Austrii, oraz austriaccy profesorowie, w których działalności polskie tematy odgrywają ważną rolę.

W październiku 1991 roku z okazji jubileuszu 75-lecia I LO, którego jestem absolwentką, nawiązałam kontakt ze **Zdzisławą Wasilewską**, ówczesną dyrektor szkoły, co zaowocowało długoletnią i owocną współpracą. W czerwcu każdego roku przyjeżdżało do Wiednia na miesięczny kurs języka niemieckiego dwóch uczniów, którym zapewniałam mieszkanie, wyżywienie i kieszonkowe; mieli przy tym okazję poznać kraj i ludzi oraz bogate życie kulturalne miasta. Niektórzy z nich studiowali potem germanistykę.

W czasach, kiedy w Krakowie istaniał Generalny Konsulat Austriacki, gościli w naszej szkole austriaccy konsulowie. I tak w kwietniu 2003 roku podczas obchodów Dni Austrii złożył uroczystą wizytę w I LO konsul generalny Republiki Austrii, **dr Ernst-Peter Brezovszky,** obecnie ambasador Austrii w Danii i Islandii. W spotkaniu z licealistami podkreślił, jak ważna jest współpraca międzynarodowa między krajami, które w następnych latach znajdą się w Unii Europejskiej. Przy tej okazji otrzymałam z rąk ówczesnej dyrektor I LO Zdzisławy Wasilewskiej medal „Przyjaciel Szkoły", na którym wyryto słowa Jana Pawła II „Bogatym nie jest ten, kto posiada, lecz ten, kto daje".

Zdj. 10 Od lewej: wicedyrektor I LO mgr Maria Łaskawiec, dr Zofia Krzysztoforska-Weisswasser, Konsul Generalny Republiki Austrii w Krakowie dr Ernst-Peter Brezovszky i dyrektor I LO mgr Zdzisława Wasilewska

Po zmianie na stanowisku dyrektora we wrześniu 2011 roku, kiedy to funkcję tę objęła **mgr Irena Majda**, a jej zastępczynią została **mgr Barbara Tarczyńska**, **kontynuuję swoją akcję stypendialną w nieco inny sposób. Organizuję - dzięki wydatnej pomocy i wielkiemu zaangażowaniu dyrektor naszej szkoły - Tydzień Austrii i prowadzę warsztaty językowe w I LO oraz opłacam kursy języka niemieckiego w Instytucie Austriackim w Krakowie.**

We wrześniu 2012 roku w ramach Tygodnia Austriackiego odbyło się w naszej szkole spotkanie z konsulem generalnym Republiki Austrii, **Geraldem Eidherrem**, obecnie radcą kultury w Austriackim Forum Kultury w Warszawie, który wygłosił interesujący wykład na temat stosunków polsko-austriackich na przełomie wieków, a następnie zwiedził szkolną wystawę o Austrii i wpisał się do Księgi Pamiątkowej.

Zdj. 11 Od lewej: Konsul Generalny Republiki Austrii w Krakowie dr Gerald Eidherr, nauczycielka języka niemieckiego w I LO Agnieszka Piasny, dr Zofia Krzysztoforska-Weisswasser, prezes Olkuskiego Stowarzyszenia „Miasta Partnerskie" Genowefa Bugajska, dyrektor I LO mgr Irena Majda i Starosta Olkuski Jerzy Antoni Kwaśniewski

18 maja 2016 roku w związku z jubileuszem 100-lecia I LO odwiedził nasze liceum **dr Thomas M. Buchsbaum**, Ambasador Republiki Austrii w Polsce. Podczas swojego przemówienia Ambasador Buchsbaum wyraził podziękowanie za zaproszenie i radość z pobytu w tak renomowanej w Małopolsce placówce oświatowej. Podkreślił, że Polska od września 2013 roku, czyli od momentu objęcia przez niego funkcji ambasadora Austrii w Warszawie, jest dla niego bardzo ważnym krajem. Zwrócił uwagę na ogromny postęp, jakiego Polska dokonała w ciągu ostatnich 30 lat i stwierdził, że młode pokolenie Polaków może być dumne z osiągnięć swoich rodziców i dziadków. W centrum jego rozważań znalazła się Europa Środkowa, której kraje łączą nie tyle języki i systemy polityczne, lecz przede wszystkim tradycja i wspólna historia.

Kolejnym punktem spotkania było wręczenie nagród uczniom – zwycięzcom Quizu o Austrii, zorganizowanym we współpracy z nauczycielką języka niemieckiego **mgr Agnieszką Piasny.**

Po wręczeniu nagród Ambasador oraz zaproszeni goście obejrzeli wystawę na temat Austrii, przygotowaną przez mgr Bogusławę Wajdzik. Na zakończenie Ambasador wpisał się do Księgi Jubileuszowej i Kroniki Szkolnej.

Miałam zaszczyt tłumaczyć konsekutywnie wszystkie przemówienia i rozmowy w trakcie spotkań w naszej szkole i w Urzędzie Miasta i Gminy Olkusz, gdzie również udał się z wizytą Pan Ambasador.

Wizyta Ambasadora w naszej szkole i w mieście Olkuszu to niezwykły zaszczyt, ponieważ zwykle funkcja ambasadora ogranicza się przede wszystkim do reprezentowania i promocji danego kraju za granicą na najwyższym stopniu.

Zdj. 12 Z lewej: wicedyrektor I LO mgr Barbara Tarczyńska, dyrektor I LO mgr Irena Majda, Ambasador Republiki Austrii w Polsce dr Thomas Buchsbaum, Starosta Olkuski Paweł Piasny, dr Zofia Krzysztoforska-Weisswasser, Burmistrz Miasta i Gminy Olkusz Roman Piaśnik i starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Krakowie Ewa Przyjemska-Kondziołka

Z okazji tego zaszczytnego wydarzenia słynny na cały świat Hotel Sacher z Wiednia ufundował Oryginalny Tort Sachera, wypiekany według tajemnej receptury od 1832 roku (czyli od ponad 180 lat). Tort ten pokroił osobiście Pan Ambasador, co widać na jednym ze zdjęć na fotokolażu. Obecni goście mogli delektować się tortem i sernikiem po wiedeńsku, który jako taki nie jest znany w Wiedniu.

Zdj.13 Fotokolaż z obchodów Dni Austrii w I LO

W dniu 19 maja 2016 roku nasza szkoła gościła **Gabriele Lenger**, prezes austria.info (Narodowej Organizacji Turystyki w Austrii) w Warszawie od listopada 2014 roku, która przybyła na zaproszenie dyrektor I LO Ireny Majdy za moim pośrednictwem. Gabriele Lenger przysłała wcześniej materiały informacyjne na adres szkoły, z którymi uczniowie mogli się wcześniej zapoznać. W swojej prezentacji promowała turystykę nie tylko zimową, ale przede wszystim letnią w swojej alpejskiej ojczyźnie. Zabrała z Warszawy plecak pełen materiałów promocyjnych i reklamowych, którymi bogato obdarzyła obecnych na spotkaniu uczniów.

Zdj. 14 Z lewej: dr Zofia Krzysztoforska-Weisswasser, dyrektor Ośrodka Informacji Turystycznej Austrii w Warszawie Gabriele Lenger i wicedyrektor I LO mgr Barbara Tarczyńska

Druga część spotkania przebiegała pod znakiem prezentacji tomiku poezji **Rudolfa Goisera**, byłego nauczyciela języka niemieckiego naszej szkoły, który obecnie mieszka w Wiedniu. W spotkaniu brała udział również jego żona, mgr **Zyta Goiser**, która w ciekawy sposób przybliżyła postać swojego męża, opowiadając o jego twórczości literackiej. Miałam zaszczyt zaprezentować kilka wybranych wierszy w języku niemieckim, a dr **Jolanta Doschek** z Uniwersytetu Wiedeńskiego i mgr **Agnieszka Piasny** odczytały te wiersze w przekładzie na język polski. Zyta Goiser przekazała do biblioteki szkolnej tomik wierszy swojego męża *Hab Dank, mein Herz!* z dedykacją autora.

Zdj. 15 Z lewej: dr Jolanta Doschek z Uniwersytetu Wiedeńskiego, mgr Zyta Goiser, dr Zofia Krzysztoforska-Weisswasser i mgr Agnieszka Piasny

Odznaczenia

Za swoją działalność otrzymałam Medal Zasługi (1987) za pracę na rzecz SOS Wioski Dziecięce w Polsce od Prezydenta Miasta Lublina, medal „Przyjaciel Szkoły" I LO w Olkuszu (2003) oraz Medal Rektora Akademii im. Jana Długosza (2013) za długoletnią współpracę z tą uczelnią.

W Jubileuszowym Roku 2016 - Jubileusz 100-lecia I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego - na wniosek dyrektor Ireny Majdy odznaczona zostałam nagrodą Cordis Nobilis Burmistrza Miasta i Gminy Olkusz za wyróżniającą się, długoletnią i bezinteresowną pracę na rzecz innych.

Zdj. 16 Nagroda Cordis Nobilis: dr Zofia Krzysztoforska-Weisswasser i Burmistrz Miasta i Gminy Olkusz Roman Piaśnik

W roku 1998 zostałam odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej w Ambasadzie Polskiej w Wiedniu za zasługi w rozwijaniu polsko-austriackiej współpracy naukowej.

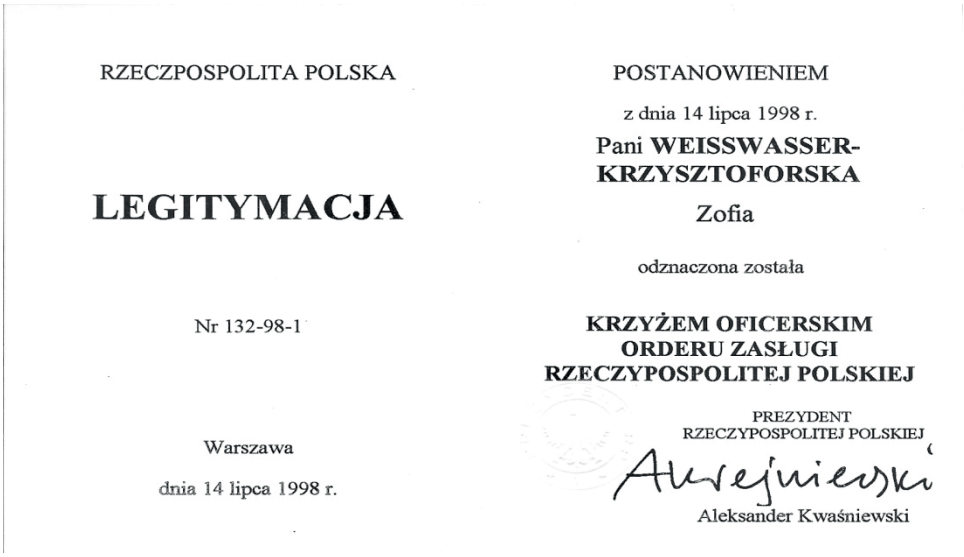

RZECZPOSPOLITA POLSKA

LEGITYMACJA

Nr 132-98-1

Warszawa

dnia 14 lipca 1998 r.

POSTANOWIENIEM

z dnia 14 lipca 1998 r.

Pani **WEISSWASSER-KRZYSZTOFORSKA**

Zofia

odznaczona została

KRZYŻEM OFICERSKIM ORDERU ZASŁUGI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Aleksander Kwaśniewski

Zdj. 17 Krzyż Oficerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej przyznany Zofii Krzysztoforskiej-Weisswaser 14 lipca 1998 r.

W roku 2004 roku na wniosek ówczesnej dyrektor I LO mgr Zdzisławy Wasilewskiej otrzymałam Medal Komisji Edukacji Narodowej za zasługi dla oświaty i wychowania .

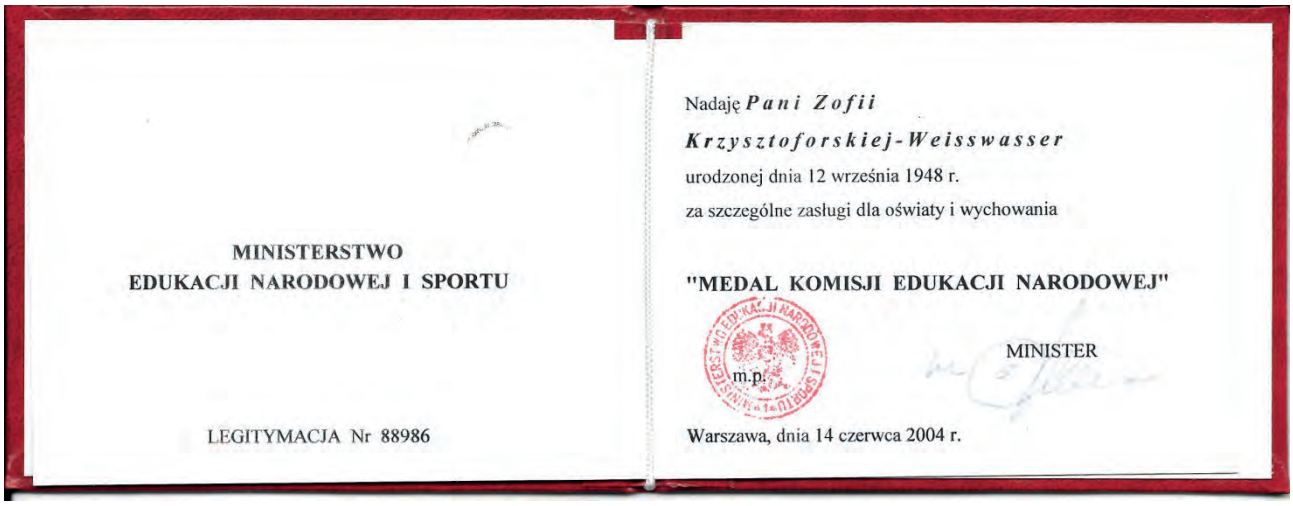

MINISTERSTWO
EDUKACJI NARODOWEJ I SPORTU

LEGITYMACJA Nr 88986

Nadaję *Pani Zofii*
Krzysztoforskiej-Weisswasser
urodzonej dnia 12 września 1948 r.
za szczególne zasługi dla oświaty i wychowania

"MEDAL KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ"

m.p.

MINISTER

Warszawa, dnia 14 czerwca 2004 r.

Zdj. 18 Medal Komisji Edukacji Narodowej przyznany Zofii Krzysztoforskiej -Weisswasser 14 czerwca 2004 r.

Podsumowanie

Zastanawiam się, czy odniosłam w życiu sukces? Pojęcie sukcesu jest względne i dla każdego oznaczać będzie coś innego. Wprawdzie 38 lat pracy na Uniwersytecie nie zawsze było usłane różami, ale ogólny bilans wypada pozytywnie. Starałam się oprócz pracy zawodowej nie zapominać o ważnych życiowych potrzebach i priorytetach i zagospodarować odpowiednio każdy jego obszar (edukacja, praca, rodzina, relacje z ludźmi, kultura, pasja). Odczuwam poczucie życiowego sukcesu, ponieważ wydaje mi się, że udało mi się do pewnego stopnia pogodzić wszystkie obszary życia .

Jeszcze w czasie studiów wyszłam za mąż za Austriaka, Hermanna Weisswassera, urodziłam i wychowałam trójkę dzieci, dwie córki i syna. Córka Katarzyna jest slawistką, Weronika psycholożką, a Michał ekonomistą i zapalonym muzykiem. Przez lata starałam się zachować w życiu równowagę i harmonię, wierność osobistym korzeniom oraz swojemu społecznemu i kulturowemu dziedzictwu.

Prowadząc kwerendy i badania genealogiczne swojej rodziny lepiej poznałam siebie i doceniłam okoliczności, które uformowały mój charakter i pozwoliły mi na wykształcenie swoich właściwości, zdobycie umiejętności i wiedzy.

Ta łączność z większym systemem rodzinnym dawała i daje mi siłę i oparcie. Praca dla dobra publicznego ogromnie wzbogaca i buduje głębszą więź z ludźmi i otaczającym światem, przez co świat nie zamyka się w ciasnych granicach. Daje poczucie głębszego sensu, przez co pojawia się także zapał i motywacja do działania. Sądzę, że mimo wszystko dobrze przeżyłam moje życie.

Zofia Krzysztoforska-Weisswasser

Wiedeń, listopad 2016r.

VIII. Wymiary tego i tamtego Świata.

Józef Januszek.

Opisy moich niezwykłych przeżyć i przemyśleń dedykuję: Rodzinie, Przyjaciołom, mojej ukochanej Żonie, kochanym Dzieciom i moim najdroższym Wnukom.

Ile i jakie wymiary ma nasz Świat?

Przestrzeń jednowymiarowa to oś liczbowa. Każdy punkt osi liczbowej ma jedną współrzędna, np. A=(-4), lub B=(+5).

Przestrzeń dwuwymiarowa to płaszczyzna na której np. zdefiniowano układ współrzędnych prostokątnych. Każdy punkt takiej płaszczyzny ma dwie współrzędne, np. A=(-4,+5).

Przestrzeń trójwymiarowa to zbiór punktów, w którym zdefiniowano układ współrzędnych – odpowiednie trzy płaszczyzny, wzajemnie prostopadłe. Każdy punkt takiej przestrzeni ma trzy współrzędne, np. A=(+3,-2,+5).

Przestrzenie: jednowymiarową, dwuwymiarową i trzywymiarową możemy łatwo narysować.

Przestrzeń czterowymiarową możemy sobie łatwo wyobrazić, ale nie możemy jej przedstawić graficznie, to znaczy narysować.

Każdy punkt przestrzeni czterowyrazowej ma cztery współrzędne- wymiary, np. A=(-2, +3,-4,+5).

Podobnie możemy łatwo zdefiniować np. przestrzeń sześciowymiarową. Punkt takiej przestrzeni może mieć współrzędne:

np. A= (10, 21, 5, 2015, 19, 39)

Interpretacja współrzędnych:

10 - to numer pacjenta przebywającego na oddziale szpitala,

21 - to dzień miesiąca,

5 – to numer miesiąca maja

2015 – to numer roku

19 – to godzina

39 – to zmierzona właśnie temperatura chorego.

Łatwo zauważyć, że w tej przestrzeni pracuje pielęgniarka opiekująca się pacjentami na oddziale szpitala. Jest oczywiste, że każda pielęgniarka pracuje w wielu innych przestrzeniach., które mają więcej wymiarów.

Powstaje pytanie: ile wymiarów ma przestrzeń naszego fizycznego Świata?

Jest oczywiste, że nikt nie wie ile wymiarów ma przestrzeń tego niezwykłego, jedynego naszego Świata. Jest to jedna z największych tajemnic naszego fizycznego świata. Jeden z jego wymiarów ma jednak szczególne znaczenie-- jest to wymiar czasu. Po prostu wymiar ten oznacza, że wszystko co w naszym świecie istnieje ma swój początek i swój koniec. Życie każdego człowieka w pewnym momencie się zaczyna i w pewnym momencie się kończy, w przestrzeni tego Świata. Warto zwrócić uwagę na to, że różne doktryny filozoficzne i różne doktryny religijne różnie definiują te dwa istotne momenty w życiu każdego człowieka.

W lutym roku 1990 przebywałem w Klinice Chorób Serca w Katowicach – Ochojcu. Badaniami mojego serca kierował Prof. Dr Tadeusz Mandecki. Badania wykazały jednoznacznie, że konieczna jest operacja wymiany zastawki aortalnej. Ponadto stwierdzono poszerzenie aorty wstępującej. Na koniec otrzymałem skierowanie na konsultację kardiochirurgiczną. Prof. Mandecki twierdził, że teraz jest najlepszy moment aby tę zastawkę wymienić. Mój niepokój budziła sprawa poszerzenia aorty. Prosiłem o rozmowę na ten temat młodego lekarza – Grzegorza Grzeszczaka. Pytałem co to jest to poszerzenie aorty, dlaczego powstaje i czy jest niebezpieczne?

Okazuje się, że uszkodzona zastawka aortalna tworzy falę zwrotną, która uderza w jedno miejsce aorty i z czasem wywołuje poszerzenie w tym miejscu. To poszerzenie z czasem staje się niebezpieczne, tworząc w końcu tętniaka aorty. Czy poszerzenie aorty jest już tętniakiem, można ustalić dopiero po otwarciu klatki piersiowej.

W karcie wypisowej Kliniki w Ochojcu, otrzymałem skierowanie do konsultacji kardiochirurgicznej. Konsultację można było wykonać w tej samej Klinice w Ochojcu, dwa piętra wyżej.

GÓRNICZE CENTRUM MEDYCZNE — ŚLĄSKI OŚRODEK KARDIOLOGII

40-635 Katowice, ul. Ziołowa 47

tel. centr. 521-031. Telex 0315972 gcm pl

Górnicze Centrum Medyczne
Śląski Ośrodek Kardiologii
ul. Ziołowa 46
40-635 KATOWICE
pieczątka kliniki/oddziału

KARTA WYPISOWA z dnia 21.02.1990r.

Nazwisko i imię Januszek Józef. ur. 23.06.1932 zamieszkały w OLKUSZ

ul. Skalska 13 22. okres pobytu od 1.02.1990r. do 21.02.1990r.

Rozpoznanie Vitium cordis s.f. insufficientiae valvulae semilunarium aortae III°. Insufficientia valvulae mitralis. Hypertonia arterialis in anamnesi. Morbus coronarius. Atherosclerosis obliterans extremitatis inferioris. Fibrillatio atriorum paroxysmalis.

Stosowane leczenie

Isoptin 3x40mg.

Zalecenia Leki: Isoptin 3x40mg.

Epikryza Pacjent lat 58 przyjęty do Kliniki z rozpoznaną wadą mitro-aortalną oraz podejrzeniem tętniaka aorty. W oparciu o przeprowadzone badania dodatkowe i cewnikowanie serca wykluczono obecność tętniaka. Wyniki cewnikowania wskazują na przewagę niedomykalności zastawki aortalnej. Nie uwidoczniono fali zwrotnej do lewego przedsionka mimo iż była ona stwierdzana badaniem UKG (badaniem Dopplerowskim). Jednocześnie istnieją uzasadnione podstawy do rozpoznania zmian miażdżycowych lewej tętnicy wieńcowej. Dodatkowym problemem są zmiany miażdżycowe tętnic kończyn dolnych. W obrazie klinicznym nie stwierdzono cech niewydolności krążenia. Pacjent skierowany do konsultacji kardiochirurgicznej.

Asystent Grzegorz Grzeszczak lekarz chorób wewnętrznych Katowice-6, ul. Piotrowicka 5/28

Ordynator 7149 dr n. med. JERZY KOŚMIDER specjalista chorób wewnętrznych ul. Radockiego nr 5/7 40-645 KATOWICE

ZSPM K-ce, 482/88 20.000

Z córką Oleńką, która była już lekarzem, zastanawialiśmy się co robić dalej. Nasze wątpliwości i niepokój powstały z powodu grożącego tętniaka aorty. Ponadto prof. Mandecki mówił tylko o zastawce i przekonywał, że stan lewej komory wskazuje , iż teraz najlepiej wymienić zastawkę aortalną. Poprosiłem Oleńkę, aby porozmawiała z Profesorem Mandeckim, czy konsultację kardiochirurgiczną można wykonać w Krakowie w Klinice Prof. Dziatkowiaka. Oleńka w czasie stażu lekarskiego w Krakowie miała kontakt z dr Jerzym Sadowskim. Prof. Mandecki zachował się życzliwie. Powiedział, że nie tylko się zgadza, ale nawet zachęca do takiego rozwiązania, bo Klinika w Krakowie ma większe doświadczenie.

W ten sposób stałem się pacjentem dr Jerzego Sadowskiego. Po wykonaniu odpowiednich badań i sprawdzeniu dokumentacji z Ochojca dr Sadowski potwierdził, że operacja serca jest konieczna, ale nie musi być przeprowadzona już teraz. Pozostałem pod jego stałą kontrolą. Dwa razy w roku zgłaszałem się do poradni dr Sadowskiego. W kwietniu 1995 roku po dokładnym zbadaniu mojego serca, dr Sadowski poinformował mnie, że dalsze odkładanie operacji może w bardzo krótkim czasie doprowadzić do sytuacji , w której jedynym ratunkiem będzie transplantacja serca.

Tak więc stanąłem wobec konieczności pilnej operacji serca. Dr Sadowski zaproponował termin w jesieni, gdy miną letnie upały.

Od pierwszej diagnozy lekarzy w Katowicach do wyznaczonego terminu operacji serca, przeżyłem pięć trudnych lat. Był to czas trudny dla mnie i dla całej mojej rodziny. Wiadome było, że operacja musi mieć miejsce – nie wiadomo tylko było kiedy. Ten długotrwały stres był wielkim ciężarem, nie było dnia by z lękiem nie patrzeć co będzie jutro. Wreszcie ta chwila nadeszła…

Na początku października , syn Konrad, który też był już lekarzem - chirurgiem, będąc w Krakowie w swoich sprawach zawodowych, udał się do Kliniki Chorób Serca aby mnie zarejestrować - zgodnie z zaleceniem Dr Sadowskiego.

Przypadkowo Konrad spotkał na dziedzińcu Kliniki swojego kolegę ze studiów dr Pawła Rudzińskiego. Konrad zdziwiony zapytał: „Paweł co ty tutaj robisz?". Paweł: „Ja tu pracuję, ale co ty tu robisz?" Konrad przedstawił sprawę mojej koniecznej operacji serca. Dr Paweł Rudziński stanowczo zdecydował : „ Taką poważną operację może wykonać tylko Prof. Antoni Dziatkowiak". Natychmiast dr Paweł Rudziński założył dla mnie kartę w Poradni Prof. Dziatkowiaka. Równocześnie wyznaczył pierwszą wizytę u Profesora. Już po tygodniu razem z synem Konradem zgłosiłem się w poradni u Prof. Dziatkowiaka.

Prof. Antoni Dziatkowiak długo sprawdzał dokumentację lekarską z Ochojca i dokumentację lekarską z przebiegu mojej choroby przygotowaną przez Dr Sadowskiego. Dokładnie mnie zbadał i przez dłuższą chwilę zastanawiał się. Popatrzył na Konrada i na mnie i zwracając się do mnie zapytał:

„Czy Pan jest psychicznie przygotowany do tak poważnej operacji?"

Pytanie mnie zaskoczyło. Błyskawicznie zdałem sobie sprawę, że nie mogę odpowiedzieć banalnie.

Powiedziałem więc tak: „Panie Profesorze, gdy 5 lat temu powiedziano mi, że muszę poddać się operacji serca to byłem zszokowany. Przeżyłem wielki strach. Ale dziś gdy Pana zastępca dr Jerzy Sadowski po licznych badaniach powiedział mi wprost , że dłużej nie można czekać, bo w krótkim czasie alternatywą będzie tylko transplantacja serca, przychodzę do Pana Profesora i bardzo proszę, aby Pan wziął moje serce w swoje ręce". Profesor popatrzył jeszcze raz na syna Konrada, potem na mnie, przez chwilę zamyślił się i powiedział tylko dwa słowa: „Proszę bardzo".

Prof. Dziatkowiak dodał, że opłacało się czekać 5 lat , bo teraz mamy odpowiednie preparaty otrzymane w ramach – „Dary Narodu Amerykańskiego dla Narodu Polskiego".

I tak 16 października1995r.w poniedziałek, zostałem przyjęty do Kliniki w Krakowie. Zaczęły się intensywne przygotowania do operacji.

18.10.1995r.

Rozmawiałem krótko z dr Sadowskim. W czasie wizyty lekarz poinformował mnie, że operację będę miał prawdopodobnie w poniedziałek - 23.10.1995r.

Cieszyłem się, że termin operacji został ustalony. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę z powagi

sytuacji. Codziennie docierało do mnie to, że nie każda operacja kończyła się szczęśliwie. Bywało, że młodsi pacjenci nie przeżywali operacji serca, a mnie przecież czekały dwa zabiegi podczas jednej operacji – wymiana zastawki aortalnej i usunięcie dużego tętniaka aorty.

Przeżywałem bardzo trudne chwile nadziei i strachu. Pomagała mi w tym gorąca modlitwa i codzienna obecność moich bliskich, mojej żony i moich dzieci.

20.10.1995r. Wizyta lekarska.

Prof. Dziatkowiak, Dr Sadowski i Dr Lubański przedstawili stan mojego zdrowia. Zdecydowano, że w poniedziałek (23.10.1995 r.) będę miał nowe badania serca m.in. koronorografię.

23.10.1995 r.

Badania: koronorografia – badanie udane, bez żadnych ujemnych objawów. Wynik – bardzo dobry – bez zmian miażdżycowych w naczyniach wieńcowych. Oznacza to, że operacja obejmie tylko zastawką aortalną i aortę wstępującą. Cały dzień leżałem z usztywnioną prawą nogą.

24.10.1995 r.

Okazało się, że operacja będzie dopiero w poniedziałek (30.10.1995 r.) ponieważ Prof. Dziatkowiak wyjeżdża w czwartek służbowo do Bydgoszczy.

Oprócz codziennych odwiedzin, również codziennie, zwłaszcza wieczorem rozmawiałem przez telefon z żoną, często także z dziećmi i wnuczkami. Dzieci moje wówczas - Oleńka, Paweł i Konrad byli już lekarzami, Joasia kończyła studia lekarskie. Te rozmowy były dla mnie wielką pociechą i wsparciem. Czułem, że moja rodzina jest ze mną w tych trudnych dla mnie chwilach.

26.10.1995r.

Wizyta dr Pfitznera. Jest decyzja : operacja w poniedziałek (30.10.1995r.)

29.10.1995r.

Otrzymuję środek nasenny PRAMOLAN.

30-10-1995r. (poniedziałek).

Operacja serca. Sala B. Około godz.11.

Diagnoza: IA +AAA.

Impl. v.aort et aortae asc.

Hup. Kard, lód.

Perf: dr LUBAŃSKI.

Ew. kaniulacja t. biodrowej prawej.

Zespół operacyjny:

Prof. Dziatkowiak , Dr Pfitzner, Dr Wójcik, Dr Drwiła(anestezjolog).

Operacja trwała 5 godzin. Po zakończeniu operacji powstał poważny dramat. Do aorty, w czasie operacji, dostało się powietrze tworząc mikrozator powietrzny. Podobnie jak w instalacji centralnego ogrzewania po odkręceniu zaworu, do sieci może dostać się powietrze, tworząc zator powietrzny dla wody i w tym czasie woda w sieci przestaje płynąć. Wówczas wystarczy w odpowiednim miejscu odkręcić inny zawór i powietrze opuszcza sieć pod wpływem ciśnienia hydrostatycznego. W żywym organizmie nie ma takiej możliwości. W czasie, gdy zacząłem się wybudzać stwierdzono również duże krwawienie. Postanowiono powtórnie otworzyć klatkę piersiową. Otrzymałem nową dawkę leków usypiających. Czekano również aż zator powietrzny się wchłonie. Nowe komplikacje powstały wówczas gdy okazało się, że są poważne trudności z moim wybudzaniem. Minął wtorek, środa i czwartek. W piątek lekarze tracili nadzieję na to, że się wybudzę. Najbliżsi byli w rozpaczy. Pozostało poczucie bezradności i gorąca modlitwa całej mojej rodziny.

Ja, w tym czasie, będąc w śpiączce, miałem dziwne przeżycia. Wciąż wędrowałem podziemnymi korytarzami, łączącymi jak gdyby dwa duże miasta. Byłem na czele tego dziwnego pochodu. Ten pochód tworzyli ludzie, normalnie ubrani, ale zamiast twarzy całą głowę wypełniały im dziwaczne maski z tworzywa sztucznego w kolorze niebieskim i fioletowym. Wciąż przekonywałem tych „ludzi", że musimy maszerować i głęboko oddychać powietrzem, którego skład chemiczny wyświetlał się na pionowych ścianach korytarzy, podobnie ja na dworcu kolejowym wyświetla się migający rozkład jazdy pociągów. W pewnym momencie, już zupełnie sam - stanąłem przed pionową ścianą, zamykającą

korytarz. Na tej ścianie było kilkanaście okien – rozet, w kształcie koła. Wszystkie czarne i tylko jedno okno na szczycie tej ściany było jasne – pełne niezwykłego blasku. Nie bałem się, nie czułem żadnego lęku ani strachu. Byłem gotów wejść w tę jasność. Światło bowiem miało niezwykłą moc przyciągającą. Nęcąca jasność przyciągała mnie nieodparcie. Ufnie zbliżyłem się do tego oświetlonego „okna". Za chwilę usłyszałem poważny , ciepły głos męski : „ Zapraszamy cię do środka, abyś zobaczył co przygotowaliśmy dla ciebie". Zdałem sobie sprawę i miałem absolutną pewność, że rozmawiam z Panem Bogiem. Zdumiony, zaskoczony, ale dziwnie spokojny niezwykłością sytuacji - odpowiedziałem: „Boże Drogi i Wszechmogący - na mnie w domu czekają: żona, czworo dzieci i kilka rozpoczętych działań, których nie udało mi się dokończyć. Bardzo serdecznie i pokornie proszę, abym teraz jeszcze mógł wrócić do żony i do dzieci. Nie jestem jeszcze gotowy... Po chwili usłyszałem ten sam niezwykły, serdeczny głos: „Zgoda. Wracaj do żony, do dzieci i działaj". Miałem takie dziwne odczucie, że ten „ Głos" nie tylko trafia do moich uszu, ale niewytłumaczalnie przenika do całej mojej osoby, bezpośrednio do mojej świadomości. Trudno to zrozumieć i opisać.

Powrót mój zaczął się w momencie kiedy po raz pierwszy od pięciu dni zacząłem poruszać oczami, rękami i nogami dając wyraźny znak, że wracam z dalekiej podróży do najbliższych.

Proces powrotu do mojej pełnej świadomości był powolny i długi. Lekarze długo nie byli pewni skutków, które mógł spowodować zator powietrzny i czy mój mózg nie został uszkodzony. Świadomość wracała kilkakrotnie– i znowu zapadałem w ciemność.

Powoli wracałem do pełnej świadomości. Byłem jednak bardzo osłabiony. Nie mogłem nawet swobodnie poruszać nogami, ani unieść do góry głowy. Umówiony masażysta codziennie masował moje nogi, twierdził, że wszystkie mięśnie działają i będzie coraz lepiej. Na szczęście wracał mi apetyt i stawałem się z każdym dniem coraz silniejszy. Miłość, oddanie i stała troska i opieka mojej żony i dzieci pomagały mi wrócić do pełni sił. Kompetencje i oddanie lekarzy i personelu medycznego, którymi kierował Profesor Antoni Dziatkowiak zagwarantowały mi szybki powrót do zdrowia.

17.11.1995r.

Ostatnia wizyta lekarska Profesora Antoniego Dziatkowiaka w Klinice Chorób Serca w Krakowie, przed moim wyjazdem do Szpitala Sanatoryjnego w Rabce. Stanąłem przy łóżku. Profesor podszedł do mnie. Dziękując Mu, powiedziałem tak: „Panie Profesorze; melduję posłusznie, że znowu jestem - jak to często mówił dzielny wojak Szwejk. Stoję przed Panem na własnych nogach i o własnych siłach. Nie korzystam z kaczki, sam chodzę do wc. Za wszystko co Pan dla mnie zrobił bardzo serdecznie dziękuję -- Bóg zapłać". Profesor uśmiechnął się, położył prawą dłoń na moim lewym ramieniu i powiedział tylko dwa słowa: „ Szczęść Boże".

KRAKOWSKI SZPITAL SPECJALISTYCZNY
im. JANA PAWŁA II
KRAKÓW, Ul. PRĄDNICKA 80

Kraków dnia 22.11 199 5 r.

I, ks. gł 6741/95

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI
Collegium Medicum, Instytut Kardiologii
KLINIKA CHIRURGII SERCA I NACZYŃ
KRAKOWSKI SZPITAL SPECJALISTYCZNY
im. Jana Pawła II
31-202 Kraków, ul. Prądnicka 80
tel. 34-54-54, 34-26-29, fax: 34-25-25

KARTA INFORMACYJNA
leczenia szpitalnego

Nazwisko i imię Januszek Józef **lat** 63

Przebywał(a) w szpitalu od 95.10.16 **do** 95.11.22 **w oddziale** Klinika Chirurgii Serca i Naczyń Collegium Medicum UJ

Rozpoznanie: Insufficientia valvularum semilunarium aortae.
Aneurysma aortae ascendentis.

Wyniki badań pracownianych

Grupa krwi : B Rh (+) dodatni.
Morfologia krwi : hb 14.1 g%, Hct 40.7%.
Poziom glukozy : 73 mg%.
Poziom mocznika : 40 mg%.
Poziom kreatyniny : 1.21 mg%.
Poziom n biliru biny : 21 µmol/l.
Poziom elektrolitów : Na 146 mol/l, K 4.54 mol/l.
Ekg przed zabiegiem : Rytm zatokowy miarowy ok. 70/min. Lewogram. Cechy przerostu i przeciążenia lewej komory.
Ekg po zabiegu 3 : Rytm zatokowy miarowy Ok. 70/min. Lewogram. Cechy przerostu lewej komory.
Rtg przed zabiegiem : Pola płucne bez zmian ogniskowych. Kąty ptrzeponowo-żebrowe wolne. Sylwetka serca powiększona w zakresie lewej komory i lewego przedsionka.
Rtg po zabiegu : Pola płucne bez znmian ogniskowych. Kąty przeponowo-żebrowe wolne. Sylwetka serca powiększona w zakresie lewej komory i lewego przedsionka.
Echokardiografia przed zabiegiem : LK 80/70. Znacznego stopnia upośledzenie kurzczliwości lewej komory. EF 46%. Tętniak aorty wstępującej 64 mm. Niedomykalność aortalna III°.Niewielkw nidomykalność mitralna I°.LP 54 mm. POwiększona PK.
Echokardiografia po zabiegu:Akineza przegrody.Gr Ao P max-18,1,śr-7,8mmHg,Gr M P max-4,6,śr-2mmHg.IM I°.sztuczna zastawka aortalna funkcjonuje prawidłowo.

Epikryza :

Chory lat 63 po diagnostyce w tut. Klinice, Gdzie na podstawie echokardiografii rozpoznano tętniak aorty w stępującej oraz niedomykalność zastawek półksiężycowatych aorty kwalifikuj ące chorego do leczenia operacyjnego.

Operowany dnia 95.10.30 – w krążeniu pozastrojowym, hipotermii ogólnej i miejscowej oraz z zastosowaniem kardioplegii. Śródoperacyjnie stwierdzono duży tętniak aorty wstępującej o średnicy ok. 7 cm, a po otwarciu aorty wstępującej – niedomykalność zastawek półksiężycowatyc aorty i perforację płatka lewowieńcowego. Po usunięciu zniszczonej zastawki wszczepiono w jej miejsce konduit 25 A, szwami pojedynczymi Prolene 5/0 zespolono do otworów wykonanych w konduicie ujścia tętnic wieńcowych. Wykonano zespolenie Cabrola między prawym przedsionkiem a przestrzenią okołoprotezową.

Wczesny przebieg pooperacyjny powikłany nadmierną utratą krwi – wykonano retorakotomię. Ponadto wystąpiło porażenie czterokończynowe, a nasilone bardziej po stronie lewej, obecnie stwierdza się znaczną poprawę-neurologicznie. duża poprawa. Ze względu na podwyższone poziomy bilirubiny, chory wymagały stosowania kroplówek płuczących. Gojenie rany bez powikłań. Chory wydolny krążeniowo i oddechowo, w stanie ogólnym dobrym zostaje wypisany z tut. Kliniki . Udaje się do Szpitala Uzdrowiskowego w Rabce.

Zastosowano leczenie: operacyjne – dnia 95.10.30 Implantatio conduit graft 25 A modo Bentall de BOno. Anastomosis modo Cabrol.

farmakologiczne – Digoxin, KCl, Lorafen, Amoksiklaw, Abaktal, Syncumar, Deslanosid, Furosemid, Netromycyna, Rocephin, Captopril, Dobutrex, Adavin, Altramet.

Choremu przetoczono 4000 ml krwi obcej.

Wskazania dotyczące dalszego leczenia:

1. Kontrola w Poradni Kardiochirurgicznej tut. Kliniki do ok. 3 mc-y.
2. Stałe zażywanie Syncumaru pod kontriolą wskaźnika protrombuiny tak aby wynosił 30–40%, tj. INR 3–4.5. do ok. 6 mc-y.
3. Leki : Captopril 3x6.25 mg, KCl 2x1g, Altramet 3x200 mg.

Starannie przechowywać i okazywać przy najbliższej wizycie lekarza.
Karta informacyjna nie może służyć jako świadectwo lekarskie

DYREKTOR
INSTYTUTU KARDIOLOGII
Collegium Medicum, Uniwersytet Jagielloński
Krakowski Szpital Specjalistyczny im. Jana Pawła II

Prof. dr hab. med. Antoni Dziatkowiak

.....
Ordynator

dr med. Jerzy Sadowski

22.11.1995r.

Godz.8.40 – Wyjazd z Krakowa do Szpitala Sanatoryjnego w Rabce.

27.11.1995r.

Pierwsze dwa spacery po parku w Rabce. Ćwiczenia na sali gimnastycznej. Nieustannie zmagam się ze swoją słabością fizyczną.

6 grudnia 1995r.wreszcie wróciłem do domu. Byłem jeszcze bardzo słaby, z trudem chodziłem – jednak pierwsze kroki skierowałem do Kościoła na Roraty. Gorąca i dziękczynna modlitwa przywracała mi spokój i nadzieję na pełny powrót do zdrowia.

Przypomniała mi się modlitwa dziękczynna Mickiewicza (Pan Tadeusz. Księga I.) do Panny Świętej:

„Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie ! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniarz z jego wiernym ludem !
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem !
Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu”….

Za powrót do zdrowia dziękowałem również w czasie pielgrzymki w Ostrej Bramie.

Zdałem sobie sprawę, że po tych niezwykłych przeżyciach z pogranicza śmierci klinicznej, stałem się innym człowiekiem. Wiele spraw przewartościowałem.

Od tego czasu minęło ponad 21 lat. Tamte przeżycia były tak silne i tak realne, iż mimo upływającego czasu są dla mnie wciąż bardzo żywe. Nigdy poza najbliższymi nie opowiadałem o nich nikomu. Uważałem, że są zbyt osobiste. Wcześniej czytając „Życie po życiu” lub słuchając podobnych opowiadań byłem jako matematyk sceptycznie do nich nastawiony. Jednak po tym co osobiście przeżyłem i po lekturze książki „Dowód” – Prawdziwa historia neurochirurga, który przekroczył granicę śmierci i odkrył niebo – Ebena Aleksandra i który pod wpływem własnych dramatycznych wydarzeń musiał przewartościować swoją realną wizję świata, zdecydowałem się też opisać moje podobne przeżycia.

Po tych przeżyciach pragnę powiedzieć wszystkim - Pan Bóg istnieje.

Ja z Nim rozmawiałem.

I wiem też, że istnieje inny wymiar naszego życia.

Amerykański Profesor: „znakomity neurochirurg, szanowany wykładowca Harvardu, przez lata pozostawał sceptyczny wobec zagadnień wiary. Życie poświęcił nauce i ufał jedynie faktom. Pod wpływem dramatycznego wydarzenia musiał jednak przewartościować swoją racjonalną wizję świata. Dotknął największej tajemnicy”…

…„ Odkrył niebo”…

Eben Aleksander przekroczył granicę tego i tamtego świata, ja jedynie - stanąłem na tej granicy.

Teraz staram się nieustannie, aby ten czas darowany mi przez Pana Boga był wypełniony pełniej, bardziej świadomie i twórczo.

Olkusz 6 grudzień 2016r.

Józef Januszek

IX. Listy do Redakcji.

Opole, 27.06.2016 r.
Prof, dr hab. inz. Jerzy Skubis
Politechnika Opolska
Wydziat Elektrotechniki, Automatyki i Informatyki
45-758 Opole, ul. Proszkowska 76

Szanowny Pan Profesor
mgr Jozef Januszek

Na ręce Pana Profesora składam słowa serdecznych podziękowań adresowane dla całego zespołu Zeszytów Historycznych Olkusza za zamieszczenie materiału dotyczącego mojej osoby.

Gratuluję podjęcia idei wydawania unikalnej publikacji jaką są kolejne Zeszyty Historyczne Olkusza, których wkład w pielęgnowanie i zachowanie dla potomnych pamięci o naszym mieście, Ziemi Olkuskiej i wybitnych osiągnięciach jego obywateli godny jest najwyższego uznania.

Życzę Panu Profesorowi i Zespołowi Redakcyjnemu pomyślności w realizacji wyjątkowej misji, a także wszystkiego dobrego w życiu osobistym.

Z wyrazami najwyższego szacunku

X. Errata do ZHO nr 21.

Str. 11 w 17 wierszu od góry napisano: „Tarasin Andrzej", a ma być: „Tarasin Jan".

Str. 22 pod zdjęciem , w 2 wierszu napisano: „Im. Jana Kazimierza w Olkusza", a ma być: „im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu"

Str. 37 pod drugim zdjęciem, w 2 wierszu napisano: „im. Jana Kazimierza w Olkuszu", a ma być: „im Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu".

Fot. Adam Sowula